

**ROSJA ZAGRAŻA ŚWIATU**

Relacje z Kijowa i Donbasu  
Co czeka Ukrainę, Europę i nas

**PRZEPIS NA OPOZYCJĘ**

Nieznana mapa  
polskich podziałów

**CO ROBI KOŚCIÓŁ**

Gdy sprawca nadal  
odprawia msze

**HUELLEBECQ**

Nowe proroctwa  
pisarza sygnalisty

Kraków 27 lutego 2022 nr 9 (3790)

cena 10 zł (w tym 8% VAT)

# TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne  
[www.TygodnikPowszechny.pl](http://www.TygodnikPowszechny.pl)

**JUSTYNA  
KOWALCZYK-TEKIELI:**  
**Przedemną  
wszystko**

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9 770041 480208

# TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne  
www.TygodnikPowszechny.pl

WYDANIE SPECJALNE

Kraków 9 lutego 2022 nr 1 (21)  
cena 24 zł (w tym 8% VAT)

# W I A R A

O Bogu i diable, duchowości i dotyku, nadziei i miłości



bliźniego; religijności i świętych, których świętości



nie potwierdziła dotąd żadna instytucjonalna pieczęć.



**Nowe wydanie specjalne**



**już w najlepszych miejscach z prasą.**

# DLA DOROSŁYCH

ELŻBIETA ADAMIAK | NATALIA DE BARBARO | TINA BEATTIE | KS. ADAM BONIECKI  
WOJCIECH BONOWICZ | S. BARBARA CHYROWICZ | SEBASTIAN DUDA  
ZUZANNA FLISOWSKA-CARIDI | PHILIP GRÖNING | NONTANDO HADEBE | KS. TOMAŚ HALÍK  
KS. MICHAŁ HELLER | O. WACŁAW HRYNIEWICZ | ALEKSANDRA KLICH | O. JAN ANDRZEJ KŁOCZOWSKI  
LESZEK KOŁAKOWSKI | RYSZARD KOZIOŁEK | KS. STANISŁAW MUSIAŁ | ZBIGNIEW NOSOWSKI  
KS. TADEUSZ PABJAN | KS. HENRYK PIETRAS | ANITA PIOTROWSKA | JANUSZ PONIEWIERSKI  
KS. JACEK PRUSAK | ZUZANNA RADZIK | ABP GRZEGORZ RYŚ | RABIN RAMI SHAPIRO  
PIOTR SIKORA | BARBARA SKARGA | ARTUR SPORNIAK | JERZY SOSNOWSKI  
ANDRZEJ STASIUK | TOMASZ STAWISZYŃSKI | KS. GRZEGORZ STRZELCZYK  
KAROL TARNOWSKI | KS. JÓZEF TISCHNER | OLGA TOKARCZUK | GENEVIÈVE ZUBRZYCKI

KS. ADAM

# Boniecki: Kilka kroków od domu

MÓWI SIĘ, ŻE WOJNA WISI NA WŁOSKU. NIE u nas, ale tuż za miedzą. Jestem z rocznika tych, którzy pamiętają wojnę. Całą, od początku do końca. Jestem stary i nas, z tego pokolenia, jest już coraz mniej. We wrześniu 1939 r. miałem pięć lat, kiedy wojna się skończyła – jedenaście. Starsi, którzy byli świadomymi świadkami tamtych wydarzeń, którzy walczyli na różnych frontach, w podziemiu, byli ofiarami, ale przeżyli, bohaterowie, świadkowie i ofiary wojny, opisali ją, opowiedzieli, namalowali. Miałem wtedy pięć lat, teraz – wspomnienia.

Najdawniejsze są obrazy. 1 września – słoneczny, gorący dzień. Przed domem na leżakach moja matka, jej bratowa. Za nimi chłodna, gęsta zieleń parku. Są smutne. Rozmawiają o wojnie. Niedawno wyruszył na nią mój ojciec. Myślałem, że zobaczę go w mundurze. Nie zobaczyłem ani nie widziałem, jak wyruszał. Pewnie wczesnym rankiem i nikomu nie przyszło do myśli, żeby mnie obudzić. Mój początek wojny to cichy dwór w Potworowie, spokojny, jesienny dzień, cienie parkowej zieleni.

Kolejny obraz. Noc, budzą brata, małe siostrę i mnie, ubierają. Oni sami, dorośli, chyba się wcale nie kładli spać. Dreszcz niezwyklej, ekscytującej przygody. Ciotka (jej mąż, Andrzej Łoś, brat mamy, oficer marynarki wojennej, bronił w tym czasie Helu) ładuje swojego psa i nas do samochodu. Ruszamy w ciepłą noc ku wschodowi. Już za dnia się zatrzymujemy. Stoi pociąg (pancerny?). Żołnierze strzelają z ręcznych karabinów, chyba do samolotów. Samolotów nie pamiętam. Mnóstwo ludzi, leżą na polu, inni, jak my, w rowie. Nocleg w jakimś dworze pełnym uciekinierów. Nocleg w Niemcach, majątku krewnych. Ich dom też jest pełen uciekinierów. Zamazany obraz dalszej drogi, końmi. Wszędzie pełno ludzi wyrwanych z domów, zagubionych, wystraszonych. Powszechny zamęt. Potem – wspomnienie jest wyraźne – powrót do domu. Cisza, ład, meble przykryte pokrowcami. Jakby nie istniał ten zaburzony świat, w którym dopiero co byliśmy. Taki został w mojej pamięci zapis początku wojny.



Wojna trwała i trwała, życie płynęło dalej. Dla nas, dzieci – niby normalne. Ale obok tego normalnego nurtu był i ten drugi, wojenny: wieści o tych, którzy polegli (wtedy po raz pierwszy usłyszałem słowo „poległ”); gestapo, Oświęcim – miejsca, z których się nie wraca; łapanie, aresztowanie, egzekucje, zabici ludzie, których znałem; świadomość, że każdy, w każdej chwili może być aresztowany, wywieziony do Oświęcimia,

uśmiercony, że można stracić dom i majątek (tak się stało z nami). Żadne reguły nie obowiązują poza siłą najeźdźcy. W lasach partyzanci (mówiło się o nich „chłopcy z lasu”), ich nocne wizyty, ale też nocne najścia bandytów. Dzieciom się wiele nie mówiło, ale myśmy już wiele wiedzieli. Zналиśmy ten skurcz strachu, kiedy zjawiali się Niemcy. Strach w końcu uzasadniony doświadczeniem aresztowania i po kilku dniach rozstrzelania ojca. W tej egzekucji Niemcy rozstrzelali dwustu pięćdziesięciu „zakładników”.

Dorośli starali się oszczędzić nam, dzieciom, doświadczeń grozy wojny. Ale to nie było możliwe. Żyliśmy jak w domu, z którego wymontowano elementy nośne. Dom niby stał, życie toczyło się „normalnie”, lecz ze świadomością, że w każdej chwili, bez naszej winy, dom się może rozsypać, jutro może go już nie być, nas może nie być, może nie być tych, których kochamy. We wspólnie odmawianym wieczornym pacierzu wciąż wracały prośby o uwolnienie z obozu bliskich i znajomych, o wieczne życie dla zamordowanych.

Ostatnie dni i noce wojny przesiedzieliśmy w piwnicy, słuchając odgłosów toczonych w pobliżu walk. Nikt nie wiedział, czy wyjdziemy z tego, co się dzieje, z życiem. Potem znajdowaliśmy ciała zabitych w zasięgu kilku kroków od domu. To był koniec wojny, koniec okupacji. Z radością witaliśmy żołnierzy polskich, kościuszkowców, i radzieckich. Wszystko – wiedzieliśmy – jest lepsze od wojny i okupacji.

Modlimy się za Ciebie, Ukraino. I o mądrą odwagę dla tych, którzy mogą pomóc, by Ciebie przed złym ocalić. ©®

Pani Hannie Krall

składamy najgłębsze wyrazy współczucia z powodu śmierci

Męża

Jerzego Szperkowicza

pisarza i dziennikarza

Pani Hanno, jesteśmy z Panią sercem i myślami

PRZYJACIELE Z TYGODNIKA POWSZECHNEGO

**24 Salony dla świń**ROZMOWA  
Z MAGDALENĄ  
KOWALCZYK

Patrząc na  
zjawisko ferm  
przemysłowych,  
które jedna  
po drugiej buduje  
się w naszym kraju,  
trudno nie ulec  
wrażeniu, że Polska  
stała się kloaką  
Europy.

**34 Dziecko: gatunek nieznany**

ŁUKASZ NAJDER

W przypiływie wspomnień lubilem zadawać sobie pytanie,  
dlaczego moi koledzy z łódzkich podwórek, szkoły i boisk  
tak marnie skończyli.

**66 Temat z brodą**

ŁUKASZ JACH

Chroni przed ciosem  
w szczękę i przydaje  
wojowniczości.  
Pozwala zyskać  
w oczach kobiet.  
W końcu wiemy,  
po co mężczyznom  
zarost.

**40 Nie musimy  
tego robić**

STANISŁAW ZASADA

Czy Kościół gdański  
zrobił wszystko,  
by stanąć po stronie  
ofiar seksualnego  
wykorzystania?

**84 Przede mną wszystko**

ROZMOWA Z JUSTYNĄ KOWALCZYK-TEKIELI

Mnie jest łatwo, bo jestem sławna i ludzie  
wiedzą, że nie trzymam języka za zębami.  
Ale głos wielu bliskich mi kobiet  
nie zawsze jest traktowany na równi  
z głosem mężczyzn.

**70 Pan Nicuś  
i śmierć**

MAREK BIEŃCZYK

Od Houellebecqa  
oczekuje się wieści,  
w jakim punkcie  
istnienia ludzkość  
zachodnia znajduje  
się w nieodległej  
przyszłości.  
No to jak nas teraz  
zdiagnozował?

- 6 Pod parasolem Zachodu**  
MAREK KĘSKRAWIEC,  
WOJCIECH PIĘCIAK

**7-11 Obraz tygodnia**

- 22-23 Czytania / Widzenia**  
MAŁGORZATA KORDOWICZ  
O. WACŁAW OSZAJCA  
ABP GRZEGORZ RYŚ  
PIOTR SIKORA

■ **KRAJ**

- 24 Salony dla świni**  
ROZMOWA Z MAGDALENĄ  
KOWALCZYK

- 28 Świat się dzieli przez dwa**  
JAROSŁAW FLIS: *Poglądy większości Polaków są od lat przechylone w prawą stronę. Niektórzy z nas mają z tym kłopot*

- 31 W sidłach Glapińskiego**  
PIOTR WÓJCIK: *Prezes NBP wciągnął Polaków w pułapkę kredytową, obiecując niskie stopy procentowe i odchodząc od tej polityki. To złamanie umowy społecznej*

■ **Z ODDECHEM**

- 34 Dziecko: gatunek nieznany**  
ŁUKASZ NAJDER

■ **WIARA**

- 40 Nie musimy tego robić**  
STANISŁAW ZASADA

- 45 Bóg, legalizm, czary-mary**  
PIOTR SIKORA: *Czy można unieważnić chrzest udzielony przy użyciu zmienionej formuły*

- 46 Marzenie o wolności**  
MARCIN CHODUŃ: *Kubańscy katolicy walczą o pokojowe przejście od dyktatury do demokracji*

■ **ŚWIAT**

- 50 Przetrywamy i to, synku**  
ARTEM CZECH Z KIJOWA

- 54 Sieci Kremla**  
ROZMOWA Z CATHERINE BELTON,  
BRYTYJSKĄ DZIENNIKARKĄ ŚLEDZĄ

**ATAK NA UKRAINĘ**

**12 Atak na Ukrainę**

WOJCIECH PIĘCIAK  
Za geopolityczne decyzje rachunek płacą zwykli ludzie.

**14 Pierwszy dzień końca świata**

PAWEŁ PIENIAŻEK Z KIJOWA  
Życie w stolicy Ukrainy toczy się codziennym rytmem. Jednak świat wstrzymał oddech.

**17 Cierp, moja śliczna**

ANNA ŁABUSZEWSKA  
Co poddani Putina myślą o jego agresywnej polityce?

**50 Przetrywamy i to, synku**

ARTEM CZECH Z KIJOWA  
Dziś już nie myślę, że nie damy rady stawić temu czoła.

**54 Sieci Kremla**

ROZMOWA Z CATHERINE BELTON  
Odejście Putina byłoby zbyt niebezpieczne dla ludzi służb.

■ **FELIETONY** ■

- 33** DOROTA MASŁOWSKA **49** ZUZANNA RADZIK  
**61** TOMASZ STAWISZYŃSKI **82** JAN KLATA  
**83** PAWEŁ BRAVO **90** STANISŁAW MANCEWICZ  
**90** BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: JUSTYNA KOWALCZYK-TEKIELI  
FOT.: ADAM GOLEC / FORUM

Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

- 57 Dźwignięta z ruin**  
INGA ROGG Z FALUDZY: *Kiedyś to miasto było synonimem terroryzmu, dziś jest jednym z najbezpieczniejszych w Iraku*

■ **HISTORIA**

- 62 Volksdeutsche z Pomorza**  
TOMASZ CHINCIŃSKI:  
*80 lat temu okupacyjny namiestnik regionu gdańskiego wezwał mieszkańców, by uznali się za członków narodu niemieckiego*

■ **NAUKA**

- 66 Temat z brodą**  
ŁUKASZ JACH

■ **KULTURA**

- 70 Pan Nicuś i śmierć**  
MAREK BIEŃCZYK

- 75 Gry w klasy**  
JAKUB MAJMUREK:  
*Pieniądze i milionerzy w amerykańskiej demokracji oraz w scenariuszach Juliana Fellowesa*

- 78 Depesze ze Starego Świata**  
ADAM ROBIŃSKI:  
*Zapowiadając epokę totalitaryzmów Patrick Fermor dokumentuje rozmywanie się poprzedniej*

- 80 Losy matek**  
ANITA PIOTROWSKA  
*o nowym filmie Pedra Almodóvara*

- 82 Między epokami**  
LEKTOR *o książce Hanny Popowskiej-Taborskiej „Zapisywane z doskoku”*

■ **ZMYŚŁY**

- 84 Przede mną wszystko**  
ROZMOWA Z JUSTYNĄ  
KOWALCZYK-TEKIELI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Rosyjska ruletka**

Nawalny znowu stanął przed obliczem sądu. A właściwie to sąd stanął przed obliczem Nawalnego, bo rozprawa odbyła się w tagrze – pisze **ANNA ŁABUSZEWSKA** [tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka](http://tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka)

➔ **Nasz korespondent z Ukrainy**

Jak dziś żyją mieszkańcy kraju zagrożonego agresją Kremla – relacje i zdjęcia **PAWEŁ PIENIAŻKA** specjalnie dla czytelników serwisu specjalnego [tygodnikpowszechny.pl/atak-na-ukraine](http://tygodnikpowszechny.pl/atak-na-ukraine)



**Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA**

**Autorski serwis specjalny**

[WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA ŚWIATA](http://WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA_SWIATA)



f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y /TYGODNIKPOWSZECHNY



# POD PARASOLEM ZACHODU

Groźba rosyjskiego najazdu na Ukrainę obudziła w naszym społeczeństwie głęboko ukryte traumy. Zarazem zbliżyła Zachód do polskiej narracji na temat Moskwy.

MAREK KĘSKRAWIEC, WOJCIECH PIĘCIAK

**C**ORAZ WIĘCEJ POLSKICH DZIECI PYTA NAuczycieli, czy będzie wojna. Podobne obawy odnotowują też psychoterapeuci. O agresji Rosji na Ukrainę dzieci słyszą z radia i telewizji, mówią o niej rodzice i dziadkowie. Żywioł wojny, znany młodym ludziom z filmów i gier, nagle stał się czymś realnym, a czołgi rysowane w szkolnych zeszytach nie są już objawem fascynacji nową edycją „World of Tanks”.

Wojna w Donbasie, trwająca od 2014 r., nie robiła na nas takiego wrażenia. Stała się elementem codzienności, jak liczne konflikty na świecie. Teraz Rosja nowe napięcie budowała od połowy grudnia, a konflikt nie ma charak-

teru lokalnego, lecz zagraża całej egzystencji naszego sąsiada. Na dodatek fakt, że groźba wojny pojawiła się u naszych bram niedługo po wygaszeniu kryzysu na granicy polsko-białoruskiej, tylko pogłębia niepokój w polskim społeczeństwie. A w najstarszych pokoleniach uruchamia ukryte lęki związane jeszcze z traumą wojenną. Nieprzepracowaną w czasach, w których nasze społeczeństwo odbudowywało kraj z ruin i nie miało szans, by korzystać z pomocy psychologów.

Ten głęboki lęk wraca do nas w momencie, w którym mieszkańcy szeroko rozumianego Zachodu nie widzą żadnych powodów, dla których Rosja miałaby rozpaść konty-

*Amerykańscy żołnierze z 82. Dywizji Powietrzno-desantowej lądują w Polsce. Lotnisko w Jasionce koło Rzeszowa, 16 lutego 2022 r.*

nent, i nie rozumieją, dlaczego domaga się nagle „finlandyzacji” Europy Środkowej. I nawet jeśli faktycznym celem żądań Putina jest „tylko” utrzymanie Ukrainy z dala od NATO, to sposób działania Moskwy wzbudza obawy o pokój w sensie podstawowym, nieznanym od czasów zimnej wojny.

Wszystko to ma, paradoksalnie, dobrą stronę. Od lat Polska i kraje bałtyckie bezskutecznie próbowały przebić się do europejskiego mainstreamu z narracją naznaczoną totalną nieufnością wobec Putina. Zachód był raczej głuchy na nasz głos (choćby w sprawie Nord Stream 2) i biernie obserwował modernizację rosyjskiej armii oraz wzrost jej liczebności: gdy bataliony stawały się pułkami, a pułki dywizjami. Dziś na terenie tracącej niezależność Białorusi stacjonują rosyjskie elitarnie jednostki uderzeniowe, przeniesione znad chińskiej granicy. Te posunięcia z jednej strony przerażają Zachód, ale z drugiej powodują, że nawet niedawni zwolennicy ostrożnej polityki wobec Rosji – Francja i Niemcy – patrzą dziś na Putina inaczej.

Widać wyraźnie, że od lata 2021 r., kiedy zaczął się na naszej granicy z Białorusią kryzys migracyjny, Polska jest w centrum uwagi. Zauważa się fakt obecności u nas niemal półtora miliona dobrze zintegrowanych Ukraińców i docenia deklarację możliwości przyjęcia kolejnego miliona uchodźców. O Polsce mówi prezydent USA Joe Biden i jednocześnie podwaja do niemal 10 tys. liczbę amerykańskich żołnierzy nad Wisłą. To zaś rodzi w nas pewien „efekt terapeutyczny”, ciężko bowiem wyobrazić sobie bezpośredni atak Rosji na kraj, w którym stacjonują wojska najsilniejszego państwa świata. Znaczenie ma też fakt wzrostu roli Polski w Europie. Martwy od dawna Trójkąt Weimarski udało się ożywić spotkaniem prezydentów Niemiec, Francji i Polski w Berlinie, którego efektem są – jak czytamy w jednej z niemieckich gazet – bardzo konkretne ustalenia dotyczące dalszego wzmacniania bezpieczeństwa militarnego Polski i krajów bałtyckich, gdyby w Ukrainie miał się realizować najgorszy scenariusz.

To wyraźna zmiana i zarazem duży kapitał do wykorzystania przez lata, niezależnie od tego, kto będzie rządził Polską. © P

## Towarzyski magiel w cieniu mobbingu

MONIKA OCHĘDOWSKA



**W** DNIU, W KTÓRYM UKAZUJE SIĘ TEN numer „Tygodnika”, premierę ma nowa książka Karoliny Korwin Piotrowskiej. „Wszyscy wiedzieli” to zbiór kilkunastu rozmów z absolwentami i pedagogami łódzkiej Filmówki, a także psychologami i aktywistkami angażującymi się w działania przeciwko systemowej przemocy. Pretekstem jest sprawa aktorki Anny Paligi, która rok temu wypunktowała łódzkiej szkole nadużycia wobec studentów. Korwin Piotrowska sonduje, czy tamto zdarzenie doprowadziło do zmian w środowisku. „Myślałam, że ruszy wielka fala, a nic takiego się nie stało” – mówi aktorka Marta Nieradkiewicz. Przemoc psychiczna w szkołach artystycznych to norma, a publiczne jej nazywanie skazuje na ostracyzm, przyznają inni rozmówcy.

O ile rzeczywiście trudno mówić o „fali” zmian, to strumyk płynie i meandruje, a jego nieustanną cyrkulację zapewniają media społecznościowe. Gdy w ramach akcji promocyjnej swojej książki Korwin Piotrowska opowiedziała „Wysokim Obcasom” o własnych doświadczeniach bycia mobbowaną w redakcji „Gali” (ta opowieść jest także

wstępem do książki), na reakcję pracowników innych mediów nie trzeba było długo czekać. O przemocowych szefach napisały m.in. była dziennikarka Eurozetu Magdalena Kasperowicz oraz Sylwia Czubkowska, wieloletnia dziennikarka prasowa (dziś w portalu Spider’s Web). Za nieodpowiednie zachowanie wobec swoich podwładnych („ja się strasznie dartałam (...) Myślę, że niejedna osoba mogła mieć przeze mnie nieprzespaną noc”) przeprosiła publicznie była naczelna TOK FM Ewa Wanat.

Wątpliwości pojawiły się także wobec samej Korwin Piotrowskiej. Ich autorkami były nie tylko kobiety skrzywdzone krytyką, jakiej doświadczyły na antenie TVN Style od bylej współprowadzącej „Magla towarzyskiego”. Niestosowne zachowanie w miejscu pracy („plotki i raniące wypowiedzi”) zarzuciła dziennikarce pracująca wiele lat w TVN psycholożka Dorota Zawadzka. Korwin Piotrowska przyznała, że nie należy do „świętych”, wyrażając nadzieję, że „Superniania” ma już za sobą „niebezpieczny okres uzależnienia od popularności”. Komentarze obu pań nie długo potem zniknęły z mediów społecznościowych. © P

## Papierowy tygrys

**ZWALCZANIE REGUŁY** „pieniądze za praworządność” jeszcze mocniej zbratało Warszawę z Viktorom Orbánem, oskarżanym o notoryczne nadużycia z funduszami europejskimi. To najbardziej przykry – choć wiążący się „tylko” z reputacją – skutek nowej reguły. Nie zanosí się bowiem na rychłe sankcje z użyciem tej zasady wobec Polski.

Decyzja Trybunału Sprawiedliwości UE, który nie anulował przepisów „pieniądze za praworządność”, nie mogła być zaskoczeniem. W 2020 r. Morawiecki i Orbán uchylili weto wobec Funduszu Odbudowy w zamian za kilkunastomiesięczne opóźnienie wejścia w życie tej zasady. A za pretekst do zwłoki posłużyła obietnica Brukseli, że będzie czekać na wyrok TSUE, pomimo że skargi do Trybunału nie mają mocy zawieszającej.

Węgierskiemu premierowi zależało na uniknięciu kłopotów z „pieniędzmi za praworządność” przed wyborami planowanymi na kwiecień 2022 r. I ten cel już osiągnął,

bo nawet gdyby wszczęto zmusną procedurę cięć dla Węgier, to decyzja zapadłaby najwcześniej za pół roku. Polska, przy zaciętrzeniu PiS wobec „zawłaszczającej władze Brukseli”, została na chłodno wykorzystana przez Orbána dla wzmocnienia jego pozycji negocjacyjnej.

Nowe przepisy pozwalają na cięcia tylko po wykazaniu bezpośredniego wpływu naruszeń praworządności na nieprawidłowe zarządzanie pieniędzmi UE. Brak niezależnego sądownictwa lub upolityczniona prokuratura mogą blokować ściganie przekrętów z funduszami. Ale wykazanie tego nie byłoby prostym zadaniem, bo sama Bruksela nadal dobrze ocenia gospodarowanie unijnymi pieniędzmi w Polsce.

Dlatego głównym narzędziem nacisku UE pozostają negocjacje ws. Krajowego Planu Odbudowy i egzekwowanie orzeczeń TSUE co do sądownictwa (w tym za pomocą kar finansowych). A „pieniądze za praworządność”, wprowadzając odstraszaające od korupcyjnej ewolucji na modłę węgierską, na teraz mogą okazać się papierowym tygrysem. © TOMASZ BIELECKI z Brukseli

**PROF. SZYMON MALINOWSKI,**  
FIZYK ATMOSFERY:

## Polska aleja tornad

**JACEK TARAN: Burza w lutym?**  
Co się dzieje?

JUSTYNA ROJEK / EAST NEWS



**SZYMON MALINOWSKI:**

To, że w okresie zimowym mamy epizody silnych wiatrów, jest typowe dla naszej strefy klimatycznej. Dziwi jednak, że trwa to do lutego. O tej porze mieliśmy często zimny wyz i mrozy. Teraz

prawie nie ma pokrywy śnieżnej, a ocean jest ciepły. W niżach, które wędrują przez Europę, dochodzi do silnych zjawisk konwencyjnych, bo temperatura i wilgotność powietrza są wyższe niż zwykle. Zatem do typowych o tej porze silnych wiatrów dokłada się mechanizm burzowy.

**Czy w Polsce mamy aleję tornad?**

To, czego ostatnio doświadczamy, to linie szkwałowe, obejmujące całą Polskę. Trudno powiedzieć, gdzie wystąpią najsilniejsze zjawiska. Północ jest na ogół bliżej centrum niżu i zjawisk typowych dla zimowych sztormów. Na południu jest cieplej i wilgotniej, więc tam z kolei mogą być silniejsze zjawiska związane z chmurami burzowymi. Jedno i drugie łączy się z niezwykle silnym, niszczącym wiatrem.

**Możemy przewidzieć huragany i podjąć ewakuację?**

Prognozujemy je całkiem dobrze. Tornado czy lokalny szkwał to co innego. W USA precyzyjne ostrzeżenia o tornadach podawane są na kilkanaście minut przed uderzeniem. Wyznaczone są zawczasu schrony, a ewakuacja jest natychmiastowa. Obserwacje radarowe dają czas na ukrycie się w bezpiecznym miejscu. U nas nie ma takich systemów ostrzegania i zabezpieczeń. Alerty RCB są potrzebne, ale są też zbyt ogólne.

**Powinniśmy nauczyć się żyć z tymi zjawiskami?**

Zmiana klimatu jest niezwykle groźna, gdyż postępuje coraz szybciej. Żyć to znaczy dostosowywać się, ale tempo takich działań jest uzależnione od naszych możliwości. Tymczasem tempo zmian klimatycznych nie jest niczym ograniczone. ©©

**PROF. SZYMON MALINOWSKI** jest badaczem fizyki chmur i opadów, dyrektorem Instytutu Geofizyki UW.

## KRAJ W SKRÓCIE

### CZERWONA LINIA

Zarząd Solidarnej Polski zadeklarował odrzucenie „szantażu unijnych instytucji »pieniądze za suwerenność«”, zażądał odrzucenia przez Polskę polityki klimatycznej UE i zgłosił konkurencyjny do prezydenckiego projekt ustawy o SN, zapowiadając, że będą to „czerwone linie” obecności ugrupowania w rządzie.

### FUNDAMENTALNY BŁĄD

„Błędem fundamentalnym było to, że powierzono przygotowanie systemu ludziom, którzy – jak mi się wydaje – byli całkowicie niezainteresowani tym, aby przedsięwzięcie się udało” – powiedział w radiowym wywiadzie Jarosław Kaczyński o tzw. Polskim Ładzie.



MARK MALSZEWSKI / REPORTER

### DOBRA RADA

Na szczęście zainteresowanych wciąż nie brakuje: z kolejnych maili wyciekających ze skrzynki min. Michała Dworczyka wynika, że przed ostatnimi wyborami premierowi Morawieckiemu doradzała m.in. korespondentka TVP w Brukseli Dominika Ćosić.

### DZIWACZNA WALKA

Lewicowy publicysta Jaś Kapela pobił w oktagonie prawicowego youtubera Ziemowita Kossakowskiego.

Po zakończeniu tej tzw. *freak fight*, zorganizowanej w ramach gali MMA (mieszanych sztuk walki, w których pojedynki toczą się przy dopuszczeniu dużego zakresu dozwolonych technik), wyprowadzany przez sanitariusz Kossakowski zapowiedział start w wyborach.

## Ład zastępczy

**TAKIEJ FRUSTRACJI** jeszcze nie widziałam, a zajmuje się tym sektorem od dwóch dekad – mówi „Tygodnikowi” Joanna Luberadźka-Gruca z Koalicji na rzecz Rodzinnej Opieki Zastępczej. „Co się dzieje z naszymi pensjami? Za grudzień dostałam 300 zł mniej, w styczniu podobnie” – napisał do Koalicji jeden z rodziców. „Jeszcze jakoś ciągniemy, ale jak długo damy radę, nie wiem” – dodawał inny.

Żle w tym sektorze opieki jest od dawna: zawodowi rodzice zastępczy liczyć mogą – z nielicznymi wyjątkami tam, gdzie samorządy z własnej woli płacą więcej, niż muszą – na 2 tys. zł netto. W ramach tzw. śmieciówek, bo umów o pracę ustawodawca nie przewidział, i zwykle bez możliwości podjęcia dodatkowego zarobkowego zajęcia.

W dodatku teraz – nikt jeszcze do końca nie wie, czy na skutek błędu, czy zgodnie z niejasną logiką PŁ – niektórzy zobaczyli na swoich kontach ubytki.

W tle księgowego chaosu powstaje nowe prawo o pieczy zastępczej. – Kto wie, czy nie mniej korzystne niż dotychczasowe – komentuje Joanna Luberadźka-Gruca. – Dochodzą nas głosy, że część rodziców może stracić tzw. świadczenia fakultatywne, pokrywające dodatkowe koszty, np. rachunki za media. Jeśli tak się stanie, to jako państwo, które ma ambicje odchodzenia od domów dziecka na rzecz rodzin, zrobimy duży krok wstecz.

©© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

## Mrożonka wyborcza

**NAJPIERW LEWICA.** Teraz Platforma Obywatelska. Kolejne partie odważnie postulują zamrożenie stawek WIBOR w umowach kredytów hipotecznych – co stanowi najlepszy dowód na to, że raczej do tego nie dojdzie.

Stopy procentowe – główna składowa stawki WIBOR, od której zależy z kolei oprocentowanie kredytów – do końca roku mogą wspiąć się z 2,75 proc. do nawet 4,5-5 proc. Dla tysięcy kredytobiorców, którzy zadłużyli się na mieszkanie w czasach, gdy stopy były bliskie zeru, będzie to oznaczać wzrost rat nawet o 30-40 proc. od wyjściowej. Ich straty staną się zyskami banków, dlatego te budują w mediach dobrze znaną frankowiczom narrację o „zagrożeniu stabilności sektora”. To samo branzowi lobbyści klarują politykom wszystkich ugrupowań. Wszystko to każe przypuszczać, że mrożenie WIBOR-u to kolejna pusta obietnica, a klienci uważający się za poszkodowanych będą musieli próbować podważać umowy w sądach.

W sprawie WIBOR-u politycy mogli działać wyprzedzająco. Istnieją bowiem przesłanki, by widzieć w nim konstrukcję zbliżoną do zakazanych klauzul indeksacyjnych znanych z umów frankowych. ©© MR



FLORENT VERGNES / AFP / EAST NEWS

**PO DZIEWIĘCIU LATACH** francuskiej misji wojskowej w Mali prezydent Macron ogłosił jej zakończenie. Francuzi wspierali Mali w walce z islamskimi ekstremistami (stracili 53 poległych), ale relacje obu stron zaczęły się psuć po tym, jak w 2021 r. malijscy wojskowi obalili cywilny rząd, objęli władzę i zaprosili rosyjskich najemników (aby ich wspierali – nie tylko przeciw dżihadystom, ale też opozycji). W ślad za Francją Mali opuszczą kontyngenty 14 innych krajów, uczestniczące w tej misji. Część żołnierzy trafi jednak do sąsiedniego Nigru, kontynuując walkę z dżihadystami. Malijska junta podgrzewała antyfrancuskie nastroje, odwołując się do antykolonialnych emocji.

Na zdjęciu: podczas demonstracji w Bamako mężczyzna symbolicznie zmiata kurz z ulicy po Francuzach, 19 lutego 2022 r. © WP / FAZ, BPB

## To nie koniec sprawy księcia Andrzeja

MARCIN ŻYŁA



**S**YN ELŻBIETY II ZAWARŁ UGODĘ SĄDOWĄ z Virginią Giuffrè – kobietą, która oskarżała go o gwałt. Księżę Andrzej miał ją zgwałcić przed laty, gdy Giuffrè, wtedy nastolatka, padła ofiarą słynnego amerykańskiego drapieżcy seksualnego Jeffreya Epsteina; księżę Andrzej i nieżyjący dziś już Epstein byli dobrymi znajomymi. Teraz w zamian za pieniądze – sumy nie ujawniono, według brytyjskiej prasy przekracza 13 mln dolarów – Virginia Giuffrè zakończy postępowanie sądowe. 61-letni księżę uniknie tym samym przesłuchania przed jej prawnikami, do którego miało dojść za kilka tygodni.

W oświadczeniu ogłaszającym ugodę syn monarchini nie przyznał się do winy, niewiele to jednak zmienia w publicznym odbiorze jego osoby. Przed miesiącem Elżbieta II pozbawiła księcia Andrzeja tytułów wojskowych i królewskich patronatów.

Znacznie mniejszy skandal – bo niedotyczący zarzutów kryminalnych – wybuchł w ostatnich dniach wokół następcy tronu Wielkiej

Brytanii księcia Karola. Londyńska policja poinformowała o wszczęciu śledztwa w sprawie związanej z nim fundacji. Zdaniem śledczych, były doradca księcia miał pomagać w uzyskaniu brytyjskiego obywatelstwa oraz tytułu szlacheckiego saudyjskiemu bogaczowi Mahfouzowi bin Mahfouzowi – prawdopodobnie w zamian za wielomilionową donację na rzecz fundacji. Postępowanie prowadzi ten sam wydział policji, który zajmuje się badaniem, czy organizowane w czasie lockdownu imprezy przy Downing Street 10, siedzibie premiera Borisa Johnsona, naruszały przepisy covidowe.

Od kilkunastu lat i od czasu kontrowersji wokół małżeństwa Karola i księżnej Diany żaden ze skandali nie odbija się na reputacji królowej, która w tym roku obchodzi Platynowy Jubileusz – 70-lecie panowania. Sprawa skompromitowanego księcia Andrzeja wróci jednak do debaty publicznej za jakiś czas – wtedy, gdy po zmianie na tronie na nowo rozgorzeje dyskusja o przyszłości, a może też o sensie monarchii.

© WP

## Czekoladowy Bombardier

**PRAWIE 75 LAT TEMU** Niemcy nazwali go „Candy Bomber”, co można tłumaczyć właśnie jako „Czekoladowy (lub Cukierkowy) Bombardier”. Niewielu ludzi tak bardzo przyczyniło się do tego, że po 1945 r. relacje między Niemcami a Amerykanami zmieniły się, a pokonani i zwycięzcy stali się sobie bliżsi.

Gail Halvorsen zawsze chciał latać. W 1942 r., mając 22 lata, wstąpił do lotnictwa, a w 1948 r. trafił do Europy. Armia USA potrzebowała tam pilotów, którzy poprowadzą samoloty z zaopatrzeniem dla Berlina Zachodniego. Po tym, jak Stalin postanowił zmusić aliantów do oddania mu całego miasta – i w tym celu wziął za zakładników jego mieszkańców, odcinając od dostaw żywności zachodnią część (będącą pod kontrolą Amerykanów, Brytyjczyków i Francuzów) – w odpowiedzi ruszył most powietrzny. W ciągu roku alianckie samoloty lądowały w Berlinie Zachodnim 280 tys. razy. W końcu Stalin zakończył blokadę.

Widząc głodujące niemieckie dzieci, Halvorsen zaczął konstruować małe spadochrony, do których podczepiał pakunki ze słodyczami i zrzucał je przelatując nad miastem. Jego śladem poszli inni piloci, a on stał się symbolem pomocy USA dla Niemiec.

Zmarł 17 lutego w wieku 101 lat. Po jego śmierci ktoś powiedział: „Jego życie pokazuje, jak jeden człowiek, który robi coś tak prostego jak rozdawanie gumy do żucia, może zmienić bieg historii ludzkości”.

© WP / FAZ, RBB, CNN



MICHAEL PROBST / EAST NEWS

## KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

## DECENTRALIZACJA

Papież przekazuje większe uprawnienia Kościołom lokalnym, zmieniając prawo kanoniczne. Potwierdzenia Watykanu zamiast zgody będą wymagały m.in. program formacji kapłańskiej czy lokalne katechizmy, a opaci klasztorów i wyżsi przełożeni zakonni będą mogli z ważnych powodów usuwać zakonników ze wspólnoty bez potwierdzenia wyższej instancji.

## PRZYWILEJ

Archidiecezja Paderborn wypełnia zalecenia Drogi Synodalnej i angażuje świeckich w nominację biskupie. Na mocy konkordatu pruskiego z 1929 r. miejscowa kapituła katedralna sporządza listę kandydatów na biskupów, z której papież wybiera trzy nazwiska i odsyła kapitułę, a ona wskazuje nowego biskupa. Niemiecka archidiecezja stworzy grono świeckich, które odąd wspólnie z kapitułą będzie sporządzać listę kandydatów.



DAFNA GAZIT / ISRAEL ANTIQUITIES AUTHORITY

## ZAGADKA

Uczeni spierają się, kogo przedstawia wizerunek pasterza z owieczką na ramionach, wyrity na kamieniu złotego pierścienia z III w n.e. Pierścień pochodzi z wraku statku zatopionego koło starożytnego portu w Cezarei w dzisiejszym Izraelu. Wizerunek Jezusa Dobrego Pasterza był już rozpowszechniony wśród chrześcijan, ale podobnie w starożytności przedstawiano także bóstwa pogańskie.

## Świadek krzywdy zamiast mszy



ARTUR SPORNIAK

**E**UCHARYSTIA – JAK NAUCZA SOBÓR WATYKAŃSKI II – jest „źródłem i zarazem szczytem całego życia chrześcijańskiego”. Tymczasem w parafii Narodzenia NMP w Aschaffenburgu w Dolnej Frankonii w Niemczech to najważniejsze działanie Kościoła było przez trzy niedziele zawieszone. Zamiast mszy wierni słuchali świadectw osób wykorzystanych seksualnie przez duchownych. Na pomysł tego specyficznego „postu eucharystycznego” wpadł proboszcz ks. Markus Krauth, gdy razem ze wspólnotą parafialną zastanawiał się nad adekwatną odpowiedzią na wstrząs, który wywołała w nich lektura raportu o nadużyciach w diecezji monachijskiej ogłoszonego 20 stycznia. Krytycznie zareagowała kuria. Wikariusz diecezji stwierdził, że solidarność z ofiarami jest godna pochwały, jednak „Eucharystia powinna być przestrzenią wolną od jakiegokolwiek instrumentalizacji”.

Na pierwszym spotkaniu jedynie odczytywano świadectwa ofiar. Ale już na kolejnych oso-

by skrzywdzone same decydowały się dzielić swoją traumą. „Rzeczywistość przerosła nasze oczekiwania” – mówił proboszcz. Kwestowano także na pomoc dla takich osób (zebrano 3702 euro).

Czy rzeczywiście zinstrumentalizowano mszę?

Skrzywdzeni w niezwykle mocny sposób uobecniają misterium cierpienia Chrystusa. Dzięki wstrzymaniu Eucharystii i zrobieniu dla nich miejsca, osoby te naprawdę stanęły w centrum Kościoła. Parafianie z Aschaffenburga wiernie też zrealizowali zalecenie Jezusa: „Jeśli więc przyniesiesz dar swój przed ołtarz i tam wspomnisz, że brat twój ma coś przeciw tobie, zostaw tam dar swój przed ołtarzem, a najpierw idź i pojednaj się z bratem swoim! Potem przyjdź i dar swój ofiaruj!” (Mt 5, 23-24). Kościół, sprawując msze i jednocześnie ignorując osoby skrzywdzone, czyni hipokryzję kontekstem liturgii. ©

## Szeryf w Watykanie

**PAPIEŻ REFORMUJE** Kongregację Nauki Wiary odpowiedzialną za czystość doktryny i dyscyplinę w Kościele, do której trafiają m.in. sprawy księży oskarżanych o wykorzystywanie seksualne nieletnich. Urząd był niewydolny – do tej pory kilkunastu urzędników rozpatrywało nawet tysiąc przypadków pedofilii rocznie. Z czterech sekcji (ds. doktryny, dyscypliny, małżeństw i tradycjonalistów) pozostaną tylko dwie: pierwsza przejmie obowiązki dwóch ostatnich, a druga uzyska większą samodzielność i wsparcie personalne. Każdą zarządzać będzie oddzielny sekretarz, podlegający bezpośrednio kardynałowi prefektowi.

Decyzje co do obsady stanowisk mają zapaść w najbliższych dniach. Pewnymi kandydatami na szefów sekcji wydają się dotychczasowi „sekretarze dodatkowi” – bp Joseph Di Noia (doktryna) i abp Charles Scicluna (dyscyplina). Choć możliwe, że ten ostatni – zasłużony w rozwiązywaniu afer pedofilskich w Kościele – obejmie nadzór nad całą kongregacją i otrzyma kardynalski bioret (dotychczasowy prefekt kard. Luis Ladaria Ferrer ma przejść na emeryturę).

© EDWARD AUGUSTYN

## Osiem wieków biał-czarnego zakonu

„**DAJ MI BRACI SŁOWIAN**, a wykształcę ich i ci odeślę” – poradził św. Dominik biskupowi krakowskiemu Iwonowi Odrowążowi. Hierarcha, wielki propagator reformy Kościoła, był rad, że podczas wyprawy do Rzymu spotkał hiszpańskiego zakonodawcę, i wyraził życzenie, by dominikanie przybyli na ziemię polskie. Z orszaku hierarchy odłączyło się trzech ochotników, w tym krewniacy biskupa – Jacek i Czesław. Rok później, odziani w biał-czarne habity, wrócili do Krakowa. Biskup Iwo przekazał pierwszym polskim dominikanom drewniany kościół św. Trójcy, obok którego niebawem wzniesiono klasztor. Stało się to w roku 1222. Współcześni dominikanie, zamykając w ostatnią sobotę obrady kapituły prowincjalnej, rozpoczęli obchody 800-lecia obecności zakonu w Polsce.

Już pod koniec XIII w. w skład polskiej prowincji, obejmującej wtedy obok księstw polskich także Czechy, Pomorze i Prusy, wchodziły 54 klasztory. Mnisi zasłynęli jako wybitni kaznodzieje, spowiednicy i misjonarze, opowiadano też o czynionych przez nich cudach: Jacek przepłynął na zakonnej kapie Wisłę, a Czesław poraził piorunem oblegających Wrocław Tatarów. Na łożu śmierci Jacek (kanonizowany pod koniec XVI w.) zostawił braciom proste przesłanie: „Kochajcie się wzajemnie, bądźcie pokorni, a waszym jedynym bogactwem niech będzie ubóstwo”.

© MACIEJ MÜLLER

## KULTURA W SKRÓCIE

## „SONATA” W SOFII

„Sonatę” zakwalifikowano do konkursu głównego 26. Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Sofii, który rozpocznie się 10 marca.

Pełnometrażowy debiut Bartosza Blaschke ma tam szansę na Grand Prix. Film został już doceniony przez publiczność festiwalową w Gdyni, a 4 marca trafi do kin w całym kraju.

## „NAWALNY” W POLSCE

Dokument o historii Nawalnego w reż. Daniela Rohera obejrzą widzowie tegorocznego festiwalu Millennium Docs Against Gravity. Premierę „Nawalny” miał podczas festiwalu w Sundance, gdzie otrzymał Nagrodę Publiczności.

## BRUEGEL NA WAWELU

Zamek Królewski na Wawelu wzbogacił kolekcję o dwa dzieła wybitnych twórców niderlandzkich – „Karczmę pod świętym Michałem” Pietera II Bruegla oraz „Martwą naturę” Willega Claesza Hedy. To największy zakup dzieł malarskich w powojennej historii Wawelu.

## PRACA DLA TANCERZY

Bytomski Urząd Pracy we współpracy z tamtejszym Teatrem Tańca i Ruchu Rozbark umożliwił bezrobotnym artystom udział w pilotażowym programie stażowym. Tancerze uczyli się nowych technik scenicznych, poznawali tajniki pedagogiki teatru i choreografii. Po szkoleniu zaoferowano im płatny staż w teatrze i obiecano zatrudnienie na umowę o pracę po jego zakończeniu.



## DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA”

co tydzień goszczą w programie „Światopogląd” Agnieszki Lichnerowicz w radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy! 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin 94,9 FM Kielce [www.tokfm.pl](http://www.tokfm.pl)



JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

## Repetytorium z „Dziadów”

**HISTORIA LUBI SIĘ POWTARZAĆ**, nawet jeśli ryzykuje, że powtórzy się farsa.

Kiedy po zaleceniu małopolskiej kurator Barbary Nowak, by szkoły nie chodziły na „Dziady” w reżyserii Mai Kleczewskiej, pojawiły się porównania do reakcji na „Dziady” Kazimierza Dejmka, przedstawiciele obecnych władz wysłali je i odrzucili. Ja też uważałem je za przesadzone i niefortunne. Najwyraźniej jednak rządowi województwa małopolskiego spodobał się scenariusz z marca 1968. Decyzja o wszczęciu procedury odwołania dyrektora Krzysztofa Głuchowskiego (na zdjęciu powyżej) pod oczywiście pretekstowymi zarzutami, wśród których szczególnie groteskowy jest ten o naruszaniu dobrego imienia Teatru im. Słowackiego, natychmiast

wywołała protest pracowników placówki, do którego dołączają kolejne zespoły, organizacje i stowarzyszenia z całej Polski.

Skali i skutków tych protestów oczywiście nie sposób dziś przewidzieć, ale jeśli pójść za impulsem powtórki, który tak uwiódł marszałka Witolda Kozłowskiego i jego współpracowników, to rysuje się frapująca perspektywa. Wystąpienia przeciwko zdjęciu „Dziadów” wiosną 1968 r. zakończyły się klęską protestujących, ale przyniosły też kres złudzeń co do charakteru i celów władzy. Powtórka z „Dziadów” wiosną 2022 r. przynieść może skutek podobny. Trudno ocze kiwać, że wywoła rewolucję. Raczej umocni poczucie bezradności, które bije z przedstawienia Kleczewskiej. Ale przynajmniej będzie jasne, kto na czym miejscu stoi. Role Pawła Jasienicy i Witolda Fillera czekają na wykonawców.

© DARIUSZ KOŚCIŃSKI

## Trzecia wyleczona

**15 LUTEGO NA KONFERENCJI WIRUSOLOGICZNEJ** CROI 2022 ogłoszono trzecie w historii medycyny wyleczenie z infekcji wirusem HIV. W obu poprzednich przypadkach – byli to tzw. Pacjent Berliński (1998) i Pacjent Londyński (2019) – ozdrowienie nastąpiło po transplantacji szpiku kostnego, przeprowadzonej w toku leczenia choroby nowotworowej. Gdy przeszczepione komórki są „nieczyste” na infekcję HIV – co czasem się zdarza, gdy dawca jest nosicielem odpowiedniej mutacji – przeszczep rozwiązuje dwa problemy za jednym zamachem.

Nowy przypadek jest przełomowy z dwóch powodów.

Po pierwsze, ową trzecią osobą, której krew jest dziś wolna od wirusa HIV już od 14 miesięcy (mimo odstawienia leków), jest kobieta, ponadto, jak piszą autorzy, „rasy mieszanej”. To dobra wiadomość: skuteczność terapii potwierdzono od razu u dwóch dużych grup pacjentów.

Po drugie, wyleczona przeszła przez nieco bezpieczniejszą niż przeszczep szpiku transplantację komórek macierzystych z krwi pępowinowej. Na nowo odżywa więc nadzieja na „lek na AIDS”, przynajmniej dla niektórych chorych.

© P Ł L

# ATAK NA UKRAINĘ

Za geopolityczne decyzje Putina rachunek płacą zwykli ludzie.

Jak ci z miasteczka, które może przejść do historii jako „ukraińskie Gliwice”. Co ich czeka? Co nas czeka?

**WOJCIECH PIĘCIAK**

**G**EOPOLITYKA ZAWITAŁA DO STANICY ŁUGAŃSKIEJ – parotysięcznej osady w najdalej na wschód wysuniętej części Donbasu, blisko granicy z Rosją – w czwartek 17 lutego wczesnym rankiem. Na szczęście nie później.

W tamtej chwili, około ósmej, dzieci dopiero schodziły się do miejscowego przedszkola. Choć więc w budynku było ok. 40 osób – po połowie, dorosłych i dzieci – te ostatnie nie zdążyły przejść do tej jego części, gdzie jest salka zabaw. Zewnętrzna ściana wychodzi tu na stronę, gdzie kilkaset metrów dalej zaczyna się strefa frontowa. Najpierw są pozycje armii ukraińskiej, która od ośmiu lat broni Stanicy, potem jest ziemia niczyja, a dalej ci, o których tutaj mówi się „okupanci”.

Geopolityka zawitała do Stanicy pod postacią pocisków artyleryjskich, które około ósmej spadły na ukraińskie okopy i na ulice. Jeden uderzył w przedszkole – na wysokości sali, gdzie chwilę później dziewczynki mogły się bawić domkiem dla lalek. Solidna ceglana ściana poddała się, ale złagodziła impet uderzenia. Nikt nie zginął, kilkoro dorosłych zostało rannych. Domek dla lalek ocalał.

## Chcą nas sprowokować

Jurij Zołkin mieszka w Stanicy. Dziś emeryt, kierował tutejszą administracją powiatową. – Takich ostrzałów cywilnych budynków nie było u nas od początku 2016 r. – mówi „Tygodnikowi” w rozmowie

telefonicznej. – Wcześniej, w latach 2014-15, były one na porządku dziennym, ale później się trochę uspokoiło. Oczywiście co chwila coś się działo, pracowali rosyjscy snajperzy, spadało po parę pocisków, ginęli żołnierze. Ale to była taka codzienność, z którą przyszło nam żyć. Jak pocisk coś uszkodził, remontowaliśmy. I tak w kółko.

– Teraz ludzie mówią, że czują się znów jak w roku 2014 – dodaje Zołkin.

Tego dnia rosyjska artyleria uderzyła nie tylko w Stanicę. – Rozmawiam stale ze znajomymi z innych miejscowości. Od 17 lutego płonie cała linia frontu u nas na Ługańszczyźnie. Biją po okopach i po wioskach. Myślę, że chcą sprowokować naszych żołnierzy, aby potem twierdzić, że to ukraińska ofensywa – mówi Zołkin.

Ale choć tego dnia pod ogniem znalazło się kilkadziesiąt miejscowości, od Stanicy na północy po przedmieścia Mariupola na południu, to ich przedszkole trafiło na czołówki mediów (np. „New York Timesa”) i do oświadczeń polityków. Sięgano po analogię historyczną: prowokację gliwicką z sierpnia 1939 r., gdy wywiad III Rzeszy zorganizował rzekomy polski atak na niemiecką radiostację w Gliwicach, aby dla światowej opinii stworzyć pretekst uzasadniający agresję na Polskę.

– Okupanci rozpuścili fejk, że Ukraińcy ostrzelali przedszkole po ich stronie frontu. Jak się okazało, że trafili w nasze,



*W ostrzelanym przez Rosjan przedszkolu w Stanicy Ługańskiej. Ukraina, 17 lutego 2022 r.*



ARIS MESSINIS / AFP / EAST NEWS

zaczęli twierdzić, że to ukraińskie wojsko nas ostrzelało – mówi Zołkin. A potem długo tłumaczy, dlaczego jest fizycznie niemożliwe, by pocisk wystrzelony z pozycji ukraińskich mógł uderzyć w to miejsce.

### Scenariusz eskalacji

Zachodni dziennikarze i politycy przechodzą dziś kurs XX-wiecznej historii. Analogie się narzucają. Nie tylko do Głiwic, także do sowieckiego podręcznika

provokacji. Np. do listopada 1939 r., gdy Armia Czerwona ostrzelała rosyjskie wsie, by przypisać winę Finom i uzasadnić tym atak, nazwany potem wojną zimową.

Również prognozowanie rozwoju sytuacji może przypominać wrzesień 1938 r. lub sierpień 1939 r. i ówczesne rozważania o przyszłości Czechosłowacji i Polski.

Co więc możemy powiedzieć o sytuacji strategicznej w chwili zamykania tego numeru „TP”?

Wprawdzie 16 lutego nie zaczęła się pełnowymiarowa inwazja – tę datę podawali niektórzy zachodni politycy, prowadzący coś, co można nazwać „wyprowadzającą strategią informacyjną” (jej celem jest uprzedzanie możliwych działań Putina, a przez to odbieranie im ostatnich pozorów wiarygodności, a także wyznaczanie „czerwonych linii”, za którymi Zachód może odpowiedzieć ostrymi sankcjami).

Jednak dzień później Rosja zaczęła realizować w Donbasie scenariusz ➔

→ eskalacji. Od lat stoją tu dwa rosyjskie korpusy armijne (1 KA Donieck i 2 KA Ługańsk: łącznie 35 tys. żołnierzy i więcej czołgów, niż mają np. Niemcy). Moskwa się do nich nie przyznaje – dla niej są to „siły zbrojne republik ludowych” – i twierdzi, że nie ma na nie wpływu.

O ile więc armia rosyjska nie przeszła granicy, o tyle jej nieoficjalne siły w Donbasie prowadzą od 17 lutego ostrzał wzdłuż całej linii frontu, mówią o zagrożeniu „ukraińską ofensywą”, ogłaszają mobilizację, pokazowo ewakuują cywilów i dokonują dewastacji własnej infrastruktury (np. gazociągu), winą obarczając „ukraińskich dywersantów”.

To wywieranie presji na Ukrainę i Zachód. Po co? Jest kilka możliwości. Pierwsza: aby jeszcze mocniej wystraszyć Zachód i pokazać, że Rosja jest zdolna do wszystkiego; miałyby to utorować drogę do dalszych rozmów i na koniec ustępstw. Po drugie, aby uzasadnić wprowadzenie do Donbasu nowych żołnierzy i nowego sprzętu. Po trzecie, aby uzasadnić pełnowymiarową już inwazję regularnej armii na Ukrainę.

W poniedziałek 21 lutego najbardziej prawdopodobny wydawał się pierwszy scenariusz. Co oznacza, że jest to kryzys na dłużej: na dalsze destabilizowanie Ukrainy (także gospodarcze) i na dalsze zmęczenie Zachodu, aby w końcu miał dość i ustąpił.

Jeśli tak jest, Ukraina i Zachód powinny uzbroić się w cierpliwość, by przetrwać czas nieznosnego już chwilami napięcia. Zachód musi wspierać Ukrainę także finansowo, gospodarczo i moralnie – jej państwo i społeczeństwo funkcjonują dziś w trybie wojennym, ze wszystkimi tego skutkami (od strat gospodarczych po ludzkie nerwy).

### Matka Boża Staniczna

Stanica Ługańska leży w miejscu, gdzie Ukraina wciną się między Rosję a tereny ukraińskie przez nią okupowane (czas, by pożegnać pojęcie „separatysty”). W każdym scenariuszu osada idzie na pierwszy ogień: od północy wisi nad nią rosyjski „występ woronecki”, gdzie stoją 1. Gwardyjska Armia Pancerna i 20. Armia Ogólnowojskowa.

Nie trzeba być specjalistą, aby sądzić, że ich zadanie – przy scenariuszu najczarniejszym – to uderzenie na tyły ukraińskich sił w Donbasie, by zamknąć je w wielkim „kotle”.

W Stanicy to widzą i się boją. Czy i tym razem ochroni ich Bogarodzica Pokrowa, ich własna? Na wielkiej ikonie, która spogląda ze ściany miejscowego domu kultury, delikatnie uśmiechnięta Pokrowa, Opiekunka, otacza – jak na klasycznych ikonach, pisanych od wieków – matczynym płaszczem swoje dzieci, małe i duże.



*Ikona-mural ze Stanicy Ługańskiej po ostrzale, 2015 r.*

Jej twórcą jest Lew Skop, ikonopisarz z Drohobycza. Był maj 2015 r., w miasteczku trwał Festiwal Pokoju (organizowany teraz co roku), gdy Lew wykorzystał chwilę rozejmu i stanął na pospiesznie skleconym rusztowaniu. Dla bezpieczeństwa artysty osłonięto je siatkami maskującymi – ściana wychodzi na linię frontu.

W kolejnych latach ikona często była pod ogniem. Ryły ją kule różnego kalibru. W chwilach spokoju ludzie ją odnawiali. Wyjęte z niej kule zachowywali. Jak relikwie.

Ostatnie ostrzały ominęły Matkę Bożą Staniczną. Skoro tak, może nie jest bardzo źle?

© © WOJCIECH PIĘCIAK

Współpraca Aleksandra Woźniak (Drohobycz), Wojciech Konończuk

Tekst ukończono 21 lutego.

## Pierwszy dzień końca świata

PAWEŁ PIENIAŻEK Z KIJOWA

Oleh korzysta z aplikacji, w której zapisuje, jak spędza czas. Program pyta go, czy spędził dzień tak, jakby był jego ostatnim. Od niedawna Oleh sam zadaje sobie to pytanie. Każdego dnia. Stara się, by żadnego z nich nie żałował.

JUŻ WE WTOREK PÓŹNYM POPOŁUDNIEM Agencja Reutera zaczęła relację na żywo z Kijowa; kamerę ustawiono z widokiem na plac Niepodległości. Na ulicach panował już mrok rozświetlany miejskimi lampami. Auta powoli jechały ruchliwym Chreszczatykiem. Życie w 3,5-milionowym Kijowie toczyło się codziennym rytmem. Jednak świat wstrzymał oddech.

Od grudnia 2021 r. nad Ukrainą wisiała groźba eskalacji wojny z Rosją. Według zachodnich polityków i mediów w grę wchodzić mogła inwazja na pełną skalę, której celem miałyby paść też Kijów. Emocje buzowały, politycy przemieszczali się na osi Stany Zjednoczone – Unia Europejska – Rosja – Ukraina z niewidzianą nigdy częstotliwością.

Informowano o koncentracji wojsk przy granicą z Ukrainą: 110 tysięcy, 130 tysięcy, 150 tysięcy. Mówiono, że wojna, prawdopodobnie najgorsza od II wojny światowej, stała się nieunikniona. Prezydent Stanów Zjednoczonych Joe Biden i jego przedstawiciele utrzymywali, że to kwestia dni. Wreszcie anonimowe źródła w jego otoczeniu poinformowały media, że może to być środa 16 lutego. Następnie brytyjskie tabloidy rzuciły nawet dokładną godzinę: trzecia w nocy. Tak jak przed rokiem 2000 czy 2012 przepowiedano koniec świata, tak teraz objęta została nim tylko Ukraina.



CARLOS BARRIA / REUTERS / FORUM

Plac Niepodległości w Kijowie. Ukraina, 16 lutego 2022 r.

– Z przyjaciółmi żartujemy, że dzień lat temu świat naprawdę się skończył, wszyscy zginęliśmy. A to, co się teraz dzieje, to tylko jakaś fikcja – mówi 26-letni Oleh Idołow, projektant komunikacji wizualnej w jednej z tutejszych firm informatycznych.

### Marusia ukryje się w wannie

35-letnia Alina Hajewa zajmuje się sztuką w szerokim rozumieniu tego słowa. Maluje obrazy, rysuje, ilustruje książki, wykonuje tatuaże, a od kilku lat projektuje też ubrania. Pograżona w wielu zajęciach, mogłaby w ogóle nie zwrócić uwagi, że coś się dzieje wokół, gdyby nie jej 7-letnia córka Marusia.

– Mamo, jutro ma być wojna.

– Dobrze. Jeśli coś by się działo, będę w pracy – Alina zignorowała słowa córki.

Marusia jest lepiej od matki poinformowana o tym, co się dzieje w kraju. Ogląda wystąpienia Wołodymyra Zełenskiego. To ona powiedziała Alinie, że prezydent wprowadził nowe święto państwowe. „Mówią nam, że 16 lutego stanie się dniem inwazji. My zrobimy z niego Dzień Jedności. Odpowiedni dekret jest już podpisany. Tego dnia wywiesimy flagi państwowe, założymy niebiesko-żółte wstążki i pokażemy całemu światu naszą jedność” – powiedział Zełenski w orędziu wygłoszonym

dwa dni przed zapowiedzianym atakiem.

Odkąd pojawiło się kolejne zagrożenie ze strony Rosji, dzieciom w szkole Marusi zaczęto mówić o możliwej eskalacji. Któregoś dnia powiedziała mamie, że ma plan w razie ataku. Wraz z koleżanką, która mieszka na innym piętrze, wyłożyła wannę w jej łazience prześcieradłami i położyła się w niej, by uniknąć zagrożenia. We wtorek 15 lutego Marusia podeszła do matki i postanowiła wykorzystać okazję.

– Skoro jutro jest taki dzień, to czy mogę nie zostawać po lekcjach w świetlicy, tylko pójść do koleżanki? – zapytała.

Alinie Hajewej nie pozostało nic innego, jak tylko się zgodzić. Nie miała głowy ani do wojny, ani do świętowania. Do pierwszej w nocy pisała teksty na stronę internetową, na której prezentuje swoją twórczość.

### Teraz Ukraina jest mocniejsza

Z miejscowości Hurzuf na Krymie Oleh Idołow wyjechał na studia do Kijowa na kilka miesięcy przed tym, jak w marcu 2014 r. Rosja anektowała jego ziemię rodzinną. Wcześniej regularnie kursował między stolicą a Półwyspem Krymskim. Był z nim związany i tam do dziś żyją jego rodzice.

Na Krymie był już po tym, jak Rosja rozpoczęła jego okupację. Wciąż

wszystko się tam gotowało. Jako osoba związana z kulturą wizualną, Oleh zwracał uwagę na różne zmiany, czasami drobne: podmienianie flag, zmiana mundurów, zastępowanie jednych symboli drugimi. Najbardziej wbiła mu się w pamięć metalowa skrzynka pocztowa. Wy pukły tryzub zamalowano barwami Federacji Rosyjskiej, ale mimo to ukraińskie godło państwowe wciąż rzucało się w oczy.

To właśnie doświadczenie wydarzeń na Krymie sprawiło, że Oleh był sceptyczny wobec obecnego napięcia między Rosją a Ukrainą. W 2014 r. na Półwyspie Krymski wysłano tzw. zielone ludziki, czyli rosyjskich żołnierzy bez oznaczeń. Dopiero po aneksji Kreml oficjalnie przyznał, że to ich wojskowi.

– Choć Ukraina była wtedy znacznie słabsza, Rosja nie szła na bezpośrednią wojnę, tylko stosowała jakieś półśrodki – mówi Oleh.

Tak samo działo się w przypadku wojny w Donbasie, która wybuchła w kwietniu tamtego roku, a potem w ciągu ośmiu lat pochłonęła – według ostrożnych szacunków – ok. 14 tys. ofiar śmiertelnych. Choć wśród walczących przeciwko siłom rządowym znajdowało się wielu miejscowych, to rosyjscy żołnierze aktywnie brali – i biorą nadal – w niej udział. Tylko Kreml nigdy się do tego nie przyznał.

– Teraz Ukraina jest dużo mocniejsza niż osiem lat temu, więc nie widzę powodów, by Rosjanie ruszyli z flagami na Kijów – twierdzi Idołow.

### Tryb „sen”

Oleh śledzi informacje, ale nie wzbudza w nim szczególnej paniki. Wierzy, że każdy nierozwiązany konflikt w końcu eskaluje, jednak wątpi, że to właśnie ten moment. Za to postanowił wykorzystać tę okazję, by się lepiej przygotować. Gdy wiosną 2021 r. przy granicach Ukrainy również stało nawet do 170 tys. rosyjskich żołnierzy, Idołow przygotował dokumenty, zebrał podstawową apteczkę, kupił podręcznik, jak ludność cywilna ma zachowywać się w trakcie działań zbrojnych, i omówił wszystko ze swoją dziewczyną. Teraz dokupił leki, baterie i latarki.

Mimo spokoju odczuwał pewną melancholię. Złapał się na tym, że gdy wychodzi na balkon na papierosa, wpatruje się w niebo.

→ Oleh korzysta z aplikacji, w której zapisuje, jak minął jego dzień i jakie towarzyszyły mu emocje. Co kilka dni program pyta go, czy spędziłby ten dzień tak samo, gdyby był jego ostatnim. Odkąd jednak narosło zagrożenie rosyjskim atakiem, sam zaczął sobie zadawać to pytanie. I to każdego dnia. Stara się, by żadnego z nich nie żałował.

15 lutego wieczorem zastanowił się, co robić. Nie miał szczególnych planów. Zanim położył się do łóżka, chciał włączyć tryb „sen” w telefonie, który blokuje powiadomienia. Albo włączyć budzik na trzecią i sprawdzić, co się dzieje.

– W końcu się powstrzymałem. Pomyślałem, że cała ta historia nie zabierze mi zdrowego snu. Przynajmniej się wyśpię, jeśli koszmar się urzeczywistni – żartuje.

Stara się nie zaczynać dnia od wpatrywania się w telefon, ale 16 lutego rano spojrzął, czy nic się nie działo. Nic ciekawego nie znalazł: covid; hrywna trochę się umocniła względem euro i dolara; Stany chcą nałożyć sankcje na Rosję; Zełenski mówi, że Ukraińców łączy chęć życia w pokoju.

### Trzeba też odpoczywać

37-letni Andrij Kozinczuk spędził tę noc w hotelu. Prowadził zajęcia podczas szkoleń dla weteranów. Tematem przewodnim były sposoby prowadzenia dialogu. Poszedł spać późno, ale nie z powodu obaw, lecz dlatego, że siedział w swoich notatkach. Kładąc się, nie wyłączał dzwonka w telefonie, bo pomyślał, że a nuż ktoś zadzwoni i powie: „Andriju, zbieraj się, trzeba jechać”. Choć w to nie wierzył, nigdy nie można być zupełnie pewnym.

Kozinczuk jest psychoterapeutą i weteranem. W 2014 r. służył w obwodzie ługańskim w jednym z ukraińskich batalionów ochotniczych. Dziś pracuje przede wszystkim z cywilami, w ramach prywatnej praktyki, ale resztę czasu poświęca aktywnym wojskowym i tym, którzy ukończyli służbę. Robi to nieodpłatnie. Działa też w Ruchu Weteranów Ukrainy.

Gdy skończył pracę, położył się spać. Od samego rana miał dużo zajęć. Poszedł na śniadanie hotelowe. Nabrał dużo wszystkiego, bo podobało mu się, że wszystko jest pod ręką i nie musi nic szykować ani zmywać naczyń. „O kurde, a co z wojną?!” – przypominał sobie w którymś momencie. Przejrzał wiadomości w telefonie. Nic nowego.



**OLEH** złapał się na tym, że gdy wychodzi na balkon na papierosa, wpatruje się w niebo. Na razie puste.



**ALINA** mogłaby nie zwrócić uwagi, że coś się dzieje, gdyby nie jej 7-letnia Marusia. Cóрка jest lepiej poinformowana od matki.



**ANDRIJ** jest psychoterapeutą, nieodpłatnie pomaga wojskowym i weteranom. On sam też kiedyś walczył na froncie w Donbasie.

Zanim zaczął się trening, spotkał się z dziennikarzami. Pytali, jak się zachowywać, gdyby odcięto łączność w kraju. Następnie na konsultację przyszła klientka.

W związku z sytuacją zwraca się do niego wiele osób. Nie powoduje tego obawa przed inwazją, tylko napięcie, przez które pojawiają się inne problemy – jak choćby relacje z partnerami czy problem z wydajnością w pracy.

– Większe napięcie oznacza, że tracisz teraz więcej energii na to samo, co robiłeś dotychczas. To tak, jakbyś zatankował samochód dwudziestoma litrami paliwa. Jasne, że pokonasz więcej kilometrów na prostej drodze, niż jak wjeżdżasz pod górkę i do tego z obciążeniem – mówi Kozinczuk. – Dlatego uświadamiam ludziom, że muszą odpoczywać, aby mieć więcej paliwa.

### Jak kibic w złym sektorze

Z doświadczenia Andrija wynika, że najwięcej spokoju panuje wśród wojskowych, byłych lub obecnych. Gdy spotykają się grupą weteranów, raczej rozmawiają o tym, gdzie najtaniej kupić naboje, a nie czy Rosja znów zaatakuje.

Kozinczuk uważa, że jest tak z dwóch powodów. Przede wszystkim weterani nie wierzą, że dojdzie do poważnej eskalacji. Rosja poniosłaby ogromne straty, bo osiem lat po wybuchu wojny w Donbasie ukraińska armia zmieniła się nie do poznania. Jest lepiej wyposażona – także dzięki zachodniemu wsparciu w ostatnich tygodniach – i lepiej wyszkolona. Poza tym utrzymanie terytorium, gdzie mało kto przychylnie patrzyłby na rosyjskie wojska, byłoby bardzo trudne. Kozinczuk porównuje to do interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji w 1968 r.

– Na kronikach z tamtego czasu widać, jak żołnierze, choć byli w czołgach, odczuwali niepokój. Wszyscy patrzyli na nich spode łba – mówi. – Tutaj czuliby się tak, jakby podczas meczu poszli kibicować w sektorze drużyny przeciwnej.

Kolejnym powodem, dla którego weterani mają nie odczuwać aż takiego niepokoju, jest to, iż wiedzą, co robić w obliczu zagrożenia. Andrij przyznaje, że planowanie i doświadczenie pozwalają opanować emocje. To dlatego kilka dni przed 16 lutego sprawdził swoją apteczkę i mundur, a nawet wypastował wojskowe buty, których dawno nie wkładał, by skóra nie była taka sucha. – Nie chciałem w razie

czego iść na wojnę w czerwonych adidasach – mówi.

Razem ze znajomymi weteranami omówili też, co powinni zrobić. Gdyby doszło do eskalacji, nie będzie więc jechać prosto na front, tylko wraz z innymi będzie pilnować porządku w mieście. Twierdzi, że łatwo mogłoby dojść do wybuchu paniki, ludzie zaczęliby walczyć o ostatnie rzeczy w sklepach, pojawiliby się szabrownicy czy zamieszki, a policja mogłaby sobie z tym wszystkim nie poradzić. Dopiero po opanowaniu pierwszego szoku mogłby pojechać gdzieś dalej.

A potem? – Toczyłby się ostry bój, wielu by zginęło, może także my. Ale to byłoby coś. Szkoły nazywaliby moim imieniem... – żartuje Andrij.

Po całym dniu szkoleń, konsultacji i spotkań wieczorem postanowił wybrać się do baru. Stara się to robić dwa razy w tygodniu. Nie tyle, aby się napić, tylko żeby posiedzieć z ludźmi spoza swojego otoczenia i posłuchać, czym żyją. Tego wieczoru zagrożenie eskalacją zdecydowanie nie należało do tematów rozmów.

### Sprzedam garaż

Rankiem w środę Alina Hajewa odprowadziła Marusię do szkoły, a potem pojechała do pracowni. Umówiła się z fotografką, która miała robić zdjęcia jej prac – będą opublikowane na powstającej stronie internetowej. Przez ponad dziesięć lat Alina stworzyła ponad 2,5 tys. obrazów, grafik, ilustracji. Mówi, że to nic trudnego. Wystarczy tylko zajmować się tym codziennie przez dekadę.

Tego dnia nie sprawdziła nawet, co się dzieje w kraju i świecie.

Mniej więcej w tym czasie, gdy jechały do szkoły, transmisja Reutera dobiegała końca. Niebo nad miastem było puste i szare, samochody jechały po Chreszczatyku, przechodnie wchodzili i wychodzili z metra. Tego dnia centralny plac Kijowa nie zamienił się w pole boju, które przyciągałoby widzów.

Spokój kadru zaburzył tylko dron. Miał przyczepiony kawałek kartonu. Gdy zbliżył się do kamery, napis stał się wyraźny: „Sprzedam garaż”. A pod nim numer telefonu. Jak się potem okazało, do rosyjskiej ambasady w Kijowie.

Ambasada, rzecz jasna, garażu nie sprzedawała. © PAWEŁ PIENIAŻEK

# Cierp, moja śliczna

ANNA ŁABUSZEWSKA

**Pod internetową petycją „Nie dla wojny z Ukrainą” podpisało się tylko osiem tysięcy Rosjan. Co poddani Władimira Putina myślą o jego agresywnej polityce?**

OD WIELU LAT TEMATEM NUMER jeden prokremlowskich stacji telewizyjnych jest nieodmiennie Ukraina. To dyżurny chłopiec do bicia, obrywający – w gruncie rzeczy za całokształt – od rosyjskich polityków, dziennikarzy i analityków. Negatywny bohater, któremu jednak Moskwa ciągle daje szansę poprawy.

W myśl tezy, wypowiedzianej kilkakrotnie przez Putina, że Rosjanie, Ukraińcy i Białorusini to jeden naród, grono telewizyjnych „gadających głów” przedstawia sposoby powrotu marnotrawnej ukraińskiej córki na łono matuszki Rosji. Rosyjska klasa rządząca uważa bowiem Ukrainę za państwo sezonowe, które chwilowo zbłądziło – z poduszczenia Zachodu, który ma ponosić winę za to, że Kijów odwrócił się plecami do Moskwy.

### Panna Ukraina

Ugniatanie opinii publicznej przez rosyjską telewizję idzie dwutorowo: złe władze w Kijowie należy skarcić i zawrócić z drogi ku NATO i Unii Europejskiej, natomiast „kolektywny Zachód” należy przekonać (lub przymusić), by uznał Rosję za światowe mocarstwo i poszanował jej żywotne interesy na obszarze post-sowieckim, w tym na Ukrainie (czytaj: by uznał jej strefę wpływów).

W tym celu codziennie w studiu TV Rossija, NTV czy 1 Kanału zbierają się komentatorzy, którzy powtarzają zadane mantry: że w Kijowie rządzą nielegalne władze, wyłonione w toku przewrotu, że są one pod tak wielkim wpływem „banderowców i faszystów”, iż same stały się nazistowskie, banderowskie itp. Że Ukraina zamierza napaść na Rosję, a jeśli nie na Rosję, to przynajmniej na oderwaną w 2014 r. część Donbasu (dwie „republiki ludowe”).

Ostatnio uczestnicy tych programów intensywnie wyśmiewają też prezy-

denta Ukrainy, który w swej ignorancji miał zawierzyć cynicznym patronom z Waszyngtonu. Wyśmiewają też, jak mówią, głupotę polityków zachodnich. Deklarujący sympatię do sąsiadów dyskutanci ostrzegają naiwnych Ukraińców, aby mieli na względzie, że Zachód wykorzysta „śliczną pannę” – tak Putin określił niedawno Ukrainę, rzucając przy tym seksistowsko: „Cierp, moja śliczna!”. Wykorzysta i porzuci, bo Zachód kłamał, kłamie i będzie kłamać zawsze.

Na tle tych szwarczarakterów jaśnieje gwiazda nieomyślności Putina, który z trudem zniża się do poziomu zagranicznych partnerów, by pokazać im jedyną słuszną drogę do pokoju na świecie – tę pod dyktando Moskwy.

### Świat jednowymiarowy

Ten propagandowy przekaz spływa z ekranów dzień w dzień. Tymczasem to telewizja – kontrolowana przez Kreml – jest nadal tym spinaczem, który łączy wielkie przestrzenie Rosji. Spójna układnia dociera do Kaliningradu i na Kamczatkę.

W tym przekazie fachowo pomijane są tematy tabu – korupcja, skandale obyczajowe i inne działania Putina oraz jego otoczenia, a także prześladowania dysydentów, zbrodnie systemu i inne – za to obficie reprezentowane są treści ustalone przez kremlowskich kontrolerów. To głównie pochwała prezydenta i jego inicjatyw oraz krytyka Zachodu i niedobitej rosyjskiej opozycji. Świat jednowymiarowy i łatwy do przyswojenia.

Według najnowszych badań ośrodka socjologicznego FOM dla 59 proc. Rosjan telewizja jest głównym źródłem wiedzy o świecie. Dla porównania: internetowe serwisy informacyjne są nim dla 45 proc., a sieci społecznościowe dla 23 procent. Telewizji ufa 43 proc. ➔

→ respondentów (w 2015 r. było to 63 proc.). Tylko 7 proc. uważa, że jakość przekazu pogorszyła się, i wskazuje kłamstwa oraz brak obiektywizmu jako główne wady programów telewizyjnych i powody swej nieufności do przekazywanych treści.

### Wszystko mamy swoje

Przekaz jest modyfikowany – w zależności od zapotrzebowania Kremla.

Od kilku dni rosyjska telewizja serwuje materiały filmowe z „republik ludowych”, donieckiej i ługańskiej. Pokazuje zrujnowane domy czy zaatakowane rzekomo przez armię ukraińską przedszkole. To zresztą charakterystyczny kazus: najpierw o ostrzale przedszkola położonego rzekomo na terenie jednej z „republik” poinformowali w miniony czwartek separatyści, oskarżając o atak Ukrainę. Potem, gdy okazało się, że przedszkole leży na terenie pod kontrolą Ukrainy, oznajmili, iż Ukraińcy sami ostrzelali swoje przedszkole, by zwalić winę na nich.

Reportaże okraszane są wypowiedziami mieszkańców, którzy wskazują Ukraińców jako stronę atakującą cywilów z Donbasu. Mieszkańcom wtórują miejscowi watażkowie w mundurach, którzy poświadczają, że oni chcą tylko pokoju.

Rosyjscy telewidzowie mogą się też dowiedzieć, że Kijów planuje prowokację. Np. w „Wieczorze z Władimirem Sołowjowem” (to codzienny seans nienawiści do Zachodu i Ukrainy, pod kierunkiem

Szczęk oreża w słowach  
Putina wydaje się nie robić  
wrażenia na Rosjanach.  
Społeczeństwo nie protestuje  
przeciw planom władz.

kapłana propagandy) mogli usłyszeć, że zachodni dyplomaci przenieśli się z Kijowa do Lwowa, bo wiedzą, iż Ukraińcy planują prowokację w Czarnobylu (teren elektrowni atomowej), którą przypiszą Rosji, a z Czarnobyla do Lwowa jest dużo dalej niż do Kijowa, więc sami państwo rozumiecie...

Gdy ogląda się sondy uliczne zamieszczane w mediach społecznościowych, widać, że część społeczeństwa jest podatna na serwowane przez Kreml treści. To głównie ludzie z prowincji, starsi, którzy nie weryfikują telewizyjnych treści. Powtarzają, co usłyszą. Żyją w przekonaniu o słusznej linii władz i przewadze Rosji nad resztą świata. Np. dziennikarka uralskiego portalu Znak.com pytała przechodniów, czy ambasador Rosji w Szwecji miał rację, mówiąc w wywiadzie (cytat dosłowny): „Sramy na sankcje Zachodu”. Tak, odpowiadała większość. Tak, bo Rosja jest samowystarczalna i Zachód nie jest nam potrzebny. „Mamy działkę, wszystko mamy swoje” – rzekła dumnie jedna z uczestniczek.

### Winna jest Ameryka

Jakie skutki ma ta antyukraińska i antyzachodnia toksyna wylewana na głowy rosyjskich telewidzów?

Aleksiej Lewinson, socjolog i profesor Wyższej Szkoły Ekonomii w Moskwie, w wywiadzie dla portalu Levada.ru mówił: „Choć Rosjanie oceniają stosunki z Ukrainą dość negatywnie, to nie uważają, że możliwa jest wojna Rosji i Ukrainy. Nie są w stanie wyobrazić sobie, że ukraińska armia walczy z rosyjską. To poza granicami wyobraźni Rosjan. Są ludzie, którym podobą się idea podporządkowania Ukrainy i których podnieca perspektywa dojścia do Kijowa w trzy dni. Ale to nie jest w ich pojęciu wojna. Ci ludzie uważają, że Ukraina nie będzie stawiać oporu”.

Lewinson dodawał: „Jest też grupa Rosjan, która – podobnie jak Putin – sądzi, że Rosjanie i Ukraińcy to jeden naród, który powinien żyć we wspólnym państwie. I dla nich to też nie jest wojna. W Rosji ta grupa stanowi ok. 17 proc. społeczeństwa, na Ukrainie – 6 proc.”. Jednak, dodawał socjolog, strach przed wojną jest.

Z kolei Denis Wołkow z Centrum Lewady pisał w artykule na stronie dziennika „The New Times”: „Badania z połowy grudnia 2021 r. wykazały, że ok. 50 proc. Rosjan nie wierzy w wojnę między Rosją i Ukrainą, a 39 proc. uważa ją za możliwą. Konflikt między Rosją i NATO uznaje za możliwy 15 proc. Z naszych pomiarów wynika, że większość Rosjan winą za obecną eskalację obarcza USA i NATO, a władze Rosji – tylko 3-4 proc.”.

## Putin się zapętlił.

Jest w bardzo niebezpiecznym momencie  
– mówi w Podkaście Powszechnym **Anna Łabuszewska**.

Słuchaj na [powszech.net/putin](https://powszech.net/putin) oraz m.in. w Spotify, Apple Podcasts, Google Podcasts i w aplikacji Lecton.

**Zostań Patronem Podkastu Powszechnego**

Wejdź na [powszech.net/patronite](https://powszech.net/patronite)

i wesprzyj niezależne dziennikarstwo



Wołkow oceniał: „Mieszanie się Zachodu w wewnętrzne sprawy innych państw dawno stało się dla dużej części rosyjskiego społeczeństwa uniwersalnym wyjaśnieniem wszelkich sporów, od konfliktu w Syrii po wojnę w Karabachu czy kryzys na granicy białorusko-polskiej. Winna jest Ameryka. W oczach dużej grupy Rosjan to Zachód jest odpowiedzialny za konflikt, gdyż popycha Ukrainę do agresywnych działań w Donbasie, a tym samym próbuje sprowokować Rosję do obrony rosyjskich obywateli mieszkających w tzw. Donieckiej i Ługańskiej Republikach Ludowych” (Rosja rozkłada tam rosyjskie paszporty, obywatelstwo przyznano dotąd 770 tysiącom osób).

„Ściągnięcie rosyjskich wojsk na granicę z Ukrainą większość respondentów oceniła nie jako agresywne działania Rosji, lecz jako podżeganie do wojny ze strony Zachodu” – podsumowywał Wołkow.

### Pikiety indywidualne

W codziennych serwisach rosyjski telewidz otrzymuje też porcję krzepiących doniesień: o udanej próbie nowej rakiety, o ćwiczeniach wielkich zgrupowań wojsk, o zwodowaniu okrętu podwodnego „nie-mającego odpowiedników na świecie”. Odnosi wrażenie, że Rosja jest uzbrojona po zęby i nikt jej nie podskoczy. Że minister obrony Szojgu czuwa nad bezpieczeństwem i trzeba tylko popierać władzę, a nic złego się nie stanie. Armia zajmuje pierwsze miejsce w rankingu instytucji, którym Rosjanie najbardziej ufają.

Dla większości Rosjan  
głównym źródłem wiedzy  
o świecie jest telewizja.

Jej codzienny przekaz jest  
antyukraiński i antyzachodni.

A jednak... „Ci, którzy myślą, że trąbiąc przez wszystkie tuby o grożącym nam niebezpieczeństwie, wychowują pokolenie gotowe do walki i bohater-skich czynów na polu boju, mylą się. Nieufność wobec wszystkich i gotowość do obrony ojczyzny to dwie różne sprawy. Dobrze walczyć może człowiek wolny. Człowiek wychowany w strachu i niepewny samego siebie nie będzie dobrym obywatelem ani dobrym żołnierzem” – uważa Lewinson. I dodaje: „Obecne pokolenie ma doświadczenie izolacjonizmu (...) Ludzie nie chcą ponosić odpowiedzialności za to, co się dzieje z ich krajem ani wewnątrz, ani na zewnątrz”.

Szczęk oręza pobrzmiwający w wypowiedziach Putina i jego obsługi medialnej wydaje się nie robić wrażenia na Rosjanach. Społeczeństwo nie protestuje przeciw agresywnym planom władz. Potencjał protestu został zresztą przez władze wygaszony i zmrożony po dużych demonstracjach rok temu, gdy do Rosji wrócił Aleksiej Nawalny.

Teraz odbyły się jedynie nieliczne indywidualne pikety przeciw wojnie z Ukrainą (indywidualne pikety są jedyną dozwoloną prawem formą protestu ulicznego bez konieczności ubiegania się o zgodę władz). Jednego wieczoru pod ambasadą Ukrainy w Moskwie ktoś rozwinął baner z napisem „Bracia Ukraińcy! Rosja, naród rosyjski nie chce z wami walczyć”. Nie wiadomo, jak szybko został zwinięty.

### Osiem tysięcy sprawiedliwych

Nieoczekiwanie z antywojennymi wezwaniami wystąpili natomiast zasłużeni generałowie w stanie spoczynku, dotąd prezentujący lojalność wobec Kremla. Michaił Chodorionok przestrzegał przed inwazją na Ukrainę, która nie będzie dla armii rosyjskiej „łatwym spacerkiem”, a Leonid Iwaszow domagał się rezygnacji z wojennych planów, gdyż napaść na Ukrainę „będzie miała opłakane skutki”. Głos generałów został dostrzeżony przez media społecznościowe i niszczyły prasę opozycyjną, ale nie wywołał większego poruszenia (także armii prokremlowskich trolli nikt na nich na razie nie wypuścił).

Z podobnym nikłym zainteresowaniem spotkała się inicjatywa partii Jabloko Grigorija Jawlińskiego: pod internetową petycją „Nie dla wojny z Ukrainą” podpisało się dotychczas niespełna 8 tys. Rosjan.

© ANNA ŁABUSZEWSKA

Tekst ukończono 18 lutego.

## TYGODNIK POWSZECHNY ■ [www.TygodnikPowszechny.pl](http://www.TygodnikPowszechny.pl)

**Redaktor naczelny** Piotr Mucharski  
**Redaktor senior** ks. Adam Boniecki  
**Zastępcy redaktora naczelnego:** Michał Kuźmiński, Marcin Żyta  
**Dyrektor artystyczny** Marek K. Zalejski  
**Wiara:** Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)  
**Kraj:** Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński  
**Świat:** Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyta, Wojciech Pięciak (kierownik)  
**Historia:** Wojciech Pięciak  
**Nauka:** Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża  
**Kultura:** Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

**Reportaż:** Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyta (kierownik)  
**Fotoedycja:** Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran  
**Wydanie internetowe:** Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska, Krzysztof Story  
**TP Typografia:** Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardysz, Andrzej Leśniak (kierownik)  
**Korekta:** Grzegorz Bogdań, Katarzyna Domin, Sylwia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)  
**Marketing i Projekty Specjalne:** Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmiska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)  
**Redaktor wydań specjalnych:** Michał Okoński  
**Felietony:** Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Kłata, Hanna Krall, Stanisław Manciewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyski

**Manager IT:** Bartłomiej Swojak  
**Stale współpracujący:** Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozłowska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszejka, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Rys, Mariusz Sepiolo, Tadeusz Stawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz

**WYDAWCA** Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.  
**Zarząd:** Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmiska (wiceprezeska)  
**Adres wydawcy i redakcji:** ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039  
**Redakcja:** [redakcja@TygodnikPowszechny.pl](mailto:redakcja@TygodnikPowszechny.pl)  
**Reklama, promocja:** tel. 602 590 416  
[reklama@TygodnikPowszechny.pl](mailto:reklama@TygodnikPowszechny.pl)  
[promocja@TygodnikPowszechny.pl](mailto:promocja@TygodnikPowszechny.pl)  
**Prenumerata:** tel. 668 479 075  
[prenumerata@TygodnikPowszechny.pl](mailto:prenumerata@TygodnikPowszechny.pl)  
**Projekt graficzny:** Marek Knap i Marek Trojanowski  
**Druk:** Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem [www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza](http://www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza).

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na [powszech.net/dostepny](http://powszech.net/dostepny)



Pewien mądry człowiek, zresztą nasz czytelnik, powiedział o robieniu pism, w tym – tygodników: „Misja bez pieniędzy to utopia. Pieniądze bez misji – to cynizm”.

Łatwo nam się z tym zgodzić, bo „Tygodnik” wydajemy w poczuciu, że nasza wiarygodność jest zbudowana na niezależności od każdej, również finansowej, presji. Inny nie miałby przecież racji bytu. Innego nie chcielibyśmy wydawać. Uznaliśmy, że sponsorem, któremu możemy bezwzględnie zaufać, jesteście Wy, nasi Czytelnicy. Dzięki Wam „Tygodnik” zachowuje niezależność, również teraz – w dobie kryzysu zaufania, inflacji, w niełatwych dla swobodnej myśli czasach. A najwspanialsze jest to, że istnieje w świecie wielka wspólnota „Tygodnika Powszechnego”, pismo zaś jest jej dobrem. Planeta, na której jest życie.

*Adam Boniecki*

Ks. Adam Boniecki

**TYGODNIK  
POWSZECHNY**



FUNDACJA  
TYGODNIKA  
POWSZECHNEGO





## Suwerenni dzięki Wam!

Od 20 lat Fundacja Tygodnika Powszechnego działa na rzecz demokracji, wolności i swobód obywatelskich. Trzy pierwsze cele w statucie naszej organizacji pożytku publicznego to:

- pogłębianie i promowanie demokratycznego modelu życia społecznego
- propagowanie modelu dialogu społecznego i rozwoju podstaw instytucji społeczeństwa obywatelskiego
- propagowanie i pogłębianie idei wolności słowa oraz wolnych i niezależnych środków masowego przekazu

# 1%

Przeznacz 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego”.

WPISZ W ZEZNANIU PODATKOWYM  
**nr KRS 0000125605**

Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji:  
Santander Bank Polska S.A.

**31 1910 1048 2006 1845 1121 0001**

Więcej informacji (przelewy w dolarach i euro, IBAN): [powszech.net/dar](http://powszech.net/dar)

MAŁGORZATA

## Kordowicz: *Mięso z mlekiem*



„NIE BĘDZIESZ GOTOWAŁ KOZŁĘCIA W MLEKU matki jego” – po trzykroć poucza nas Pismo (Wj 23, 19 i 34, 26 oraz Pwt 14, 21; Cylkow). Według rabinów, Tora nie marnuje słów i jeśli jakaś myśl powraca, z każdym powtórzeniem uczymy się z niej czegoś

nowego. Wyłuszcza ją nam oni tę triadę w Talmudzie: nie wolno gotować mięsa z mlekiem, spożywać takiej mieszanki ani czerpać z niej korzyści majątkowych.

Zanim pójdziemy krok dalej w konstrukcji praw dotyczących koszerności w oparciu o nasz wers, pozostanmy jeszcze przy jego dosłownym znaczeniu. Komentatorzy zastanawiają się nad pochodzeniem zakazu i starają się wyłowić go z kontekstu. W Wj 23, 17 jest powiedziane: „Trzy razy do roku ukaże się cały twój ród męzki przed obliczem Pana Wiekuistego”. Stąd wniosek, że być może specjal z naszego wersetu był w starożytności pożywieniem świątecznym jakiegoś ościenego ludu, ewentualnie służył nieizraelickim rytuałom mającym zapewnić płodność. Talmud zakaz uogólnia, stojąc na stanowisku, że nasze „kozłę” nie oznacza tylko małej kózki, lecz każde młode delikatne zwierzątko, np. cielaka bądź jagnię.

Próba znalezienia uzasadnienia przynosi kilka hipotez, poza wspomnianym unikaniem naśladowania świątecznych rytuałów sąsiadów. Po pierwsze, takie działanie wydaje się szczytem okrucieństwa w obliczu innych praw odnoszących się do zwierząt i ich potomstwa: „Wołu też, albo owcy, jego wraz z płodem jego, nie zarzynajcie dnia jednego!” (Kpł 22, 28) czy „Gdyby się nadarzyło gniazdo ptasie przed tobą w drodze na jakimkolwiek drzewie, albo na ziemi, z pisklętami albo jajeczkami, a matka siedzi na pisklętach albo jajeczkach – nie zabieraj wtedy matki wraz z młodem!” (Pwt 22, 6). Po drugie – co potwierdzają gastrologi – ciężko się trawi spożyte razem mięso z mlekiem. Po trzecie, kabalistycznie te produkty przedstawiają dwa przeciwstawne atrybuty Boże – sąd i miłosierdzie, których nie należy mieszać. Reasumując: właściwy powód nie jest znany i wierzącej głowie dość dwie słowie.

Aby jeszcze skuteczniej zapobiec mieszanii produktów mięsnych i mlecznych, rabini nakazali przerwę między spożywaniem tychże. Po mięsie przed mlekiem należy zaczekać sześć godzin, choć są też liberalniejsze opinie – trzy godziny albo nawet jedna. Po spożyciu produktów mlecznych czekamy z mięsem godzinę – niektórzy mówią, że wystarczy przepłukać usta i można zabierać się za pieczone, pod warunkiem że nie zjedliśmy dojrzewającego sera o intensywnym smaku (wymaga on takiej pauzy jak mięso). Co dalej? Jeśli nie jesteśmy wegetarianami – dwa zestawy naczyń i sztućców, a w bogatych domach niekonieczne acz wygodne dwa zlewki, dwie lodówki, dwie zmywarki. A zaczęło się tak niewinnie, od niegotowania kozłęcia w mleku jego matki... ©

O. WACŁAW

## Oszajca: *Dobrze wykształceni*



W KSIĘDZE MĄDROŚCI SYRACHA CZYTAMY o przesiewaniu omlotu, wypalaniu ceramiki użytkowej, o rozpoznawaniu roślin, ich niezbędności i pożyteczności, wszystko po to, żeby przekonać czytelnika do konieczności krytycznego podej-

ścia do jego samoświadomości, mentalności, poglądów, światopoglądu. „Jak w potrząsanym sicie pozostają śmieci, tak ułomność człowieka w jego mowie. Jak naczynia gliniane wypala się w ogniu, tak człowiek się sprawdza poprzez myślenie. Troskę o drzewo poznaje się po jego owocach, a po mądrym rozumowaniu – serce człowieka. Nie chwal człowieka, zanim się wypowie, bo sprawdzianem ludzi jest ich mowa”.

Ten sam wątek podjął Jezus: „Dobry człowiek z dobrego skarbcza swojego serca wydobywa dobro, a zły ze złego skarbcza wydobywa zło. Jego usta mówią przeciw to, czym jest przepełnione serce”.

Człowiek jednak tak potrafi precedzić wszelkie informacje, że słyszy tylko to, co mu odpowiada. Jeśli tylko może sobie na to pozwolić, to gwałtownie, jeśli nie, to po cichu odrzuca obce mu podejście do spraw życia i śmierci, ale też odrzuca człowieka, który głosi takie niedorzeczności. Zawsze też na podporządku mamy argument nie do zbicia: „Bo ja tak myślę! Tak uważam! Bo ja tak lubię! Bo zawsze tak było!”. Tą sprytną sztuczką posługujemy się przez siedem dni tygodnia, ale szczególnie mocno wykorzystujemy ją w niedzielę.

Dlatego Jan od Krzyża w „Nocy ciemnej” pisze, że „początkujący”, czyli chcący poważnie traktować wiarę, przede wszystkim powinni krytycznie przypatrzeć się temu, co w życiu religijnym uważają za najprawdziwsze, najszcześniejsze, najpiękniejsze, czego panicznie boją się utracić i czego za wszelką cenę będą bronić, o co też gorąco proszą Boga. Pisze ten doktor Kościoła, czyli nauczyciel wiary i poeta, że zwykle „początkujący czują się pełni zapału i gorliwości w rzeczach duchowych i ćwiczeniach pobożnych”, co oczywiście sprawia im wielką, duchową satysfakcję. Niestety, owe ekstazy potrafią rodzić „pewien rodzaj ukrytej pychy, skutkiem której zaczynają oni nabierać niejakiego zadowolenia z samych siebie i ze swoich uczynków, mimo iż prawdą jest, że rzeczy święte same z siebie rodzą pokorę”. Tacy neofici myślą misyjną gorliwość z agresją i nachalnie terroryzują, kogo dopadną, zamęczają siebie i innych niekończącymi się nabożeństwami, postami, pielgrzymkami itp. i wreszcie nienawidzą każdego, kogo uznają za mało uduchowionego czy wprost heretyka. Jak wyjść z takiego zaplątania?

Przed nami Wielki Post, warto go zacząć od ustalenia: kto jest moim nauczycielem wiary? Gdyż dopiero „nałęczycie wykształcony będzie jak jego nauczyciel”. Bardziej niż o żołądek, zadbajmy o głowę. ©

ABP GRZEGORZ

# Ryś: Uzdrowienie

*Kto zatrzymuje  
w duszy pamięć o złu,  
podobny jest temu,  
kto ukrywa ogień  
wśród plew.*

EWAGRIUSZ Z PONTU



*Świat zdobywa się  
bez zabiegania  
i krzátaniny.*

LAOZI



NIEDAWNO LITURGIA uczyniła nas świadkami dwóch cudownych uzdrowień dokonanych przez Jezusa – najpierw uzdrowienia głuchoniemego („Effatha!” – zob. Mk 7, 31-37), a później niewidomego (Mk 8, 22-26). Warto przyjrzeć się im bliżej, by wychwycić elementy wspólne.

Pierwszym wspólnym słowem obu Markowych perykop jest słowo „przyprowadzono” (właściwie: „przyprowadzili”): „przyprowadzili Mu” głuchoniemego / niewidomego. Ani jeden, ani drugi nie przyszedł do Jezusa sam; być może nawet nie mógł przyjść do Jezusa sam. Potrzebna była jakaś wspólnota ludzi, która pomogła im dotrzeć do Pana; co więcej, w obu przypadkach Ewangelista podkreśla, że to ci ludzie z wiarą „prosilili” Jezusa za chorymi. Nasi bohaterowie w swojej chorobie nie zostali opuszczeni; stanęła przy nich – i za nimi – wspólnota. Kościół.

Drugi wspólny moment. Jezus obojgu chorych wyprowadza na bok: „z dala od tłumu” (7, 33), „poza wieś” (8, 23). A więc, niezależnie od wielkiej i niezastąpionej wręcz roli i pośrednictwa wspólnoty, potrzebny jest teraz moment spotkania „sam na sam”, moment głęboko osobistego, indywidualnego spotkania z Jezusem. Bez takiego spotkania – nic się nie zdarzy. Tak jak nic się nie zdarzy w życiu ludzi, których nigdy – jako Kościół – nie wypuściliśmy poza obręb zbiorowych zachowań: tylko wspólne słuchanie, tylko wspólny śpiew, tylko te same, wspólne

formy modlitwy – te same zawsze postawy, zuniformizowane reakcje. Powtórzmy: to nie wspólnota jest zła (ona jest konieczna!). Złem jest wspólnota nieprowadząca do Jezusa, nieformująca do doświadczenia (!) osobistego spotkania z Panem.

Co dokonuje się w tym spotkaniu?

Tu znów pojawiają się dwa elementy wspólne. Pierwszym z nich jest użycie przez Jezusa śliny: „dotknął śliną jego języka” (7, 33), „zwilżył mu oczy śliną” (8, 23). Jezus używa śliny, a więc tego, „co pochodzi z Jego, tzn. z Bożych ust”. Ślina jest symbolem Bożego Słowa. To Słowo „pochodzi z ust Bożych”. Jezus chce, by Boże Słowo znalazło się na języku głuchoniemego, a więc aby przemówił Bożym Słowem. Podobnie Jezus chce, by niewidomy spojrzał na rzeczywistość w świetle Bożego Słowa – żeby postrzegał ją „po Bożemu”, a nie wyłącznie w ludzkich kategoriach. Tu obojga zdarzenia stają się pytaniem dla nas – także dla tych, którzy nie jesteśmy niemi i ślepi. Mówimy – ale czy po Bożemu? Widzimy – ale czy na sposób Boży?

Użyciu śliny towarzyszy włożenie rąk: „prosilili, aby położył na niego rękę” (7, 32), „położył na niego ręce (...) znowu położył ręce na jego oczy” (8, 23. 25). To gest przekazania Ducha Świętego. Przekazowi Słowa towarzyszy przekazanie Ducha. By Słowo czytać w Duchu. To Duch pozwala nam nie tylko zrozumieć Słowo, ale również przyjąć i wprowadzić w życie. Kiedy szukam u Jezusa uzdrowienia, potrzeba mi tego podwójnego otwarcia: na Słowo i na Ducha. Amen. ©

## CZYTANIA LITURGICZNE (27 II – 6 III)

8. niedziela zwykła: Syr 27, 4-7;  
Ps 92; 1 Kor 15, 54b-58; Łk 6, 39-45;  
Poniedziałek: 1 P 1, 3-9; Ps 111; Mk 10, 17-27;  
Wtorek: 1 P 1, 10-16; Ps 98; Mk 10, 28-31;  
Środa Popielcowa: Jl 2, 12-18; Ps 51;  
2 Kor 5, 20 – 6, 3; Mt 6, 1-6. 16-18;

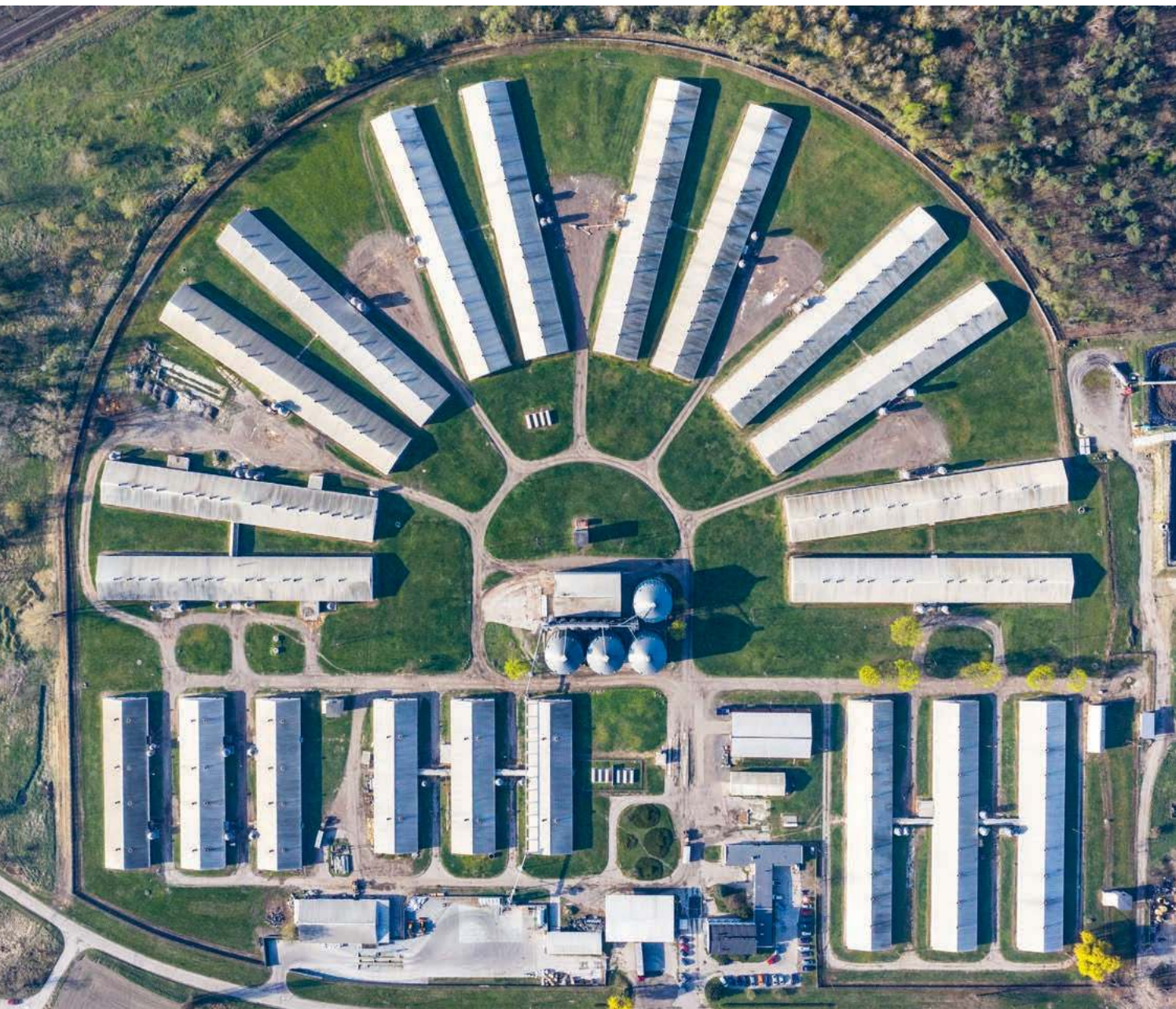
Czwartek: Pwt 30, 15-20; Ps 1; Łk 9, 22-25;  
Piątek: Syr 51, 13-20; Flp 3, 8-14;  
Ps 16; J 15, 9-17;  
Sobota: Iz 58, 9b-14; Ps 86; Łk 5, 27-32;  
1. niedziela Wielkiego Postu:  
Pwt 26, 4-10; Ps 91; Rz 10, 8-13; Łk 4, 1-13.

Wybrał PIOTR SIKORA

# SALONY DLA ŚWIŃ

MAGDALENA KOWALCZYK Z FUNDACJI WSPOMAGANIA WSI:

Patrząc na zjawisko ferm przemysłowych, które jedna po drugiej buduje się w naszym kraju, trudno nie ulec wrażeniu, że Polska stała się kloaką Europy.



**MAŁGORZATA NOCŮN:** Historia z Psucina, którą opisałaś na Witrynie Wiejskiej, portalu prowadzonym przez Fundację Wspomagania Wsi, to opowieść rodem z bajki Brzechwy. Przebiegły rolnik jest jak Lis Witalis, a mieszkańcy wsi potraktowani niczym leśne zwierzęta. A w tle tego wszystkiego jest ogromny przekręt i pieniądze.

**MAGDALENA KOWALCZYK:** „Rolnik” z Psucina postanowił zbudować chlewnię, która pomieści 428 świń. Złożył do gminy wniosek o pozwolenie na budowę. Tak duża inwestycja wymaga jednak uzyskania „decyzji środowiskowej”, czyli analizy, „jak wpłynie na środowisko naturalne i życie ludzi”. Kiedy „rolnik” dowiedział się, że nie otrzyma pozwolenia na ogromną chlewnię w środku wsi, wycofał wniosek. Po pewnym czasie zapukał jednak do drzwi gminy z nowym projektem. Zakładał on budowę dwóch chlewni oddalonych od siebie o kilka metrów. Każda na ponad dwieście świń. Jedna miała należeć do niego, druga do jego ojca. Łącznie, w tym samym czasie w zabudowaniach przebywać miały 572 świnię.

**Na to urząd gminy chyba także nie przystał.**

Przystał. W jego opinii to nie jest jedna duża chlewnia, a dwie oddzielne.

I to jeszcze nie wszystko. Inwestycje wcale nie zostały zaprojektowane na 286 świń każda. Według projektu są trzy razy większe. To samo dotyczy zbiorników na gnojowicę. Na usta ciśnie się pytanie: „Po co?”.

Podczas konsultacji z mieszkańcami Psucina, „rolnicy-inwestorzy”, czyli ojciec i syn, na tak postawione pytanie odparli: „Chcemy, by świnię miały salony”. Ale te „salony dla świń” także stoją w sprzeczności z polskim prawem. Planując inwestycję, należy bowiem podać maksymalną liczbę trzody, która ma w niej przebywać. Mieszkańcy Psucina obawiają się więc, że za pewien czas będą mieć za oknami chlewnie, w których łącznie znajdzie się prawie 2 tys. świń. W Polsce hodowla powyżej 1,5 tys. uznawana jest za „znaczaco negatywnie oddziałującą na środowisko”.

Tymczasem we wsi znajduje się ujęcie wody dla 13 sołectw.

**I wszystko to dzieje się zaledwie 50 km od Warszawy.**

Psucin nie jest oddalonym od cywilizacji i wyludniającym się miejscem. W dzisiejszych realiach to praktycznie przedmieścia stolicy. Nieopodal planowanej inwestycji wzniesiono niedawno nowoczesne domy, więc nic dziwnego, że mieszkańcy złożyli już pozew w sądzie. Wojewoda uchylił co prawda decyzję gminy, ale inwestor się odwołał. Następnie sprawa trafiła do sądu administracyjnego, a ten podtrzymał decyzję wojewody. „Rolnik” zapowiada jednak, że walka nie jest skończona. Złożył odwołanie.

**W planowanych chlewniach hodowane byłyby świnię w ramach „tuczu nakładczego”. Co oznacza to pojęcie?**

„Tuczu nakładczy” lub „kontraktowy” to hodowanie zwierząt na zlecenie koncernu mięsnego. W Polsce najczęściej mówimy o „tuczu kontraktowym” świń i drobiu. Proces odbywa się według następującego schematu: rolnik podpisuje (najczęściej z wielkim zagranicznym koncernem) umowę na chów świń. W niej zaś dokładnie zostaje określona ich liczba i waga. Zagraniczny koncern dostarcza prosięta, paszę, lekarstwa. Rolnik jedynie opiekuje się stadem. Karmi je, poi, podaje leki. Co ważne, „utilizuje” także gnojowicę – czyli wylewa ją na pola. Otrzymanie zezwolenia na hodowlę świń uzależnione jest głównie od posiadania albo dzierżawy określonego areału ziemi.

**Rolnik pełni więc rolę „słupa”?**

Oczywiście. Za inwestycję – jak w przypadku Psucina – odpowiada wprawdzie rolnik, ale za nim stoi gigantyczny koncern mięsny. Zwierzęta zostaną ubite w Polsce, a ich mięso wróci do kraju zagranicznego inwestora. Część zostanie przeznaczona potem na eksport, część zostanie w Polsce. Ale najgorsze jest to, że trwale zostaną u nas: gnój, zanieczyszczona gleba i woda. Plagi gryzoni i owdów, odpady poubojowe. Powstanie zagrożenie epidemiologiczne.

**Polska jest pod tym względem wyjątkowa?**

Patrząc na zjawisko ferm przemysłowych, które jedna po drugiej buduje się w naszym kraju, nie można oprzeć się wrażeniu, że Polska stała się kloaką Eu-

ropy. Najwięcej wielkich chlewni jest w Wielkopolsce, w województwie kujawsko-pomorskim i na Mazowszu. Inwestorzy szukają jednak nowych terenów. Obecnie rozglądają się za ziemią na Podlasiu, gdzie planują wybudować olbrzymie kurniki. Mieszkańcy Czeremchy, Kruszynian i Nurzec-Stacji już zaczęli protesty i trudno się dziwić. Zaledwie 1,5 km od Kruszynian – wsi, w której zachowało się dziedzictwo kulturowe Tatarów i która objęta jest ochroną konserwatora zabytków – powstanie kurnik produkujący kilkadziesiąt tysięcy brojlerów rocznie [o sprawie pisał Bartosz Rumieńczyk: [powszech.net/kruszyniany](http://powszech.net/kruszyniany)]. Na decyzję o wydaniu pozwolenia nie wpłynął fakt usytuowanego nieopodal obszaru „Natura 2000”. Z kolei w Czeremsze-Wsi ma być wzniesionych dziewięć kurników, w których jednocześnie tuczone będzie pół miliona kurczaków. Czeremcha zaś słynie z Festiwalu Wielu Kultur i Narodów. Obie wsie leżą tuż przy granicy z Białorusią, biegnie tędy trasa rowerowa „Green Velo”, nazywana „Wschodnim Szlakiem Rowerowym”. Po powstaniu kurzej fermy te tereny oraz ich mieszkańcy dużo stracą. To może być koniec lokalnych przedsięwzięć, agroturystyki, gastronomii.

**Nikt nie chce mieć brudu w swoim domu. Trudno się dziwić międzynarodowym koncernom mięsnym.**

Więcej: w ich domu często zabrania tego prawo. Koncerny mięsne, przeważnie z zachodniej Europy, nie mogą już realizować podobnych inwestycji na swoich terenach, gdyż prawo środowiskowe i pracownicze jest tam o wiele surowsze niż w Polsce. Podam przykład: za inwestycjami u nas stoją najczęściej Holandia i Dania. To jedni z największych eksporterów mięsa na naszym kontynencie. Przy czym w Holandii pogłowie zwierząt gospodarskich się zmniejsza. Dzieje się tak, ponieważ kraj przestał radzić sobie z dużą ilością zwierzęcych odchodów, wykryto zanieczyszczenie gleb i wód azotem. Politycy i obywatele zrozumieli, że koszty produkcji mięsa są za wysokie.

**Szukają więc „partnerów”, których te wysokie koszty i zanieczyszczenie nie przerażają. Czynią to m.in. w Polsce.**

Polska wieś nigdy wcześniej nie była w tak dużym stopniu narażona na

→ inwestycje w postaci ferm przemysłowych. Dotyczy to właściwie większości obszarów wiejskich. Dla rolników-słupów, za którymi stoją zagraniczne koncerny, nie ma znaczenia, czy ferma powstanie w środku wsi, jak w przypadku Psucina, czy też na terenach przyrodniczo i kulturowo cennego Podlasia. Ci ludzie bardzo często nawet na tych terenach nie mieszkają. Mają tam tylko swoje biznesy.

### Mówiąc o nich „rolnicy”, powinniśmy chyba użyć cudzysłowu.

Nie można nazwać rolnikiem kogoś, kto buduje fermę przemysłową. To przedsiębiorca. Przecież taki „rolnik” nie rozmnaża zwierząt. To ciężarówka, z Holandii czy Danii, dostarcza mu „twar”, czyli prosiaki do wykarmienia. Pola są mu potrzebne głównie do wylewania gnojowicy. Nie ma to nic wspólnego z rolnictwem, które znamy sprzed kilkudziesięciu lat. Więcej: takie „rolnictwo” jest szkodliwe dla prawdziwych rolników, którzy chcieliby mieć chlewnie na 20-30 zwierząt.

### Tradycyjnego rolnictwa wkrótce nie będzie?

Tradycyjna hodowla wiąże się z dużym ryzykiem finansowym. W Polsce wraz z pandemią koronawirusa nastały też epidemie ptasiej grypy. Miliony kurczaków ubito, a te zdrowe poszły na mięso. Na rynku pojawił się więc tani drób kosztujący kilkanaście złotych za kilogram. Konsumenci chętnie sięgali po takie mięso. W efekcie mali producenci wieprzowiny musieli za bezcen sprzedawać tuczniki. Tymczasem na tuczu kontraktowym wciąż można zbić kokosy. Chlewnie czy kurniki nie potrzebują pracowników, wszystko jest zautomatyzowane, a „rolnicy” – płacą niski podatek rolny. Z całego tego przemysłu gminy nie mają jednak zysku. Wręcz generuje on koszty:

**Zwierzęta zostaną ubite**  
w Polsce, ale ich mięso wróci do kraju inwestora. U nas zostaną gnój, zanieczyszczona gleba i woda. Plagi gryzoni i owadów, odpady poubojowe i zagrożenie epidemiologiczne.

rozjechane drogi, którymi jeżdżą ciężarówki ze zwierzętami, paszami i traktory z gnojowicą.

### Ale wszyscy płacimy za to zdrowiem.

W miejscowościach, w których prowadzi się tucz kontraktowy, unosi się koszmarny odór. W okresie od 1 marca do 30 listopada można też wylewać gnojowicę na pola, co oznacza, że wiosną w okolicach chlewni i pól nie sposób suchać prania na zewnątrz. Słodko-żrący smród wżera się w tkaniny, a ludzi przyprawia o mdłości. Zresztą, wpływ tego odoru na nasze zdrowie jest dobrze zbadany. Może wywoływać podrażnienia oczu, gardła, problemy z oddychaniem. Wokół pojawiają się roje much, szczury. Martwy drób wyrzuca się wraz z kurzymi odchodami na pola, chociaż jest to zabronione. Naprawdę, życie w takim miejscu staje się udręką, gdy nie można otworzyć okna. Bywa też, że bogaci inwestorzy otrzymują odpowiednio sporządzone ekspertyzy środowiskowe, które kończy zdanie: „Uciążliwość zamyka się w granicach działki”. Po czym Regionalne Dyrekcje Ochrony Środowiska wydają zgody na inwestycje o takiej „ograniczonej uciążliwości”. Posłużę się przykładem. W powiecie żuromińskim hoduje

się 600 tys. świń i 2 mln kur. Fermy dostały zgodę, choć „w granicach działki” nie da się przecież zamknąć smrodu, hałasu i wirusów pochodzących od takiej liczby zwierząt.

### Jaka jest skala chowu przemysłowego?

Ferma uważana jest za „przemysłową”, kiedy liczba hodowanych na niej zwierząt przekracza 2 tys. świń lub 40 tys. kurczaków. W 2006 r. w Polsce było 117 ferm przemysłowych, w 2020 r. już 750. Jednocześnie z roku na rok spada liczba małych i średnich hodowców. Nie mam więc wątpliwości, że zagraniczne koncerny będą szukać „partnerów” w Polsce i znajdą ich. Dla rolników-słupów to komfortowa sytuacja. Nie martwią się, czy sprzedadzą tuczniki. I tak zarobią grube pieniądze. Dlatego dziś na wsi nikt nie może czuć się bezpieczny, bo chów przemysłowy może się pojawić dosłownie w każdym miejscu. Gminy, które chcą się przed tym bronić, powinny jak najszybciej uchwalić szczegółowe plany zagospodarowania przestrzennego (dziś obejmują one zaledwie 30 proc. kraju), wykluczające tego rodzaju działalność, a mieszkańcy uważnie śledzić sesje rad gmin.

### Czy będzie przesadą stwierdzenie, że masowa hodowla zwierząt w dużym stopniu jest odpowiedzialna za degradację środowiska naturalnego?

W 2018 r. liczbę zwierząt hodowlanych na świecie szacowano na około cztery razy większą niż liczbę ludzi. Stanowią one około 60 proc. biomasy ssaków na Ziemi. Ptaki hodowlane to odpowiednio 70 proc. wszystkich ptaków. Ież paszy i wody potrzeba, by wykarmić i napoić te miliardy krów, kur i świń? Ile hektarów gleb skazimy ich odchodami? By wyprodukować paszę dla zwierząt hodowlanych, konieczna jest uprawa „monokultur”. W tym celu ogromne tereny pozbawia się bioróżnorodności, wypierane są lokalne gatunki ssaków, ptaków, owadów. W Ameryce Południowej wycina się wielkie połacie Puszczy Amazońskiej pod uprawę soi. Aż trzy czwarte jej światowych plonów zjadają właśnie zwierzęta hodowlane. Ich chów jest także jednym z czynników poważnie wpływających na zmiany klimatyczne. Powoduje rocznie emisję ok. 7,1 gigaton ekwiwalentu dwutlenku węgla. To sta-

**W Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli**, I Wydział Cywilny, pod sygn. akt I Ns 368/21 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Wiesławie Jędor, nazwisko rodowe Gonder, c. Antoniego i Janiny, zm. 24 października 2019 r. w Stalowej Woli, ostatnio stale zamieszkałej: Stalowa Wola, ul. Ofiar Katynia 20/14.

Wzywa się spadkobierców po Wiesławie Jędor, aby w terminie trzymiesięcznym zgłosili się do Sądu i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postępowaniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

nowi około 14,5-18 proc. gazów cieplarnianych, więcej niż emituje światowy transport, a jeszcze niektórzy naukowcy są zdania, że te szacunki znacznie zaniżono. Mamy też polskie dane. Krajowy Ośrodek Bilansowania i Zarządzania Emisjami podaje, że w 2018 r. emisja gazów cieplarnianych z polskiego rolnictwa wyniosła około 8 proc. całkowitej ich ilości. Na te 8 proc. składa się: nawożenie gleb rolniczych azotem, fermentacja jelitowa zwierząt, czyli metan z odchodów. Także w Polsce znaczna część gleb wykorzystywana jest na potrzeby produkcji paszy dla zwierząt.

### Naukowcy wskazują na związki chorób wywołanych wirusami właśnie z przemysłowym chowem zwierząt.

Fermy są źródłem zoonoz, czyli chorób odzwierzęcych: boreliozy, świnki, grypy, listeriozy, bruceloz. W latach 2007-2012 stanowiły aż 82 proc. chorób zawodowych zdiagnozowanych wśród rolników. Bywa też, że hodowle dają początek epidemii, np. ptasiej grypy, choroby wściekłych krów, pryszczycy, ASF. Uważa się również, że pandemia COVID-19 jest m.in. konsekwencją niszczenia ostatnich na Ziemi siedlisk dzikich zwierząt i doprowadzenia do niebezpiecznego skrócenia dystansu między dziką fauną a człowiekiem. Sytuację pogarszają też zmiany klimatu, spodziewamy się więc, że w krajach takich jak Polska pojawią się choroby wcześniej nam nieznane, np. malaria.

### Jesz mięso?

Nie. I staram się nie podawać go moim dzieciom, a jeśli już to czynię, to pochodzi ono z lokalnych, małych gospodarstw. Niestety, wielkie koncerny mięsne robią wszystko, byśmy jedli go jak najwięcej. Pół wieku temu przeciętny Polak spożywał 47 kg mięsa rocznie, dziś już 80 kg. Zresztą, cała ludzkość nigdy nie zjadała takich ilości mięsa. Nie jedzono też produktów pozyskiwanych nieetycznie, czyli pochodzących od świń tłoczonych w chlewniach, które w ciągu całego życia widzą światło dzienne jedynie podczas drogi do ubojni. Pamiętamy, że chów przekłada się na jakość: dziś kurczak zawiera dwa razy więcej tłuszczu i o jedną trzecią mniej białka niż cztery dekady temu. I nawet jeśli rozumiem ludzi, którzy nie wyobrażają sobie życia bez mięsa



ELWIRA PODGÓRSKA

**MAGDALENA KOWALCZYK** jest absolwentką Wydziału Geografii i Studiów Regionalnych UW oraz międzynarodowych studiów Development Cooperation Policy and Management. Pracuje w Fundacji Wspomagania Wsi, która pomaga społecznościom lokalnym w planowaniu i analizie dokumentów planistycznych.

oraz są przekonani, że inna dieta nie daje energii, to uważam, że w obliczu kolejnych pandemii warto te przekonania zrewidować.

### Pod koniec 2021 r. ukazał się raport Najwyższej Izby Kontroli dotyczący m.in. jakości polskiego mięsa.

I nie zostawia na nim suchej nitki. Nasz kraj zajmuje w Unii Europejskiej drugie miejsce pod względem użycia w hodowli zwierząt najsilniejszych antybiotyków stosowanych w leczeniu chorób u ludzi. Do RASFF, czyli europejskiego Systemu Wczesnego Ostrzegania o Niebezpiecznej Żywności i Paszach, w latach 2017-2020 wpłynęło prawie 700 powiadomień dotyczących żywności z Polski. W pierwszych trzech kwartałach 2020 r. zgłoszono nieco ponad dwa tysiące przypadków z całego świata, z czego ponad 10 proc. dotyczyło naszego kraju. Oczywiście, nie wszystkie te zgłoszenia dotyczą branży mięsnej. Jednak zagrożenie notowane najczęściej dotyczy bakterii *Salmonella*, występującej przede wszystkim w mięsie drobiowym i produktach pochodnych. Nic dziwnego,

Polska jest krajem hodującym najwięcej kur spośród wszystkich państw europejskich. Zapewne także ten czynnik wpływa na fakt, że w rankingu pozostajemy niekwestionowanym europejskim „liderem”. Warto podkreślić, że Narodowe Centrum Edukacji Żywnościowej sygnalizuje, iż codzienne spożywanie mięsa czerwonego i przetworzonego wiąże się ze zwiększonym ryzykiem zachorowania na nowotwory złośliwe. Ta sama instytucja potwierdza, że dzieci i ludzie dorośli mogą dobrze funkcjonować i cieszyć się zdrowiem nie jedząc mięsa.

### Pojawia się też dużo społecznych akcji dotyczących świadomej konsumpcji.

W supermarkecie pierś z kurczaka leży na zielonej tacce symbolizującej przyrodę i zdrowie. A ten kurczak jeszcze kilka dni wcześniej był zamknięty, chwiał się na nogach chory ze stresu i unurzany we własnych odchodach, posilał się mączką kostną wymieszaną z antybiotykami. Na szczęście ludzie są coraz bardziej świadomi zdrowotnego i moralnego aspektu jedzenia mięsa. Zaczynamy rozumieć, że nie pochodzi ono od „szczęśliwych świnek” czy „kurek”, lecz okupione zostało niewyobrażalnym cierpieniem.

### Banalne pytanie: co możemy zrobić?

Konsumenci powinni wspierać lokalny rynek i rolników prowadzących ekologiczne gospodarstwa. Najlepiej szukać mięsa oznaczonego unijnym certyfikatem ekologicznym. W sieci można znaleźć dostawców, którzy pozyskują je etycznie. Nie jest ono także nafaszerowane antybiotykami. Ale kilogram piersi z ekologicznego kurczaka kosztuje 50 zł, nie 15, i to jest problem. Inna sprawa, że świadomość dotycząca ferm przemysłowych i opór mieszkańców wsi przed ich budowaniem stale się zwiększa. Niedawno ukazał się „Atlas mięsa 2022. Fakty i liczby na temat zwierząt, które zjemy”. Przeczytamy w nim m.in. o rzeczach, które poruszyliśmy w rozmowie. Bardzo cenną pracę wykonuje również koalicja „Stop Fermom Przemysłowym”. Organizują konferencje i, co bardzo ważne, wydają poradniki instruujące, jak nie dopuszczać do realizacji takich „bomb”, jak ta planowana w Psucinie.

© Rozmawiała MAŁGORZATA NOCUN

# Świat się dzieli przez dwa

JAROSŁAW FLIS

**Poglądy większości Polaków są od lat przechylone w prawą stronę. Niektórzy z nas mają z tym kłopot, oparty na przekonaniu o swej moralnej i intelektualnej wyższości.**

DO POCZĄTKU REGULARNEJ KAMPANII wyborczej zostało jeszcze półtora roku, lecz patrząc na całą kadencję, jest już „z górki”. Kolejne sondażowe spadki partii rządzącej, narastający chaos i kryzys w jej własnych szeregach sprawiają, że przez media przetacza się dyskusja na temat strategii opozycji. Czy powinna iść jako jedna lista, jak chciałoby wielu jej zwolenników, czy raczej zachować dotychczasową strukturę? A może spotkać się gdzieś pomiędzy? Warto uporządkować te okoliczności w trzech planach (idei, identyfikacji i interesów), korzystając z Polskiego Generalnego Studium Wyborczego 2019, przygotowanego przez SWPS.

Najbardziej rozmyte są podziały ideowe. Choć jednocześnie to one są najtrwalsze i najtrudniejsze do zmiany – wbrew przekazom medialnym, które na podstawie pojedynczych sondaży ogłaszają niepodważalne trendy. Nie przekreślając możliwości zmian, warto spojrzeć na takie podziały z perspektywy tego, co wiemy względnie na pewno, czyli jak wyglądały one w ostatnich wyborach. To wtedy ukształtował się widoczny do dziś porządek sceny politycznej, dzielący ją na trzy podstawowe siły: Zjednoczoną Prawicę, blok senacki i Konfederację.

Zrozumienie zróżnicowania pomiędzy tymi siłami i wewnątrz nich (żadna nie jest monolitem) wymaga uproszczenia schematu, który od lat opisują na łamach „TP”, czyli skrzyżowania podziałów prawica–lewica i solidarni–liberalni. Oś prawica–lewica dotyczy w Polsce przede wszystkim spraw obyczajowych i tożsamościowych, nie zaś ekonomicznych. Te ukryte są raczej w określeniach liberalni–solidarni. Polaryzacja zaobserwowana w 2019 r. pozwala na pewne zredukowanie tego schematu do jednej osi, ze świadomością, że jednak poglądy poszczególnych osób nie są w pełni ułożone

wedle jednej linii. Uproszczenie polega na tym, że wyborców liberalnych, którzy nie odnajdują się w podziale lewica–prawica, dołączymy jednak do lewicy, a ich solidarnych odpowiedników – do prawicy. Poszerzony o centrowych liberałów obóz lewicy nazywać będę górnolewicowym, natomiast obóz prawicy poszerzony o centrowych solidarnych – dolnoprawicowym.

Na wyróżnienie zasługują jeszcze ci, którzy nie mieszczą się ani w jednym, ani w drugim podziale. Jednak ich udział w gronie głosujących stale się kurczy: z ponad jednej piątej w 2011 r., przez 15 proc. w 2015, do 7 proc. w 2019 r.

## Obrażając nie przekonasz

Nawet uwzględniając te niuanse nie da się uciec od faktu, że podział społeczeństwa nie jest symetryczny. Polacy w 2019 r., tak jak i we wszystkich wcześniejszych wyborach, byli wyraźnie przechyleni na stronę dolnoprawicową. Liczebność tej grupy wyborców jest dwukrotnie większa niż części górnolewicowej, z czym druga strona (i duża część mediów) ma stale potężny kłopot. Na bazie przekonania o własnej intelektualnej i moralnej wyższości dokonuje ona mentalnej delegitymizacji oponentów. Problem w tym, że traktując kogoś z góry, trudno go przekonać do zmiany preferencji politycznych.

Partia rządząca ma wielką przewagę w strategicznym usytuowaniu, dlatego że ponad trzy czwarte jej wyborców stoi właśnie po dolnoprawicowej stronie podziału ideowego. W efekcie dzięki większej jedności nie ma części problemów opozycji, lecz za to ma inne. Spójność ideowa daje poczucie pełnej jednomyślności, ale utrudnia ukłony w stronę wahających się – wszak dwie trzecie jej elektoratu ma poglądy nie tylko podobne, lecz i wyraziste.

Po stronie bloku senackiego podziały ideowe wśród elektoratu nie były wcale w 2019 r. lustrzanym odbiciem sytuacji PiS. Osoby o górnolewicowych poglądach to bowiem tylko trochę więcej niż połowa ogółu wyborców tej formacji. Natomiast osoby o poglądach dolnoprawicowych nie stanowią marginesu, ale 36 proc. Więcej: co piąty wyborca bloku senackiego to osoba o wyrazistych poglądach dolnoprawicowych. W tym tkwi przyczyna nieuchronnych napięć ideowych wewnątrz opozycji (np. różny stosunek do aborcji), z którymi musi ona sobie radzić. Problem dotyka jednak poszczególnych partii w różnym stopniu.

Sytuacja Lewicy jest najbliższa sytuacji PiS-u. Trzy czwarte jej wyborców ma poglądy górnolewicowe, tyle że jej łowisko jest dwukrotnie mniejsze niż PiS-u. To za razem powód, dlaczego (mimo mocnej pozycji w mediach) nie oscyluje ona pomiędzy wynikiem 30 a 40 proc., lecz między progiem wyborczym a poparciem kilkunastoprocentowym, w ostatnich sondażach nieosiągalnym.

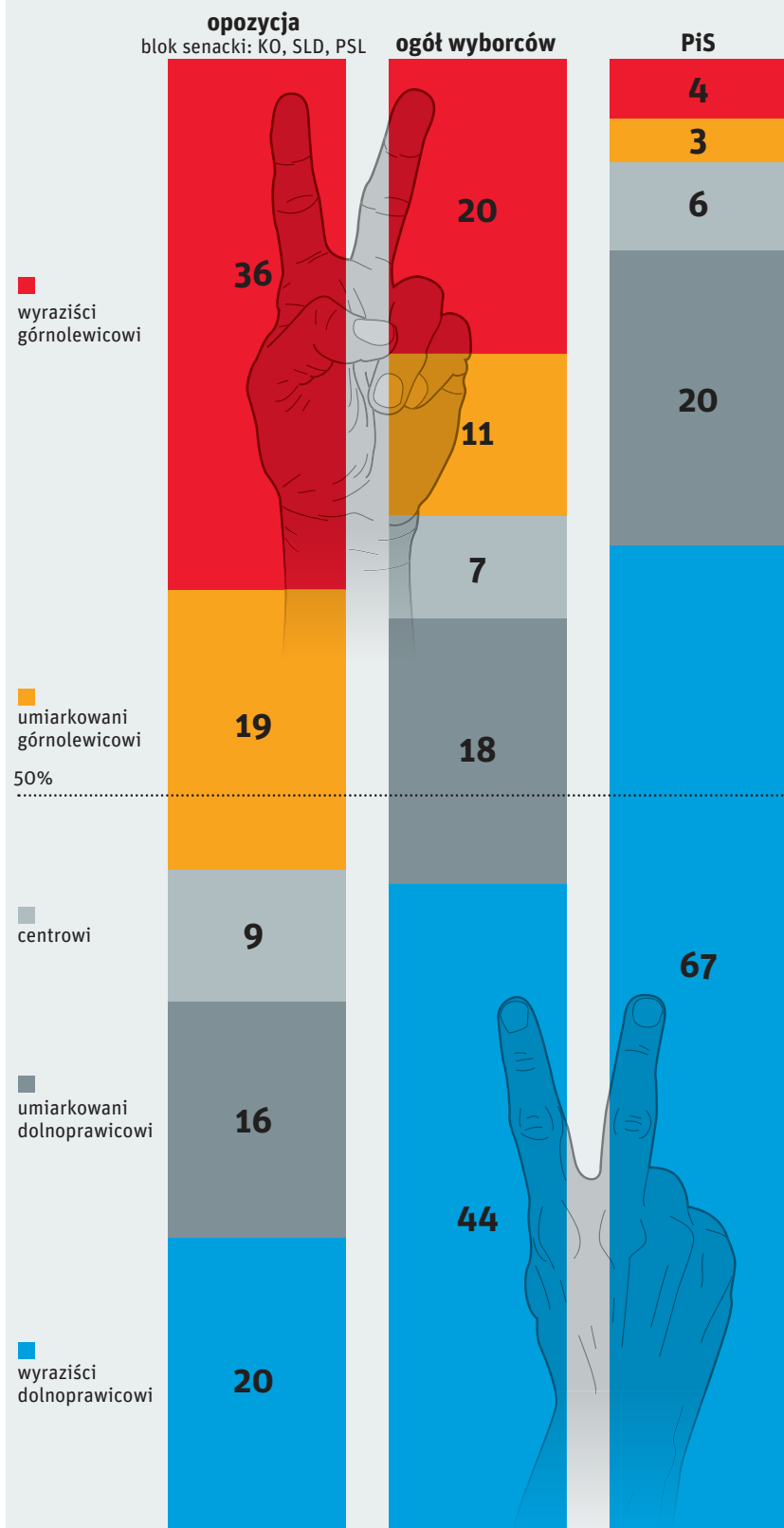
Na przeciwnym skrzydle bloku senackiego znaleźli się z kolei wyborcy PSL, na których listy trafiło niemało umiarkowanych konserwatystów. Nie przypadkiem, bo ponad połowa głosujących na PSL to wyborcy dolnoprawicowi. Co prawda jedna trzecia wyborców PSL wyznaje idee lewicowe, co może tworzyć napięcia, ale nie będą one wielkie, gdyż w elektoracie ludowców najwięcej jest osób unikających jednoznacznych deklaracji. Jeśli zaś chodzi o Koalicję Obywatelską, to jej elektorat najbardziej przypomina ogólny obraz opozycji. Nie dlatego, że KO jest jej największą częścią, ale dlatego, że uśrednienie przechylu elektoratów SLD i PSL daje z grubsza takie proporcje sił jak w samej Platformie. Nie wydaje się, żeby ten stan uległ zmianie przez minione dwa i pół roku.

Sytuację komplikuje Szymon Hołownia, o którym wiemy, że przyciąga wyborców wszystkich tych ugrupowań, ale dla każdego stanowi inne zagrożenie. Jak jednak mówi porzekadło: zanim gruby schudnie, chudy umrze z głodu. Dlatego, choć w pewnym momencie wyglądało na to, że Polska 2050 jest dla PO zagrożeniem egzystencjalnym, to po powrocie Tuska zostało ono zażegnane. Jednak dla PSL-u czy Lewicy Hołownia jest już konkurentem, który może sprowadzić ich pod próg wyborczy.

## PODZIAŁY WŚRÓD POLAKÓW (DANE W PROC.)

**Wyborcy górnolewicowi:**  
zwolennicy lewicy oraz  
centrowo-liberalni

**Wyborcy dolnoprawicowi:**  
zwolennicy prawicy oraz centrowi,  
opowiadający się za silną rolą państwa



### Opozycja nie musi być zwarta

Generalnie nie ma niczego dziwnego w tym, że opozycja nie jest w stanie wygenerować jednego prostego programu, który byłby porównywalny w swej jednoznaczności z programem PiS. Próba jego narzucenia, w szczególności z pozycji lewicowych czy liberalnych, prowadzić może do kolejnej klęski – odpływu tych wyborców, którzy z ideowych powodów powinni raczej głosować na PiS, ale są zrażeni do tej partii przez jej nieudolność, toporność, nadużycia władzy i agresję. Tym bardziej że dla części z nich alternatywą – wbrew utartym schematom – jest Konfederacja, jako miejsce ucieczki tych, których do bloku senackiego zniechęca przechyl w stronę obyczajowej rewolucji czy ekonomicznego interwencjonizmu państwa.

Powstaje pytanie: dlaczego ludzie o odmiennych poglądach łączą się w jedno ugrupowanie? Odpowiedź jest stosunkowo prosta: przesądza o tym różne inne identyfikacje, które czasami upraszczają, a czasami komplikują układanki związane z powstawaniem partii politycznych. Część z nich bierze się ze wspólnych doświadczeń, część ze wspólnych wrogów, wreszcie z diagnoz konkretnych problemów. W tym momencie mamy widoczne w sondażach cztery takie „identyfikacje”. Są nimi trzy partie bloku senackiego plus Polska 2050 Hołowni. Wszystkie są na tyle znaczące, że stanowią istotny element kalkulacji mimo różnicowanej siły.

Ale jeśli chce się jedności, to jaka powinna być ta wspólna, łącząca identyfikacja? Jest nią na pewno niechęć do PiS, ale widać, że nie jest to spoiwo szczególnie mocne. Sprawdza się na jednym końcu, pośród tych, którzy są szczególnie odlegli ideowo od partii Jarosława Kaczyńskiego i zbulwersowani obecnymi metodami rządzenia. Stosunek do PiS jest istotny dla mobilizacji, bo wiemy, że nie wszyscy ci, których działania władzy oburzają, pójdą do wyborów. Jeśli zaś pójdą, to niekoniecznie pociągną za sobą mniej zainteresowanych polityką znajomych czy rodzinę.

Silne motywacje nie muszą być jednak przekonujące dla wyborców umiarkowanych i wahających się, a właśnie połączenie tych dwóch grup jest kluczowe dla politycznego zwycięstwa. Błąd popełniają zwłaszcza ci, którzy wzywają do wspólnej identyfikacji, kierując się motywacjami, za którymi stoi uproszczona

→ wizja typu: „wszyscy racjonalni ludzie powinni myśleć tak jak ja”. Oraz nadzieja, że ten wspólny program będzie najbliższy właśnie ich poglądom. W końcu każdy uznaje swoje poglądy za najbardziej racjonalne. Pozostaje pytanie: ile osób podziela akurat taki pogląd jak mój?

### Radykałowie i umiarkowani

Sklejenie jednej wspólnej identyfikacji z tych czterech, które są widoczne w elektoracie opozycji, może być trudne. Dziś najczęściej mówi się o dwóch obozach. Problem w tym, że podzielenie bloku senackiego wraz z Hołownią na dwie listy w kolejnych wyborach można zrobić na różne sposoby i za każdym z nich przemawiają argumenty za i przeciw.

Pierwszym podziałem, który ujawnił się już przy okazji prac nad projektem o przywracaniu praworządności, jest podział na partie bezkompromisowe i umiarkowane. Bezkompromisowy obóz to Koalicja Obywatelska i Lewica, natomiast umiarkowane to PSL i Hołownia. Dwa ostatnie ugrupowania łączy to, że do pewnego stopnia proponują zrozumienie dla wrażliwości zwolenników obecnego obozu rządzącego. I starają się nie opisywać polityki jako ostatecznej walki dobra ze złem.

Jeszcze inny podział można zaproponować, wyróżniając partie, które mogą liczyć na jednoznaczną sympatię patrycjatu, czyli części społeczeństwa lepiej zarządzanej i w oparciu o to budującej swoje poczucie wyższości. Wtedy Platforma i Hołownia tworzą jeden obóz, w drugim zaś łądzą Lewica i PSL. Na podejściu patrycjatu do Lewicy ciąży stare doświadczenie komunizmu, wzmacniane wspomnieniami zakończonych katastrofą rządów SLD, a także antyestablishmentowym radykalizmem Razem. PSL z punktu widzenia patrycjuszowskiego establishmentu obciążony jest brzemieniem „zaściankowości”. Ludowcy podpadają pod negatywne stereotypy stale obecne w inteligenckim opisie świata – obecne w słowach „wieśniactwo” czy „buractwo”.

Poza schematem dwa plus dwa podział może mieć również postać współpracy trzech ugrupowań przy jednym, które startuje samodzielnie. Pojawiły się już takie postulaty, żeby Platforma próbowała swoich sił sama, natomiast porozumienie miałyby się pozostałe trzy partie. Taki sojusz mniejszych mógłby stać się przeciwwagą dla dominacji PO. Można sobie również wyobrazić, że powtarza się

Sytuacja Lewicy jest najbliższa sytuacji PiS-u. Trzy czwarte jej wyborców ma poglądy górnolewicowe, tyle że jej **łowisko jest dwukrotnie mniejsze niż partii władzy.**

stary skład bloku senackiego i tylko Hołownia startuje sam. Ale można też podążać tropem sugestii Donalda Tuska, gdzie samodzielnie startuje Lewica, jako ugrupowanie najbardziej odległe od wyborcy środka. Staje się ono wyrazem wielkich, postępowych nadziei, porozumienie zawierają zaś te partie, które są nie dość „oświecone” jak na lewicowe standardy. Można sobie wreszcie wyobrazić, że powstaje sojusz lewicowo-liberalny obejmujący PO, Lewicę i Hołownię. Wszak jedyna przedstawicielka tego ostatniego w PE dołączyła do liberalnego sojuszu, na czele z Macronem. Wówczas PSL zostaje samotną partią środka.

Główny problem układów dwójkowych polega na tym, że przy każdym z tych podziałów elektorat co najmniej jednej partii zacznie pękać, a jego część ucieknie do drugiego bloku. Można oczywiście spodziewać się takich przepływów w dwie strony, ale nie wiadomo, czy ich bilans wyjdzie na zero. A w przypadku podziałów trzy do jednego pojawia się niebezpieczeństwo, że ten pozostawiony samotnie może zostać oskubany z elektoratu i nie przekroczy progu wyborczego.

Obniżając jeszcze bardziej poziom aspiracji, można by zejść do poziomu trzech list, czyli tak jak było w 2007 i 2019 r. Lecz i tutaj dwa ugrupowania muszą się połączyć albo przynajmniej jedno musi zniknąć, ponieważ dla kogoś, jak w weselnej zabawie, zabraknie krzesła.

### Sprzeczne interesy

Pozostaje jeszcze uporządkowanie sytuacji w planie interesów poszczególnych partii. On zaś każe się zastanowić, dlaczego nie pozostać przy czterech listach. To oczywiście jest możliwe, ale problemem może okazać się sposób przeliczania liczby głosów na mandaty w systemie D'Hondta i tworzona przez niego tzw. nagroda integracyjna, promująca wspólne działania. To ona sprawia, że takie cztery listy musiałyby wypracować

około siedmiu punktów procentowych dodatkowego poparcia, żeby wyrównać straty wynikające z oddzielnego startu. W dodatku samodzielność każdej z partii wiąże się z niebezpieczeństwem, że któraś wylądować pod progiem wyborczym, psując całą kalkulację. I dając nagrodę obecnemu obozowi rządzącemu, któremu zejście pod próg nie grozi.

Na jeszcze szerszym planie pojawia się pytanie o ryzyko związane z tym, że któryś z opozycyjnych podmiotów może mieć charakter obrotowy, niepewny. Widać to na przykładzie prac dotyczących przywracania sprawiedliwości, podjętych w obozie opozycji. W ramach tych inicjatyw zwolennicy kompromisowego rozwiązania z PSL i Polski 2050, którzy nie chcą usuwać z zawodu wszystkich sędziów powołanych przez PiS, znaleźli się w mniejszości. O wiele silniejsza jest radykalna narracja PO i Lewicy. Ich kalkulacja opiera się jednak na założeniu, że ci, którzy zostaną mniejszościowymi udziałowcami nowej większości rządzącej, podporządkują się decydom w obozie, do którego zgłosili akces. To w sumie paradoks, gdyż właśnie ci mniejsi mają możliwość zablokowania takiego projektu i nie muszą w imię lojalności podnosić ręki za czymś, co narzuca im większościowi koalicjanci.

Sytuacja ta rodzić może obawę dominującego udziałowca przyszłej większości, że – mimo poczucia zwycięstwa – zostanie ubezwłasnowolniony przez weto układów sił wewnątrz większych porozumień jest elementem, który wymaga szczególnej ostrożności. Nawet gdyby udało się znaleźć rozwiązanie problemów wspólnoty ideowej czy tożsamościowej, pozostaje rafa tworzona przez tak samo skomplikowany splot interesów.

Opozycja zwie się sama – dość górnolotnie – „obożem demokratycznym”. Najbliższy rok będzie poważną próbą, czy to określenie nie jest tylko pobożnym życzeniem, którego nie udaje się wypełnić żywą treścią: wzajemnym szacunkiem, umiejętnością współdziałania, kompromisowym skalkulowaniem oczekiwań i możliwości. Gordyjski węzeł idei, identyfikacji i interesów da się rozsypać za pomocą instytucjonalnych narzędzi, których właśnie demokracja się dorośliła. Na przykładzie wewnętrznych relacji w PiS widać, że przecięcie go mieczem autorytaryzmu nie jest drogą na skróty, tylko na manowce. © JAROSŁAW FLIS



Konferencja prasowa prezesa NBP,  
Warszawa, 5 stycznia 2022 r.

ANDRZEJ IWANCZUK / REPORTER

## W sidłach Glapińskiego

PIOTR WÓJCIK

**Prezes NBP wciągał Polaków w pułapkę kredytową, obiecując niskie stopy procentowe. Obecnie prowadzi zupełnie odwrotną politykę. To złamanie umowy społecznej.**

**N**A POCZĄTKU LUTEGO RADA POLITYKI Pieniężnej po raz piąty podwyższyła stopy procentowe Narodowego Banku Polskiego. W efekcie stopa referencyjna wzrosła do 2,75 proc., choć jeszcze pięć miesięcy temu wynosiła 0,1 proc. A na tym najpewniej nie koniec. RPP pragnie wyższymi stopami zahamować inflację, jednak ich wpływ na ceny będzie ograniczony i odsunięty w czasie. Za to skutki dla kredytobiorców hipotecznych są właściwie automatyczne i bardzo daleko idące. Odczują je w postaci comiesięcznych, dużo wyższych rat.

Polacy mają prawo być zawiedzeni, gdyż sygnały płynące z NBP w ubiegłym roku niczego takiego nie zapowiadały. Wręcz przeciwnie, cała polityka państwa skłaniała do zaciągania kredytów hipotecznych. Teraz to samo państwo wysta-

wia za to słony rachunek. A tysiące gospodarstw domowych, które uwierzyły w trwałą politykę tanich kredytów, straci co miesiąc przynajmniej kilkaset złotych, a w wielu przypadkach nawet tysiąc.

### Idźcie i zadłużajcie się

Przez lata ze stopami procentowymi NBP nic się nie działo. Jeszcze na początku 2020 r. obowiązywały stopy ustanowione niemal pięć lat wcześniej, w czasie kadencji Marka Belki, a większość RPP, powołana już za czasów PiS, uznawała tę politykę za słuszną. Mało tego. W związku z pandemią oraz zamrożeniem gospodarki, RPP pod przewodnictwem Adama Glapińskiego zdecydowała o bezprecedensowym obniżeniu stóp procentowych do niewidzianych w Polsce poziomów. W zaledwie dwa miesiące stopa re-

ferencyjna spadła do 0,1 proc. Miało to na celu pobudzenie gospodarki poprzez obniżenie kosztów kredytów dla przedsiębiorstw. A także chronienie gospodarstw domowych, którym spadły dochody. Oba te cele zostały osiągnięte. Gospodarka poradziła sobie podczas pandemii całkiem nieźle. Według Eurostatu, w 2020 r. obciążenie kosztami mieszkaniowymi najbiedniejszych gospodarstw domowych w Polsce spadło z 34 do 32 proc. dochodu rozporządzalnego.

Problem w tym, że działania te miały jeszcze jeden, chyba nie do końca przewidziany skutek – napędziły do banków tabuny chętnych do zaciągnięcia kredytu hipotecznego.

W Polsce panuje potężny głód mieszkań. Według Eurostatu aż dwie trzecie osób w wieku 18-34 lata mieszka z rodzicami. W zawężonej grupie 25-34 lata jest niewiele lepiej – prawie 50 proc. wciąż żyje w domu rodzinnym. To o ponad połowę więcej niż średnio w UE i od lat ten wskaźnik niemal się nie zmienia. Na dodatek 80 proc. z tych ludzi pracuje, więc chciałoby się usamodzielnic i przestać okupować pokoje dziecięce. Niestety, ceny mieszkań sprawiają, że tylko nieliczni nie muszą korzystać z kredytu. Według NBP w III kwartale 2021 r. za średnie wynagrodzenie mogliśmy kupić nieco ponad 0,7 metra kwadratowego. Jeszcze w 2016 r., czyli przed hossą na rynku mieszkaniowym, za średnie wynagrodzenie mogliśmy nabyć prawie 0,9 m kw.

Co gorsza, państwo niewiele robi, żeby zażegnać ten kryzys. PiS w 2016 r. co prawda zaprezentował z pompą swój przełomowy projekt „Mieszkanie plus”, mający zapewnić tani dach nad głową setkom tysięcy rodzin, ale skończyło się na ledwie kilku tysiącach. Stało się tak m.in. z powodu oporu spółek Skarbu Państwa oraz agend rządowych, które niechętnie chciały oddawać grunty pod inwestycje, co zdradził sam Jarosław Kaczyński w wywiadzie dla tygodnika „Sieci”. W zapowiadany od poprzedniej wiosny Polskim Ładzie rządzący postanowili więc odejść od idei budownictwa publicznego, skupiając się na udostępnieniu ludziom tańszych kredytów hipotecznych. Od maja 2022 r. będzie można zdobyć taki kredyt bez wkładu ➔

→ własnego. Zapowiedziano także spłaty części długu w razie narodzin dziecka. Można powiedzieć, że rządzący obwieścili wtedy obywatelom: nie zbudujemy wam mieszkań, ale banki zapewnią kredyty każdemu chętnemu.

W tę narrację rządu idealnie wkomponował się wówczas szef NBP Adam Glapiński. Jego narracja z pierwszej połowy ubiegłego roku nie tylko nie zapowiadała podwyżki kosztów kredytów hipotecznych, ale wręcz przekonywała, że będą one niskie jeszcze przez długie lata. W styczniu 2021 r. podczas konferencji prasowej Glapiński stwierdził: „Od dłuższego czasu nie rozumiem, skąd takie ogromne zaniepokojenie niektórych obserwatorów rzekomą groźbą wybuchu inflacji. Żadne dane tego nie potwierdzają. Ani perspektywy rozwoju gospodarczego, ani kształtowanie się cen światowych”. A skoro inflacji nie będzie, to i stopy nie powinny rosnać. Co zresztą Adam Glapiński potwierdził w marcu 2021 r. podczas wideokonferencji, gdy przekonywał, że „nadal prawdopodobieństwo podwyżek stóp procentowych w czasie obecnej kadencji Rady Polityki Pieniężnej wynosi zero”. A skoro szef banku centralnego zapewnia, że stopy nie wzrosną, to trudno mu nie wierzyć – przecież to on jako przewodniczący RPP ma na nie największy wpływ.

Głód mieszkaniowy, prokredytowa polityka rządu, „gołębia” narracja banku centralnego oraz obniżenie kosztu pożyczanego pieniądza prawie do zera – skłoniły tysiące osób do zaciągnięcia wysokiego długu. To, co się działo na rynku kredytów mieszkaniowych w III kwartale ubiegłego roku, przypisywało o zawrót głowy. Według danych NBP, w samym III kwar-

tale 2021 r. wartość udzielonych kredytów hipotecznych sięgnęła prawie 24 mld złotych. To najwyższy wynik w historii naszego kraju, ale nikt nie dostrzegł w tym niczego niepokojącego, choć w analogicznym okresie 2020 r. wartość udzielonych kredytów wyniosła „jedynie” ok. 14 mld zł.

Według danych Biura Informacji Kredytowej, w całym 2021 r. udzielono kredytów hipotecznych na łączną wartość 89 mld zł. To także rekord wszech czasów. Poprzedni ustanowiono w czasie szaleństwa kredytów frankowych w 2008 r., gdy suma udzielonych hipotek sięgnęła 70 mld zł.

### Hossa i czołowe zderzenie

Setki tysięcy osób ruszyło do banków w przekonaniu, że państwo odstąpiło od programu budowy mieszkań, ale zadba przynajmniej o niskie raty. Niestety, ta niepisana umowa społeczna została jednostronnie wypowiedziana. Zaczęło się w październiku 2021 r., gdy RPP po raz pierwszy podniosła stopy procentowe. Na początku delikatnie, do 0,5 proc. Można było mieć jeszcze nadzieję, że RPP po prostu przywróci stan sprzed pandemii. Jednak już w grudniu stopa referencyjna została podniesiona do 1,75 proc., czyli przebiła poziom sprzed epoki koronawirusa. Po decyzji RPP z lutego stopa referencyjna osiągnęła już 2,75 proc., a to oznacza, że jest najwyższa od czerwca 2013 r. Mamy więc do czynienia z niezwykle tempem podnoszenia stóp procentowych, które nie zostało w żaden sposób wcześniej zapowiedziane.

Tymczasem narracja szefa NBP kompletnie się odmięła: z gołębiej na jastrzębią. Na lutowej konferencji Glapiński stwierdził (niepomny tego, co mówił

przez lata), że stopy na poziomie 4 proc. nie powinny mieć negatywnego wpływu na gospodarkę. Możemy więc przypuszczać, że już niedługo, wczesną wiosną, osiągną taki właśnie poziom. Niektórzy analitycy są wręcz zdania, że z czasem mogą dojść do 4,8 proc.

Podwyższenie stóp procentowych NBP wpływa bezpośrednio na kluczowy dla kredytów hipotecznych WIBOR. Już 4 lutego 6-miesięczny WIBOR sięgnął 3,59 proc. Według symulacji przeprowadzonej przez Marka Chądzyńskiego z portalu „300gospodarka.pl”, po ostatniej decyzji RPP raty kredytów wzrosną o ok. 40 proc. W przypadku kredytu wartego 350 tys. i udzielonego na 25 lat, rata wzrośnie z 1567 zł do 2232 zł. Jeśli WIBOR zgodnie z prognozami wzrośnie do 4,8 proc., rata tego kredytu sięgnie aż 2476 zł. Mowa więc o różnicy ponad 900 złotych. A przecież nie chodzi o nabywców drogich apartamentów, gdyż obecnie za 350 tys. zł można kupić ledwie 32-metrowe nowe mieszkanie w Krakowie. Pozostając przy przykładzie z tego miasta: rata kredytu udzielonego na pół miliona złotych – czyli na przeciętny 45-metrowy nowy lokal w stolicy Małopolski – już teraz wzrośnie o prawie tysiąc złotych, a według prognozy nawet o 1,3 tys.

Utrata przez nieprzesadnie zamożną rodzinę ponad tysiąca złotych miesięcznie oznacza dla niej ogromny wysiłek finansowy. Podwyżki stóp nie dotkną natomiast najzamożniejszych, którzy traktują kupno mieszkania jak lokatę kapitału – oni nabywają nieruchomości za gotówkę. Na kredyt kupują je Polacy, dla których mieszkanie to miejsce do życia. I teraz to zrealizowane marzenie stanie się dla nich kulą u nogi.

Przed serią podwyżek stóp wskaźnik kredytów zagrożonych niespłacalnością był jeszcze bardzo niski – według NBP wynosił zaledwie 2,5 proc. Jednak w najbliższym czasie to się zmieni. Według BIK, jeśli RPP będzie kontynuować obecną politykę, zdolność kredytowa przeciętnego Polaka spadnie o prawie połowę. Kolejne podwyżki stóp procentowych wpędzą więc tysiące rodzin w tarapaty finansowe. Dodajmy, niezawinione.

Ale nie tylko to jest dramatem. Po raz kolejny okazało się bowiem, że pokładanie ufności w polskim państwie jest inwestycją nadzwyczaj chybioną.

© PIOTR WÓJCİK

Ś†P.

## Bogumiła Połomska

pedagog, opiekunka i wychowawczyni pokoleń dzieci w trudnej sytuacji życiowej, zmarła 3 lutego 2022 roku w osiemdziesiątym ósmym roku życia w Zakopanem.

Żegnają ją ze smutkiem przyjaciele

KAZIMIERZ BIERZYŃSKI, ANNA BOMBA-RUMIAN,  
JACEK BOMBA, TERESA I ZBIGNIEW KAMIEŃSCY, GERTRUDA KONKE,  
MAŁGORZATA I JERZY PROCHACZKOWIE, JACEK WALTOŚ

DOROTA

# Masłowska:

## Urząd marzeń



PODZAS SPRZĄTANIA ZNALAZŁAM w domu masę lichych przedmiotów, których jedynym powodem istnienia jest posiadanie logo. Są to parasole, łyzki do butów, notesy, kalendarze, długopisy, kubki i miniateczki wyprodukowane tylko po to, by głosić chwałę miast, urzędów, wydziałów, instytucji.

Pozór funkcjonalności nadaje tym przedmiotom cech wieczności. Tak brzydkie i tandetne, że nigdy nieużywane, na zawsze zachowują nowość, przez co nigdy nie kwalifikują się do wyrzucenia. Zakradając się do domu niby przypadkiem, wrabiają nas w ich dożywotnie posiadanie. Latami krążą po ognisku domowym, nigdy nie płonąc; fluktuują w oceanach innych przedmiotów, nigdy nie tonąc; niepytane ogłaszają niestrudzenie istnienie tego, a nie innego urzędu, ocieplając jego wizerunek. On zaś sam dzięki temu może w spokoju pozostawiać lodowatym kafkowskim molochem, którego pracownicy za kontuarami wymownie wznoszą brwi, patrząc, jak mocujesz się na wietrze z wielokrotnie złożoną płachtą PIT-11, a w oczach mają pogardę ni to do ciebie, ni to do siebie.

Dlatego tak lubię ZUS na Orzeszkowej, mój urząd marzeń. Być zmuszonym pójść tam, to jakby jechać do domu. W drodze człowiek jeszcze rwie włosy z głowy, ociaga się i zamartwia, antycypując nieporozumienia. Przypomina sobie wszystko, co najgorsze, uzbraja się w cierpliwość, ćwiczy w myślach scenki, w których zachowuje spokój, nie reaguje na kąśliwości, a cięte riposty przychodzą mu do głowy od razu, a nie pod prysznicem po dwóch tygodniach. Lecz potem, gdy już widzi znajomy domofon z wypalonymi guzikami, gdy przekroczy próg, ze zdziwieniem konstatuje, że nikt nie czeka tu na niego z siekierą. Izba jest wysprzątana, a matka piecze chleb.

Tak jest właśnie w tym ZUS-ie. Każdy petent witany jest tu ze szczerym zainteresowaniem, wręcz pasją. Już u progu pojawia się starszy ochroniarz w polarze, z reklamą pocziwie złożonymi na podołku. Pyta o charakter sprawy i niezwłocznie kieruje do maszyny z numerkami, zgodnie ze swoją najlepszą wiedzą wybierając ten najkorzystniejszy. Pani w informacji jakby naprawdę uwielbiała informować, a nie dajmy na to: jeść sałatkę gyros i grać w pasjansa pająka bez interferencji napraszających jej się szkodników. Atmosfera jest tak przychylna, że czas znika, a zamiast niego w powietrzu

unoszą się idylliczny szum cichych rozmów debatujących nad rubrykami ERU i Z-15A Hindusów, Irańczyków i Azjatów z Bakalarskiej.

Czekając, zapadam w półsen. Przypomina mi się, ile miłych chwil spędziłam tu z zaangażowanymi pracownikami, słuchając łagodnego pomruku drukarek wypływających nieskończone wydruki. Przypomina mi się, jak tłumaczyłam niedosłanie na czas dokumentów niejasną chorobą, a przeziębiona urzędniczka spojrzała na mnie delikatnie, ale współczująco, i westchnęła: „Wszyscy teraz tak chorują na tą depresję”, jakby biorąc ode mnie moje kłamstwo i jeszcze z własnej inicjatywy rozprostowując je i proaktywnie wygładzając mu brzegi.

Dwie panie sprząające krążą pilnie po zakładzie w piskliwych kłapkach gumowych. Szepcząc między sobą, bezustannie wszystko odkażają, polerują i przecierają. Uwijając się między ludźmi, zagadują, dopytują, garną się do drukowania numerków. W tle na dużym ekranie leżą filmy przestrzegające przed pułapkami nielegalnego zatrudnienia. Pierwszy z nich opowiada historię lwowianki, która po przyjeździe do Polski trafiła do niewolniczej pracy. Drugi – kobiety, której urwało rękę. Choć obfitujące w przykrości, kończą się dobrze – po zalegalizowaniu pracy ich sprawy się ułożyły, rodziny scalały, a urody rozkwitły.

Gdy tak obserwuję, jak sprząająca Ukrainka pomaga obsługiwać automat z numerkami Wietnamczykowi, a ich wspólnym językiem jest serdeczny, choć wysiłkowy polski, nadchodzi moja kolej. Gdy staję u podnóża biurka, widać, że w urzędnicze walczą dwa wilki. Jeden jest miły i uniżny. Drugi mimowolnie aktywuje w niej urzędnicze skrypty szorstkości i zimnego chowu wobec petenta. Nim przyniesie odpowiedni druk, musi parę razy powiedzieć kontrolnie: „To nie tutaj”, „To nie u nas”, „To do NFZ-u, nie do nas”, jakby sprawdzała, czy może jednak zrezygnuję i wtedy nie będzie musiała iść po ten druczek, którego akurat nie ma pod ręką. Ponieważ nawet tu w ciałach i umysłach urzędników walczą wciąż ulepszenia z pogorszeniami, nowinki ze starowinkami.

Jednak dobro wygrywa. Pani z westchnieniem idzie po formularz, pomaga mi go wypełnić, a na koniec życzy mi ciepło – miłego dnia.

Gdy wychodzę, widzę jeszcze ten okazały regał z formularzami o nieprzyjaznych nazwach (DRA, ZWUA, ZAS-53), przypominający, że to przecież bezduszna superinstytucja, nadająca numery ludziom i sygnatury nieszczęściom, chorobom i przypadkom życia! Ale na Orzeszkowej kody, tabelki i tysięczne rubryczki zdają się „Krzyżówkami z głową”, gdzie chciałoby się zamiast nipów, kwot i peseli wpisywać „serce”, „bracia i siostry”, „Ziemia, planeta ludzi”, „bądźmy razem”, „spieszymy się kochać ludzi, tak szybko wychodzą”. ©



Z ODDECHEM

# DZIECKO: GATUNEK NIEZNANY

W przyptywie wspomnień lubiłem zadawać sobie pytanie, dlaczego moi koledzy z łódzkich podwórek, szkoły i boisk tak marnie skończyli.

ŁUKASZ NAJDER

WIOSNĄ ZESZŁEGO ROKU NASZ PIĘCIOLETNI SYN GUSTAW dostał od babci rower. Póki nie ujrzałem, z jakim przejęciem nakłada kask, ściska dłońmi kierownicę, sadowi się na siodełku i raz po raz zadziera głowę, by oszacować dystans pomiędzy sobą a najbliższą krzyżówką w lesie pod Grotnikami, w którym zwykliśmy spędzać weekendowe przedpołudnia, nie rozumiałem, że mamy do czynienia z kolejnym przełomem w jego życiu – wydarzeniem równie istotnym co artykulacja, samodzielny chód, pierwszy dzień w przedszkolu, własny pokój. Asystowaliśmy tej nauce i przygodzie gorliwie, wręcz radośnie, pełni jednocześnie obaw, czy stanie mu się nic złego.

W rezultacie zazwyczaj truchtaliśmy kolorowo-dźwiękowym tropem Gustawa, pokrzykując. On tymczasem parł wciąż naprzód – szczęśliwy, wolny – mimo że solidny, niebieski pojazd, który wymiennie uważał za ludowy model batмобиля i galaktyczny ścigacz Imperium, kołysał się na boki i dzięki pofałdowaniom terenu zyskiwał miejscami sporą prędkość. Najgorszy był moment, kiedy Gustaw znikał nam z oczu, bo akurat brał głębszy zakręt. Wyobraźnię zdyszanych rodziców zaludniają wtedy potwory – quady, auta, pobudzeni myśliwi, ogromne, puszczone luzem psy. To chyba naturalny, zdrowy odruch.

*Dzieciństwo na warszawskim podwórku.  
Warszawa, lata 70. XX w.*



JERZY MICHAŁSKI / RSW / FORUM

## Lekcje świata

→ Po którejś z rowerowych sobót zastanawiałem się jednak, czy trwożyć nas powinny konkretne, możliwe niebezpieczeństwa, czy raczej po prostu sytuacja, w której Gustaw jest zdany wyłącznie na siebie? Czy za sprawą jego zmagania z równowagą i przestrzenią nie otrzymywaliśmy dyskretnego przypomnienia-metafory, że takie są oto fundamentalne zobowiązania opiekunów dziecka – obronić je przed światem, nauczyć żyć w świecie? Lecz jak pogodzić nabieranie doświadczenia z bezpieczeństwem tego, który zaznaje, bada, poszukuje? Miłość bywa nie do odróżnienia od kontroli i zniewolenia. Skąd Gustaw dowie się, czy ma się dostosowywać czy też przeformułowywać dogmaty i systemy, według których przyjdzie mu funkcjonować w społeczeństwie? Dzięki czemu – i komu – będzie wiedział, jak postępować, na dodatek – jak postępować właściwie?

„U kruków młode zdobywają doświadczenie odpowiednie do sposobu życia ich gatunku poprzez naśladowanie rodziców” (przeł. Michał Szczubiałka), napisał Bernd Heinrich w „Umyśle kruka”. Z kolei Carl Safina w swojej „Dzikości”, książce o tym, „jak kultury zwierzęce wychowują rodziny, tworzą piękno i osiągają pokój”, wyjaśnia, iż „wiele zwierząt musi uczyć się od starszych, jak być tym, kim się urodził” (przeł. Andrzej Wojtasik). I uzupełnia: „młody kaszalot musi się bardzo wiele nauczyć. Umiejętność nurkowania w głębinach rozwija się z czasem. Młode uczą się, towarzysząc matce i innym dorosłym. Zanim opanują czynne stosowanie echolokacji, prawdopodobnie »podszluchują« informacje zawarte w powracających echach dźwięków emitowanych przez dorosłych członków rodziny, dowiadując się, jak rozpoznawać odgłosy towarzyszące wykrywaniu pożywienia i pościgowi”.

Czy zatem my, jego mama i tata, moglibyśmy być dla Gustawa wzorem – przykładem, z którego w obliczu dylematów, pokus i ryzyka czerpałby wiedzę i pewność? Ale czy jesteśmy dostatecznie uczciwi i prawi, by oczekiwać, że takim przykładem i wzorem dla niego będziemy? I że uzna moje ambicje wobec niego za własne? Nie chciałbym, żeby krzywdził i oszukiwał, oceniał innych po zamożności i zapachu, schlebiał wpływowym i silnym, gardził i wykorzystywał słabych.

Pragnę wpoić mu przekonanie Studsa Terkela, że „ludzie są zasadniczo porządni i mają wrodzoną inteligencję”, zarazem nie planuję wypęniać go fałszywą nadzieją, że na

swojej drodze spotka wyłącznie mądrych, wrażliwych i oddanych. Co jest więc tą siłą, która między łódeczkiem Sundvik a blasterem, między blasterem a maturą formuje człowieka?

## Nowy bóg

Wydawać by się mogło, że znalezienie odpowiedzi na pytanie „jak wychować?” powinno być dość proste. Tylko bowiem w zeszłym roku ukazały się u nas książki „Jak wychować rapera” Marcina Matczaka, „Jak wychować nazistę” Gregora Ziemera i „Jak wychować syna na feministę” Aurélii Blanc. A w roku 2020 – „Jak wytresować lorda” Aleksa Rentona.

Oczywiście, „Jak wychować nazistę” i „Jak wytresować lorda” nie są podręczną literaturą parenetyczną, z której należy czerpać praktyczne rady. Renton w swojej książce o angielskich elitarnych szkołach z internatem pokazuje, wykorzystując po temu i własne traumatyczne przeżycia, do czego prowadzi obsesja na punkcie edukacji w prestiżowych, snobistycznych szkołach, w których za misterną zasłoną tradycji i teoryjek na temat przywar i celów „młodego człowieka” odbywają się od dekad rytuały przemocy, upokarzania, pedofilii i brutalnego modelowania charakteru uczniów. Ziemer natomiast opisuje, w jaki sposób i na jak wielu poziomach – od zapłodnienia i ciąży przez „krzepiące” zajęcia grupowe na świeżym powietrzu aż po sierocińce, uczelnie, organizacje paramilitarne i sport – dyktatura kontroluje i napędza proces wytwarzania fanatyków, którzy w imię swojego wódza, ojczyzny i idei będą zabijali bez litości wskazanych im „wrogów”.

Te eseistyczno-reporterskie tytuły o wychowaniu to zaledwie ułamek tego, co rynek wydawniczy ma do zaoferowania w przedmiocie opisu i problematyzacji któregoś z etapów życia dziecka. Półki księgarskie i portale z ebookami uginają się od poradników służących receptami na udane, radosne niemowlęctwo czy nastoletwo, memuarów, w ramach których autorzy zapuścili sondę wspomnień aż po idyllę/horror czasu szkolnego, popularnonaukowych wywodów mających być rodzicielskim orężem w boju z cyfrowym uzależnieniem, narkotykami, gnuśnością, brakiem dyscypliny i priorytetów u naszych pociech.

Z kolei książki te stanowią niewielką gałązkę potężnego drzewa wszelkiego rodzaju usług, przedmiotów i treści, których adresatem uczyniono dziecko – a przez „dziecko”

**Powolny, marzycielski, swobodny, dowcipny, pachnący...  
Ten notes to bilet do analogowej rzeczywistości,  
która jest prawdziwym życiem.**

**Grzegorz Łapanowski,**  
kucharz, aktywista i dziennikarz kulinarny



można rozumieć tu zarówno raczkującego Leona, jak i rozrywkową Oliwkę z prywatnego liceum – oraz serdecznych, hojnych krewnych dziecka. Ostatecznie byłoby raczej trudno rozstrzygnąć, czy rewolucja uczuć macierzyńsko-ojcowskich nakręciła monstrialny rozrost „branży dziecięcej”, czy też producenci i marketingowcy teje nasze doświadczenie bycia ojcem, matką, dziadkami, wujostwem, chrzestnymi podzielili na odrębne i liczne powinności, wydarzenia i potrzeby, których zostaliśmy sponsorami i zakładnikami. Pewne jest to, że dziecko jest dzisiaj bogiem.

Napisałem „dzisiaj”, choć to stan płynny, wzbierający od dobrych trzydziestu lat – od Przełomu. To efekt sprzęgnięcia zmian w nastawieniu do dziecka i kapitalizmu, który na każdym kroku podsuwa efektowne rzeczy jako ekwiwalenty i reprezentacje uczuć, pamięci i troski. Napisałem również „bogiem”, ale nie dlatego, że uważam dziecko za kogoś w rodzaju małego buddy czy gaworzącego mesjasza. Dziecko nie jest bogiem z racji swoich boskich mocy, boskiej genealogii, boskich zadań do wykonania na Ziemi i w zaświatach, lecz przez ekstatyczne uwielbienie, które rozciągają wokół niego bliscy. Opieka przybiera formę całodobowej adoracji. Rodzicielstwo to już nie część tożsamości, ale tożsamość – jedyna, kompletna. Znika męczyzna czy kobieta ze swoim życiem wewnętrznym, towarzyskim i zawodowym, pojawia się „tatuś Oli”, „mama Tymka”. Zamiast rozmowy – mówienie wyłącznie o dzieciach, spędzanie wolnego czasu z dziećmi albo z innymi parami, które mają dzieci, posty dotyczące dzieci, profilówki z dzieckiem, zdjęcia, miliony zdjęć dzieci wszędzie. Dzieciństwo, dzieciomysłenie, dzieciouczucia i przede wszystkim – lęk o dzieci.

To charakteryzuje nas i naszą epokę – niewygasła obawa o bezpieczeństwo i dobrostan dziecka. Jakby dziecko było nie tylko bogiem, ale i jakimś rzadkim gatunkiem zwierzęcia na skraju zagłady gatunkowej. Stąd funkcjonalne apartamentowce na strzeżonych osiedlach, przedszkola językowe, oczyszczaczki powietrza, antyszczepionkowa panika, lep-

## Opieka przybiera formę całodobowej adoracji.

Rodzicielstwo to już nie część tożsamości, ale jedyna tożsamość. Znika męczyzna czy kobieta ze swoim życiem wewnętrznym, towarzyskim i zawodowym, pojawia się „tatuś Oli”, „mama Tymka”.

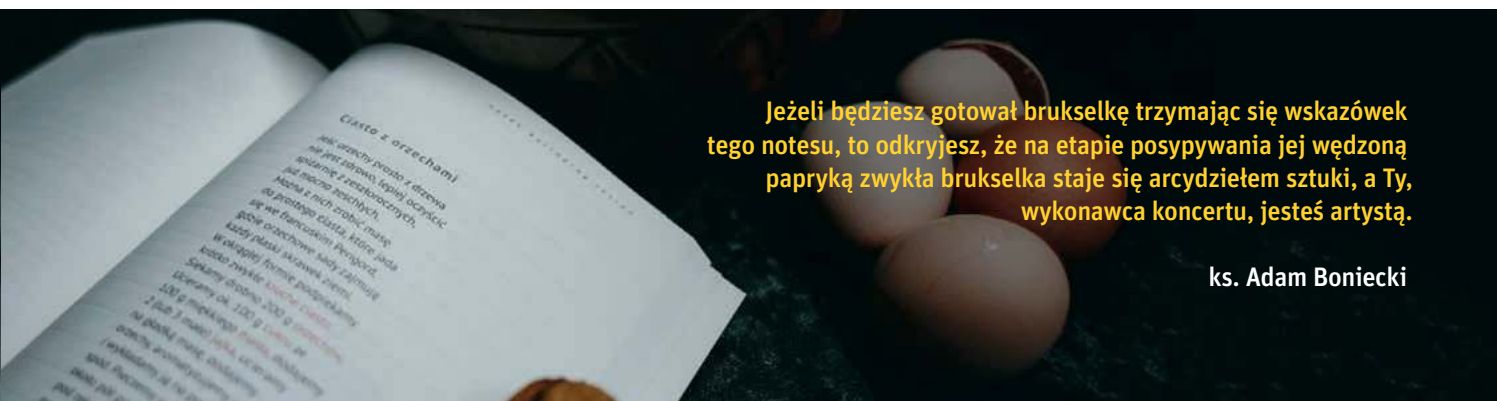
sze szkoły, w których nie uświadczysz gorszych dzieci, pancerne auta rodzinne, foteliki samochodowe godne promów kosmicznych, wodne place zabaw, figloraje, dziesiątki atestowanych zabawek, korepetycje, trampoliny do kariery i strefy premium.

Lecz dzisiejsza czuła piecza nad dzieckiem, dbanie z wyprzedzeniem o jego przyszłość i swoista deifikacja są czymś zasadniczo nowym. Dawniej, pisze Philippe Ariès w „Historii dzieciństwa”, „rodzina nie miała funkcji uczuciowej” (przeł. Maryna Ochab). Dziecko było ciężarem, najtańszą siłą roboczą, małpka, która swoją nieporadnością i gulgotaniem rozśmieszała domowników, kimś, kogo czym prędzej wysyłało się na służbę lub termin. Dziecko przez długi czas było, mówiąc okrutnie i wprost, efemerydal-

nym członkiem rodzinnej wspólnoty, a że rodzone je często, omal rok za rokiem – członkiem wymienialnym, podatną na choroby miniaturową istotą, do której przesadnie się nie przywiązywano. Nie muszę zresztą wcale zgłębiać prac historyków i socjologów, by zauważyć, jak na przestrzeni wieków ewoluowała liczebność dzieci w rodzinie. Dość powiedzieć, że Gustaw to jednak, podobnie jak i ja, moja mama miała brata, ich mama – a moja babcia – posiadała czworo rodzeństwa, jej mąż, a pradiadek Gustawa, troje, ich rodzice i rodzice tychże rodziców chowali się wśród chmary siostr i braci, porodów i przedwczesnych zgonów.

Ariès zauważa również, że „aż do wieku XII mniej więcej sztuka średniowieczna ignorowała dzieciństwo i nie próbowała go przedstawić”. Dzieci ukazywano, ale niejako w przebraniu – jako nie-dzieci, lecz aniołki, Dzieciątka Jezus, martwe naguski, „alegorie śmierci i duszy”. Z czasem pojawiły się nagrobne portrety i putta. „Poza wizerunkami nagrobnymi portrety dzieci samych, bez rodziców, są w XVI wieku rzadkością”. Zmiana następuje w wieku XVII, gdy „nowością (...) będzie przedstawienie samego dziecka”. „Obrazy tego typu spotykamy często w prowincjonalnych muzeach i antykwariatach, bo w XVII wieku każda lepsza rodzina pragnie sportretować swoje dzieci. Ten zwyczaj już

→



**Jeżeli będziesz gotował brukselkę trzymając się wskazówek tego notesu, to odkryjesz, że na etapie posypywania jej wędzoną papryką zwykła brukselka staje się arcydziełem sztuki, a Ty, wykonawca koncertu, jesteś artystą.**

ks. Adam Boniecki

O ile nasi dziadkowie mogą się wylegitymować zazwyczaj kilkoma zdjęciami ze swojego dzieciństwa, nasi rodzice i my – kilkunastoma czy kilkudziesięcioma, to dzieci doby fotografii cyfrowej właściwie nie będą w stanie zliczyć, na ilu zdjęciach uśmiechają się, bawią, jedzą, podróżują, śpią. Dzisiaj każdą chwilę dzieciństwa, nawet pre-chwilę w łonie matki, zamienia się w Niezapomnianą Chwilę i uwiecznia, uwiecznia, uwiecznia.

Trauma otwiera się niczym trujący kwiat po długiej nocy. Dlatego współcześni rodzice drżą z bojaźni o to, co w dziecku odłoży się z dzieciństwa, by uzewnętrznić dramatycznie i z bólem po wielu latach – w młodości czy wieku dorosłym. Nie chcą rozpoznać swoich kłótni, cichych dni, wzajemnej nieczułości, tarapatów finansowych w jego bądź jej nerwicy, porażkach życiowych, paraliżującym wstydzie. Trwogą napawa ich wizja, że jakieś drobne zaniedbanie może odcisnąć się na zawsze w CV dziecka, może spustoszyć mu zdrowie, udaremnić osiągnięcie sukcesu. Kiedy sam zostajesz rodzicem, od razu mniej się dziwisz tym, których wcześniej etykietowałeś jako rodziców nadopiekuńczych i przewrażliwionych.

Mamy tutaj do czynienia z podświadomym strachem przed irracjonalną niezgodą na zmiany obyczajowe, zanegowanie tradycyjnych ról płciowych i rodzinnych, rede-

finić pojęć uznawanych za wartości jako takie. Ciężko mi bowiem pogodzić się z faktem, że ktokolwiek mógłby serio żałować tamtego minionego porządku – porządku knutów, pasów i kabli od maszynek używanych w domu jako „dyscypliny”, porządku szarpiących za uszy nauczycieli, trenerów dających „w łeb”, starszych chłopaków objających młodszych, sąsiadów, którzy mogli przyłożyć za hałasowanie pod bramą czy wrzucenie piłki do ogródka. Nawet u poczciwych franciszkanów, do których chodziliśmy na religię, za automatyczny odruch karcący uchodziło zdziwienie rozrabiającego delikwenta sznurem z węzłami, którymi zakonnicy byli przepasani. Przemoc była wszakże obecna, choć znormalizowana, obrócona w zwyczaj i banał, w czyn konieczny, bo przedsięwzięty dla dobra dziecka.

Nie powiem, w przypiływie wspomnień lubilem zadawać sobie pytanie, dlaczego moi koledzy z łódzkich podwórek, szkoły i boisk tak marnie skończyli. Rzecz jasna, ani od siebie, ani od nikogo innego nie oczekiwałem odpowiedzi. Bo w istocie interesowało mnie tu moje udane, spełnione życie, a nie życie Adriana, Grześka, Przemka czy Michała, albowiem na ich tle moje udane, spełnione życie jawiło się jako o wiele bardziej jeszcze spełnione i udane. Ale od czasu lektury „Następnym razem pożar” Jamesa Baldwina powtarzam za nim: „nigdy przedtem nie przyszło mi na myśl, że mogę stać się jednym z nich, ale teraz zdałem sobie sprawę, że ukształtowały nas te same warunki” (przeł. Daniel Passent), i pytam już o coś innego: jak udało mi się ująć stamtąd całość? Co przesądziło, że nie podzieliłem ich losu – nie trafiłem do poprawczaka albo więzienia? „Poprawczak” i „więzienie” są w tym przypadku eufemizmem takich słów jak „kradzież”, „pobicie”, „napad”, „morderstwo”.

„Tego lata okazało się więc, że bariery moralne, które – jak przypuszczałem – odgradzały mnie od niebezpieczeństwa kariery kryminalnej, były tak cienkie, że prawie nie istniały. Na pewno nie mogłem znaleźć żadnego zasadniczego powodu, dla którego nie miałbym stać się przestępcą” – wyznaje Baldwin. Jaki był mój zasadniczy powód? Nie wiem. Przypadek? Trochę szczęścia. Chwiejna, nieuświadomiona prawosť. Tchórzostwo. Lęk przed konsekwencjami. Wstyd, jaki mogę przynieść mamie i babci, które mnie wychowywały. Wszystko po trochu. Wolałbym napisać, że zdecydowała wrodzona uczciwość i zasady przejęte od

# Napisz własną historię kuchenną



mentorów, ale to nieprawda. Postępowałem tak, a nie inaczej – i nie postępowałem – wcale nie z racji cnót własnych czy szacunku wobec prawa, lecz odruchowo i po omacku.

Pamiętam zwłaszcza taką scenę – miałem wtedy trzynaście, czternaście lat. Graliśmy w parku przy Sanockiej w nogę. Po meczu poszliśmy napić się wody z hydrantu róg Tuszyńskiej i Piasecznej. W pewnym momencie X., który przewodził grupce starszych o rok chłopaków z osiedla, powiedział do mnie kusicielsko i łagodnie: „Chodź z nami”. Ucieszyłem się i w pewien sposób mi to zaimponowało, bo znani byli z rozrób, wagarów, ostentacyjnego palenia papierosów, sznyt, bluzgania na głos. Zaproszenie, jak rozumiałem, dotyczyło nie tylko reszty tego dnia, ale również innych dni, tygodni, miesięcy, reszty ich i mojego podstawówkowego dzieciństwa. Ale ostatecznie się zawahałem, a zawahawszy, nie umiałem już się zgodzić. Wymamrotałem coś pod nosem i poszedłem do domu. Niczym w topornym filmowym moralitecie ja skrzyłem w lewo, a X. i jego paczka w prawo.

Nie minął rok czy dwa, a każdy z nich miał już na koncie przestępstwo, potem kilka, wreszcie dowiedziałem się, że brali udział w napadzie na willę, podczas którego zastrzelili dwie kobiety. Nie wiem, co mną wówczas pokierowało. Na pewno nie dobro. Uchylenie się od zła i fatum to niekiedy ledwie intuicja czy zwykła niechęć do zrobienia czegoś, monosylaba, odmienne plany na wieczór.

Gdybym przysłał wtedy do nich – albo do innych z mojej okolicy, którzy proponowali mi wyprawę na dziesięć, obrobienie kiosku, pobicie kogoś, przechowanie ciepłych jeszcze fantów – mógłbym tak samo jak i oni zaliczyć wreszcie długą odsiadkę, a po wyjściu nie być nikim więcej, jak byłym więźniem, złodziejem, mordercą, człowiekiem napiętnowanym i przegranym. Nikt się bowiem nie rodzi zbrodniarzem ani nie postanawia w jakiś deszczowy, przynębiający wtorek kimś takim zostać. Zło leżało się tam pośród nudy, w trakcie szukania mocnych wrażeń, lekkomyślnego popisywania się, z chęci dorównania tym, co mieli wszystkiego

## Współcześni rodzice drżą z bojaźni

o to, co w dziecku odłoży się z dzieciństwa. Nie chcą rozpoznać swoich kłopotów, klótni, cichych dni w jego nerwicy, porażkach życiowych, wstydzie. Ale nie zawsze tak było.

w bród. Moi koledzy stali się bandytami nie dlatego, że musieli, ale że mogli. Ich pochodzenie było różne, ich potencjał emocjonalny był różny, ich rodziny były różne, ich serca i głowy były także różne, więc z najwyższym trudem przyszłoby jakiemuś reporterowi czy kryminologowi wskazanie pojedynczej, konkretnej przyczyny i oznajmienie z triumfem „to dlatego”.

### Przed siebie

Ale czasami okazuje się, że Gustaw wcale już nie pędzi, lecz czeka za którymś zakrętem. Siedzi na rowerze, zerkając w tył, i dyszy – zarumieniony jazdą, dumą i radością. Wie, że jesteśmy, a my wiemy, że będziemy w jego pobliżu. Tu, pod błękitnym grotnickim niebem, pod którym znieacka rozlega się krzyk myszołowa i A2 mru-

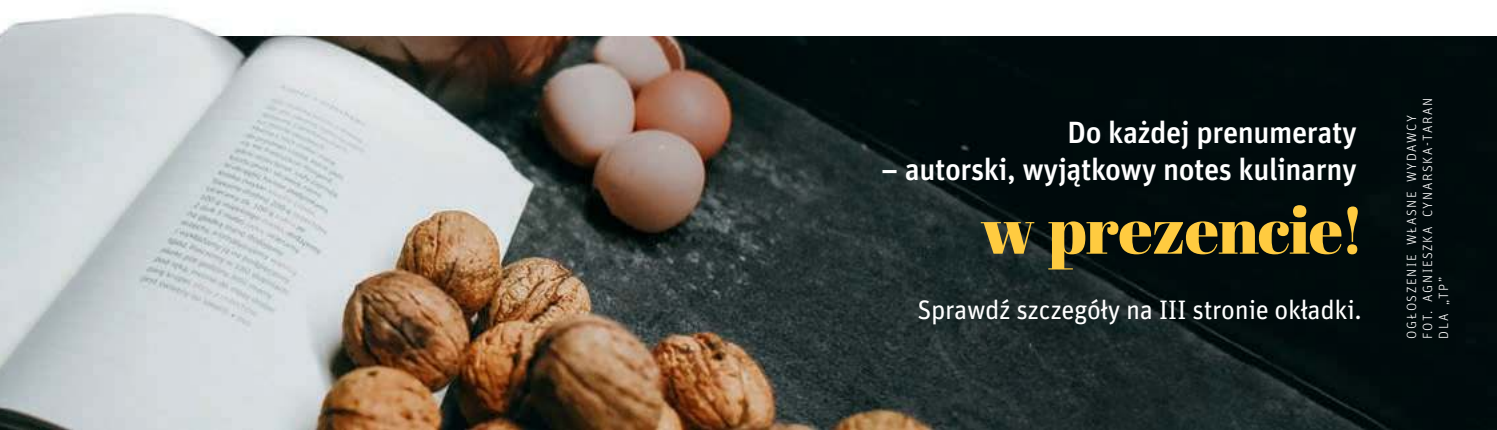
czy za drzewami niczym rzeka, i wszędzie. To poruszający widok – nasz syn, a jednocześnie istota, o której Adam Rutherford pisał w tak niezwykły sposób w „Krótkiej historii wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek żyli”, „nasze genomy, geny i DNA mieszczą w sobie kronikę podróży podjętej przez życie na Ziemi – 4 miliardy prób i błędów, w których wyniku istniejesz” (przeł. Adam Tuz).

Prawdę mówiąc, nie mamy jakiegoś wielkiego planu, za pomocą którego ułożymy mu życie i do życia przygotujemy. Miłość, szacunek, rozmowa, spokój domu i snu oraz zrozumienie, że człowiek z natury jest omylny i popada w kłopoty. „Nie sądzę, by ludzie chcieli stać się gorsi; w rzeczywistości pragną być lepsi, ale często nie wiedzą, jak” – brzmi lekcja Baldwina. Wolimy jego naukę i zawartą w niej świadomość wrodzonej niedoskonałości każdego z nas od wzniosłych postulatów moralizatorów, kaznodziejstwa kołczów, tresury udającej wychowywanie.

Gustaw tymczasem odnotowuje uśmiechem naszą obecność, poprawia kask i znowu rusza przed siebie.

© ŁUKASZ NAJDER

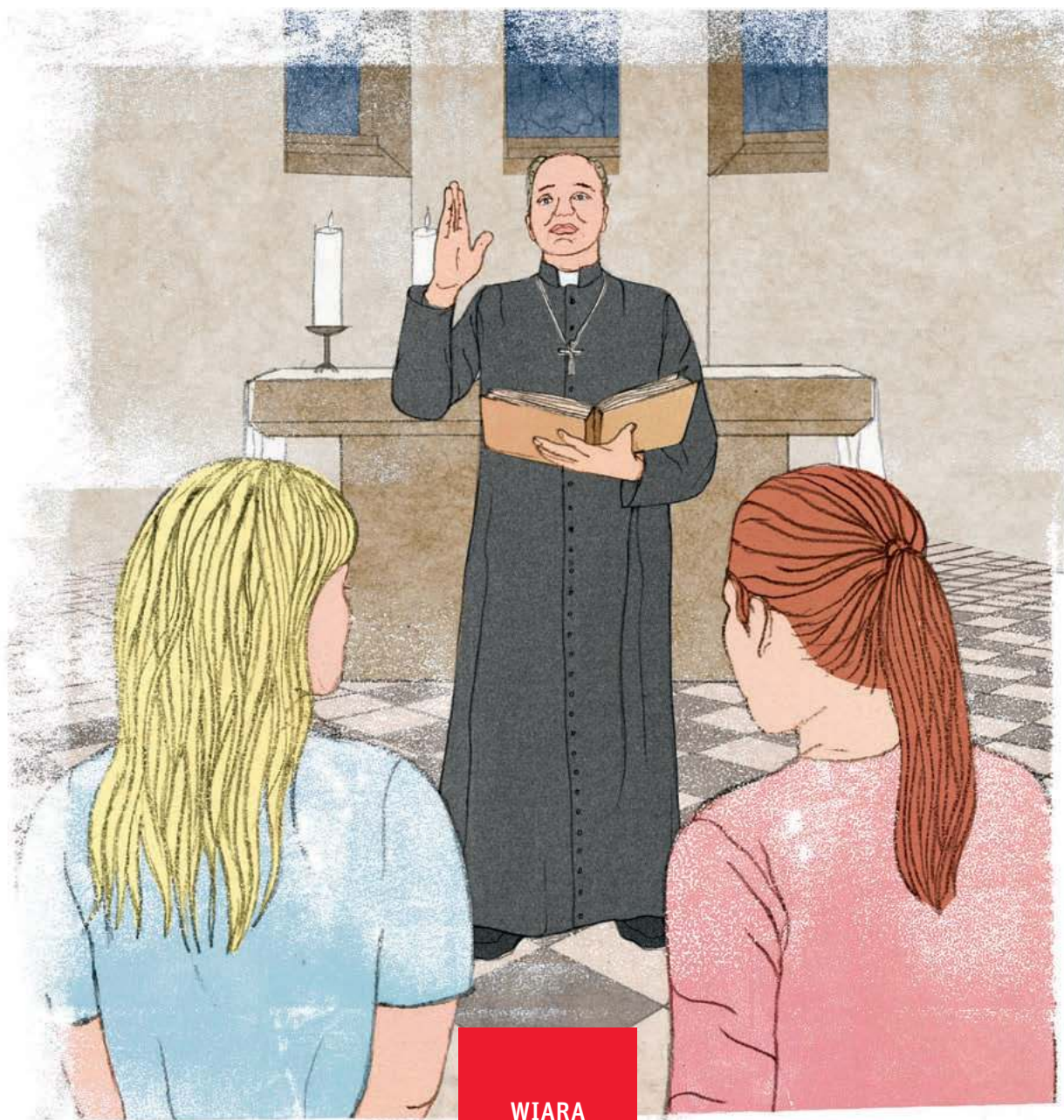
Autor jest redaktorem i pisarzem. Ostatnio wydał książkę „Moja osoba. Eseje i przygody”.



Do każdej prenumeraty  
– autorski, wyjątkowy notes kulinarny  
**w prezencie!**

Sprawdź szczegóły na III stronie okładki.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY  
FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN  
DLA „JP”



WIARA

# NIE MUSIMY TEGO ROBIĆ

Czy Kościół gdański zrobił wszystko,  
by stanąć po stronie ofiar seksualnego wykorzystania?

TEKST **STANISŁAW ZASADA** | ILUSTRACJE **MAGDA WOLNA DLA „TP”**

*Kinga: – Na parafialnym wyjeździe potrafił się wsunąć do mojego śpiwora.*  
*Marta: – Siadał obok mnie i podniecał się. Dążył do seksu.*  
*Ksiądz Adrian G. z archidiecezji gdańskiej Kingę wykorzystywał przez cztery lata. Martę rok. Kinga i Marta złożyły skargę do gdańskiej kurii, zeznawały przed kościelnym trybunałem. Ksiądz Adrian nadal odprowadza msze w jednym z gdyńskich kościołów.*  
*– I może molestować kolejne dziewczyny – mówi kobiety.*

**I** Uśmiechnięta, głos radosny. Gdy rozmawiamy, co rusz wilgotnieją jej oczy. Czuję, że Kinga nie wszystko mi mówi.

Marta załzawiona, głos smutny. – Gdyby pan wiedział, jaka to trauma. Do dziś się z tego leczę.

Obie po trzydziestce.

**KOLACJA** | Rok 2000, styczeń. Miasto na Kaszubach. Czterdziestoletni ksiądz Adrian G. chodzi po kolędzie. Jedna z rodzin zaprasza go na kolację. Wikary cały wieczór nie odrywa oczu od najstarszej córki gospodarzy: Kinga chodzi do pierwszej klasy gimnazjum, do czternastych urodzin brakuje jej pół roku. „Dziękuję za uśmiech” – żegna się po kolacji z nastolatką.

W domu nie dzieje się dobrze – ojciec jest alkoholikiem.

– Baliśmy się go – wspomina dorosła Kinga. – Nie bił, ale wyzywał mamę i nas, rzucał talerzami, popychał, groził.

Potrafi też powiedzieć o ojcu coś dobrego: – Był uzdolniony muzycznie.

Księża z parafii dobrze znają rodzinę Kingi. Najczęściej odwiedza ich wikary. Wie o rodzinnym dramacie: doradza matce (namówi ją na rozwód, pomoże wystarać się o kościelne stwierdzenie nieważności małżeństwa), troszczy się o dzieci (Kinga ma młodsze rodzeństwo).

– Miał coś takiego w twarzy, że mu się ufało – nawet po latach przyznaje kobieta. – Sprawiał wrażenie, że to dobry człowiek. Starał się zastępować nam ojca.

I buntował przeciwko ojcu rodzenemu. – Radził, żebyśmy traktowali tatę jak powietrze. Jego to jeszcze bardziej złościło i jeszcze więcej pił.

Najwięcej czasu ks. Adrian spędza z Kingą: pomaga jej w matematyce (– Byłam kiepska, wołałam biologię.), dużo rozmawia, kupuje markowe buty, kurtki (– Byliśmy biedną rodziną). Angażuje do grupy modlitewnej, scholi. Dzwoni codziennie, czasem po kilka razy. Pyta, co robi, gdzie była, albo czemu nie odebrała telefonu.

– Jak nie będziesz mnie słuchać, zostaniesz alkoholizką, jak ojciec – krzyczy, gdy zrobi coś nie po jego myśli. Nerwus: gdy dziewczyna nie daje rady rozwiązać równania, rzuca w nią długopisem.

W parafii jest gwiazdą: wierni lubią jego kazania. – Stał się przewodnikiem duchowym dla wielu ludzi – mówi Kinga. Dziś widzi to inaczej: – Był po prostu świetnym manipulátorem.

Gdy zbiera tacę, lubi ją pogłaskać, przytulić. Jedni plotkują, inni widzą w tym znak kapłańskiej czułości. Zabiera na kawę do zaprzyjaźnionych domów. Gospodarzom tłumaczy, że to przyszła zakonnica: wmawia jej, że powinna iść do karmelitanek (sam jeździ do jednego z klasztorów). – Albo zostaniesz świętą, albo alkoholizką – szantażuje.

Nie tylko kazania jej prawi. – Gdy byliśmy sami, obejmował mnie, całował – opowiada Kinga.

Pierwszy raz onanizował się przy niej, gdy nikogo nie było w domu. Zaczynała tego dnia później lekcje (znał rozkład jej zajęć). – Podniósł sutannę, dotykał mnie przy tym w intymne miejsca – wydusza z siebie.

Ksiądz robi to wiele razy: na plebanii, w domu, w lesie. Gdy pojedą grupą w góry, w nocy wsunie się do jej śpiwora.

– Jeśli nie chcesz, nie musimy tego robić – miał mówić po wszystkim.

– Plakałam, ale on chyba nie chciał tego widzieć – opowiada Kinga. – Bo przy następnej okazji robił ze mną to samo.

Po trzech latach biskup przenosi ks. Adriana do innego miasta. Teraz tam zaprasza Kingę. Funduje bilety na przejazdy, kupuje rzeczy w dobrych sklepach. I wykorzystuje na plebanii.

– Bałam się powiedzieć rodzicom – mówi mi. – Mama ufała księdzu, a do tego ojciec podejrzewał, że ma z nim romans. To by tylko pogorszyło sytuację.

Przed maturą Kinga zakochuje się w koleżce z klasy (– Moja pierwsza miłość). Nie mówi o tym, co jej robi ksiądz. Ale zdobywa się na odwagę: zrywa znajomość z duchownym.

– Jak ksiądz Adrian dowiedział się, że mam chłopaka, wściekł się – opowiada.

Po kilku latach znowu się odezwał. Prosił, żeby mu wybaczyła. Pytał, czy nikomu nie powiedziała. Gdy zapewniła, że nie, wysłał zaproszenie do znajomych na Facebooku – nie przyjęła go.

**PIELGRZYMKA** | Lato 2003 r. To samo miasto. Marta zdała maturę, nie dostała się na studia, nie bardzo wie, co ze sobą zrobić. Ale to nie jedyny problem dziewczętnastolatki. Ojciec jest seksoholikiem. Nawet z niej nieprzystojnie żartuje. „Robi się z ciebie kobieta” – potrafi powiedzieć o córce przy obcych mężczyznach.

Z rodzinnego domu Marta pamięta: brak miłości, kłótnie i że nie lubiła świąt. – Byłam zahukana, wstydziałam się.

Przed maturą przeżywa nawrócenie (– Wcześniej nie narzucałam się Bogu). Helena – głęboko wierząca, dużo starsza od niej znajoma – mówi, że zna fajnego księdza. Żałuje, że biskup przeniósł go do innej miejscowości. Ale to przecież niedaleko.

– Tak poznałam księdza Adriana – mówi Marta.

Dobrze się składa, bo ksiądz jedzie z pielgrzymką do Medjugorja (Matka Boża miała się tam ukazać chorwackim dzieciom). Marcie wyjazd za granicę, do świętego miejsca, imponuje (– Nigdy nie jeździliśmy z rodzicami na wakacje).

Przyjeżdża i przeżywa pierwsze zaskoczenie. Myślała, że będzie więcej osób, a są tylko cztery: oprócz księdza starszy od niej o kilka lat Paweł, Kinga i ona czwarta. Jadą samochodem, po drodze zatrzymują się w Czechach, na Węgrzech, w Słowenii. W hotelach dziewczyny zajmują jeden pokój, ksiądz z Pawłem drugi.

– Przez cały pobyt był na mnie zły – Marta opowiada o księdzu. – Zachowywał się szorstko, odzywał po chamsku.

Dziś domyśla się, dlaczego. – Przez moją obecność nie miał dostępu do Kingi. Byłam przeszkodą.

Nie zawsze udaje jej się uchronić młodszą koleżankę. Przez uchylone drzwi widzi, że ksiądz leży na materacu obok Kingi i przytula się do niej. – Kinga leżała sztywno, jakby ducha zobaczyła – zapałnięta Marta.

Ale zaraz się reflektuje, że może coś jej się przywidziało. „Przecież ksiądz nie może zrobić młodej dziewczynie krzywdy” – tłumaczy sobie. No i Helena nie poleciłaby jej złego człowieka. ➔

→ (Gdy kobieta dowie się o wszystkim, przeprosi Martę).

Kilka tygodni później ks. Adrian dzwoni: ma zdjęcia z pielgrzymki. Umawiają się w Gdańsku, na Górze Gradowej. Nie jest już niemiły: głaszcze ją po ręce, dotyka wewnętrznej części dłoni. Na ławce jest tak blisko, że dziewczyna słyszy jego oddech.

– Na plebanii siadał blisko mnie, obejmował, całował, podniecał się przy mnie. Na Gadu-Gadu wypisywał takie rzeczy, że czułam, że się w tym czasie masturbuje. Żądał seksu.

Ksiądz zna rodzinną sytuację Marty. Wmawia, że jest opętana, wiezie do egzorcysty. – Ja tu żadnego opętania nie widzę – mówi kapłan, który modlitwami próbował wypędzić z niej złego ducha.

Po roku Marta dostaje się na studia, zrywa kontakt. – Wydzwaniał, ale ignorowałam go.

**II** – Czy my szukamy prawdy? Czy szukamy woli Bożej? – zawieszła głos. – Czy może szukamy zaspokojenia własnych pragnień? – pyta znów po chwili wiernych.

W ornacie wygląda jeszcze bardziej korpulentnie, z dużą łysiną. Sztukę retoryki opanował nieźle, trochę teatralny, zawsze przygotowany. Kazań ks. Adriana można posłuchać na YouTube – do niedawna chętnie je tam zamieszczał.

**WIKARY** | Osiemnastego maja 1991 r. diakon Adrian G. leży krzyżem na kamiennej posadzce bazyliki Mariackiej w Gdańsku. Za chwilę bp Tadeusz Gocłowski wyświęci go na księdza. Kandydat ślubuje, że będzie „poświęcać się Bogu za zbawienie ludzi” i „uświęcać lud chrześcijański”. Jednym z seminaryjnych kolegów jest Zbigniew Zieliński, dziś biskup pomocniczy w Gdańsku. Znajomi mówią, że otacza się drogimi rzeczami. Miłośnik nart i gór – lubi fotografować się na ich tle.

Parafia w gdańskim śródmieściu: ks. Adrian trafia tutaj po święceniach. Do wiedziałem się, że do proboszcza miała przyjść wtedy młoda kobieta ze skargą na natarczywość wikarego. Miała też zawiadomić kurię. Wysłałem maila do emerytowanego dziś proboszcza z pytaniem o tamten incydent. Nie odpowiedział.

Tymczasem ks. Adrian zmienia kolejne parafie: Rumia, Pszczółki, znowu Gdańsk, Gdynia. Wszędzie jest krótko.



**KINGA:**

Myślałam, że jestem jedyna,  
że to tylko taki incydent.  
A potem się okazało, że przede  
mną i po mnie były  
inne dziewczyny.

Tylko wikariusz, choć rocznikowi koledzy z seminarium od dawna są proboszczami albo porobili inne kariery. Raz słyszę, że to kara za jego „skłonności” (podobno po jednym z ekscesów miał na niego „nakrzyczeć” abp Gocłowski). Innym razem: że nie poradziłby sobie z prowadzeniem parafii.

Półtora roku temu abp Sławoj Leszek Głódź przenosi go do kolejnej gdyńskiej parafii. To tam wygłaszał kazania, które zamieszczał na YouTube. Dzwonię do proboszcza, u którego ks. Adrian pracował, gdy molestował Kingę, a potem został stamtąd przeniesiony. Proboszcz mówi, że nie będzie rozmawiał.

Seksuolożka, z której pomocy kobiety korzystają, tak ocenia jego zachowanie wobec Kingi i Marty: – Manipuluje swoją ofiarą, wkłada się w łaski rodziny, wybiera osoby z biednych rodzin, daje prezenty, jest „oparciem” w sytuacji, gdy ojciec nie spełnia swojego zadania, przekonuje o tym, że naprawdę kocha... i krzywdzi!

Zapytałem ks. Adriana w mailu, czy chciałby się odnieść do zarzutów o molestowanie. „Na czas toczącej się sprawy w Trybunale jestem zobowiązany do zachowania milczenia” – odpisał.

**III** Kinga zdaje maturę, kończy studia, wychodzi za mąż, rodzi dzieci. O tym, co robił jej ks. Adrian, pierwszy dowie się mąż. – Chciał wytrzasnąć go po pysku – opowiada. – Potem upublicznić na Facebooku, żeby przestrzec inne osoby. Musieliśmy nauczyć się z tym żyć.

Po śmierci mamy (zmarła kilka lat temu) powiedziała siostrze. – Przypomniała sobie, że kiedyś zdradził tajemnicę jej spowiedzi. Gdy szła do pierwszej komunii, wyznała w konfesjonale, że bardzo przeżywa to, co dzieje się w domu, a on o wszystkim powiedział mamie.

Marta też skończyła studia, założyła rodzinę, ma dzieci. Maluje obrazy. Za to, że ksiądz wykorzystywał ją seksualnie, długo obwiniała siebie. Miała wyrzuty, że świętokradczo przyjmuje komunię. W końcu poszła na terapię. Leczy się.

**MIŁOSIERDZIE** | „Witam, poznaliśmy się kiedyś (na moje nieszczęście)...” – w Wielką Środę wieczorem Marta wysłała maila do ks. Adriana.

Pisze: „Czy pamięta ksiądz, co się działo? To wszystko odcisnęło na mnie piętno. Nadużyłeś swojej kapłańskiej władzy. Nie potrafiłeś utrzymać rąk przy sobie. Byłam bardzo zraniona w rodzinie, zahukana, zakompleksiona. Wiesz, jaką cenę za to zapłaciłam? Oskarżenia, skrupulantwa, wątplenia w Miłosierdzie Boże, wstrętu do siebie, depresji, ciężkich chorób fizycznych. Całe lata nosiłam w sobie wstyd, milczałam, oskarżając siebie. »Nawiedzały« mnie myśli, że to moja wina, że Bóg mnie ukarze, że przyjmuję świętokradzką Komunię”.

W Wielki Czwartek wysłała znów maila: „Ja nie jestem już tą dziewczyneczką. Naprawdę jestem kimś zupełnie innym. To się musi zakończyć. Nie zamierzam urządzić nagonki, ale oczekuję jakiejś reakcji”.

Ksiądz odpisuje dziesięć dni później, w święto Miłosierdzia Bożego: „Jestem cały czas wstrząśnięty po tym, co mi napisałaś i kompletnie nie wiem, co Ci odpisać, a nie chcę, żebyś poczuła się zlekceważona. Ogromnie mi przykro z powodu Twoich problemów zdrowotnych. Zarzuty jakie mi postawiłaś są bardzo poważne, tylko, że ja pamiętam to zupełnie inaczej. Przecież my ani razu nie spotkałimy się nawet w sytuacji »we dwoje« – nigdy”.

„Ksiądz naprawdę wierzy w to, co napisał? Nie byliśmy sam na sam? To może mi się coś poprzestawiało...” – odpowiada Marta.

„Myślałam, że usłyszę przepraszam... ale jak się pomyliłam” – kończy maila.

Ks. Adrian już nie odpowiedział.

**TRIDUUM** | – To ja namówiłam Martę, żeby coś z tym zrobiła – przyznaje Hanna, poznały się na uczelni.

Marta poprosiła Hannę, żeby towarzyszyła jej w rozmowie ze znanym w Trójmieście duchownym – proboszczem ks. Adriana. Liczyła, że to on powiadomi kurię. Kazał jej przyjść w Wielką Środę. Zapamiętała, że splótł ramiona i słuchał. W końcu miał powiedzieć, że ks. Adrian „ma z tym problem, ale chodzi na terapię i dzieci nie krzywdzi”. Poradził, żeby napisała do niego list; to powinno jej ulżyć. Życzył „radosnego przeżycia Triduum Paschalnego”.

Wieczorem Marta wysłała pierwszego maila, nazajutrz drugiego. Gdy nie dostaje przeprosin, dzwoni do Inicjatywy „Zranieni w Kościele” – to grupa świeckich katolików, pomagają osobom dotkniętym przemocą seksualną. Radzą jej złożyć skargę do kurii.

Pod koniec maja wysłała list polecony z zawiadomieniem, że w 2003 r. była wiele razy wykorzystywana seksualnie przez ks. Adriana. Cztery miesiące później zostaje przesłuchana przed Trybunałem Metropolitalnym.

**TELEFON** | Kobiety głos w słuchawce przypomina jej wspólny wyjazd do Medjugorja sprzed kilkunastu lat.

– Wtedy się poznałyśmy – mówi tamta.

– Pamiętam – Kinga potwierdza.

Marta opowiada, że złożyła w kurii skargę na ks. Adriana.

– Ty masz chyba ten sam problem – mówi dalej. Po drugiej stronie płacz.

– Skąd wiesz? – Kinga pyta po chwili.

Marta przypomina jej zdarzenie z pielgrzymki, gdy ksiądz obejmował Kingę na materacu, a ona leżała przerażona, jakby zobaczyła ducha.

Kinga zawiadamia kurie, w październiku składa zeznanie przed kościelnym sądem.

**PRZESŁUCHANIE** | „Złoży pani przysięgę na Biblię? – słyszy Marta, gdy pod koniec września stawia się w Trybunale Metropolitalnym w Gdańsku. – Wtedy zezna-



MARTA:

O wielu intymnych rzeczach nie powiedziałam, bo jak księżom opowiadać o tym, że krzywdził mnie inny ksiądz?

nia będą bardziej wiarygodne”. Mówi, że poczuła się jak oszustka. Ale kładzie rękę na Biblii, czyta z kartki tekst przysięgi. Przesłuchuje ją dwóch kapłanów. Biegła psycholog, która im towarzyszy, wydaje się znudzona. Gdy odczytują protokół, nie poznaje swoich słów. Pięć razy musi prosić o poprawki.

– O wielu intymnych rzeczach nie powiedziałam, bo jak księżom opowiadać o tym, że krzywdził mnie inny ksiądz? To krępujące – mówi mi miesiąc później.

Kinga ma podobne odczucia: – Naprawdę ciwko mnie dwóch księży. Jeden zadawał pytania, drugi notował. Żle się z tym czułam, najgorszych rzeczy nie powiedziałam.

Pod koniec roku prokuratura zawiadomiła ją, że zostało wszczęte śledztwo „o doprowadzenie małoletniej poniżej 15 lat” do „poddania się innej czynności seksualnej”. 30 marca sama ma być przesłuchana.

## IV

Kinga: – Myślałam, że jestem jedyna, że to tylko taki incydent. A potem się okazało, że przede mną i po mnie były inne dziewczyny. Słysza-

łam o Oli, która po znajomości z księdzem Adrianem wylądowała w szpitalu.

– Po latach dopiero widzę, jak bardzo mnie od siebie uzależnił, kontrolował na każdym kroku, jak mną manipulował i jak mnie wykorzystywał. Mimo że byłam krzywdzona, nadstawiałam drugi policzek z nadzieją, że ktoś to przerwie, że to się skończy. Wtedy nie pozostawało mi nic innego, niż modlić się o koniec, bo któż mógłby mi pomóc, jak nie Bóg, skoro nikt nic nie wiedział?

Marta: – Kiedy się do mnie przysuwał na kanapie i całował, siedziałam jak zamurowana, nie byłam w stanie się ruszyć. To z szoku. Dziś złapałabym go za szmaty.

Mówi, że teraz wydaje jej się to irracjonalne, że wtedy do niego jeździła. Ale ludziła się, że jej pomoże, nawet gdy widziała, co robi w jej obecności.

– Wypierałam to i obwiniałam siebie. Miałam wyrzuty sumienia, że przyjmuję komunię, bo uważałam się za niegodną.

**LIST** | Pod koniec listopada obie napisały skargę do abp. Tadeusza Wojdy (w zeszłym roku zastąpił Głódzia). Poskarżyły się na przesłuchanie przed kościelnym trybunałem (że źle się czuły) i na ogólnikowy protokół. Napisały też, że dziwi je, iż ks. Adrian wciąż posługuje w parafii i ma kontakt z wiernymi.

List do rezydencji arcybiskupa Marta zawiozła osobiście, na kopercie było: „do rąk własnych”.

– Chciałam mieć pewność, że list dotrze do adresata – tłumaczy.

Gdy mówiła świeckiej recepcjonistce (kobieta w średnim wieku), że jest osobą, która była przesłuchiwana w sprawie wykorzystania seksualnego przez duchownego, tamta zmierzyła ją zimnym spojrzeniem.

Na list Kingi i Marty arcybiskup Wojda do tej pory nie odpowiedział.

**MINISTRANTKI** | Niedziela, godzina trzynasta. W jednym z gdyńskich kościołów zaczyna się kolejna msza. Przy ołtarzu dziewczyny w albach.

To Asysta Liturgiczna Dziewcząt. Do grupy przyjmowane są dziewczynki od dziesiątego roku życia. Przeważają te kilkunastoletnie. W każdą niedzielę o trzynastej pomagają w liturgii: czytają Pismo Święte, śpiewają psalm, podają kapłanowi wino i wodę. Przez wiele miesięcy „trzynastkę” celebrował ks. Adrian. ➔

→ Od listopada odprawia msze o ósmej rano. Odprawianie „trzynastek” przejął drugi wikariusz.

Pytam proboszcza, dlaczego zmienił się celebrians.

– Nie chciałbym ujawniać powodów – odpowiada.

Dowiedziałem się, że powód mógł być taki: ks. Adrian miał przesadnie adorować siedemnastoletnią ministrantkę. Proboszcz zaprzecza. – Na pewno w mojej parafii nic złego się nie stało, a zmiana nastąpiła z innych powodów – uspokaja.

W tym samym czasie ks. Adrian prze staje być również wikariuszem. Jego obecna funkcja to „pomoc duszpasterska”. Przestał być opiekunem grup duszpasterskich, odprawia jedynie msze.

**PYTANIA** | Dlaczego ks. Adrian G. nie został odsunięty od posługi na czas wyjaśnienia sprawy? Czy nie naraża to kolejnych osób na molestowanie? Czy częste przenoszenie z parafii do parafii było powodowane chęcią ukrycia skandali związanych z jego zachowaniami? O tym chcę porozmawiać w gdańskiej kurii. Ła two nie jest.

Rzecznik ks. Maciej Kwiecień nie chce dać numeru telefonu: okazało się, że zadzwoniłem na prywatny, odsyła do służbowego, ale sam nie poda („nie pamiętam, bo do siebie nie dzwonię”), odsyła na stronę kurii. Oddzwaniam na służbowy numer. Każe napisać pytania w mailu.

## Rzecznik kurii każe wysłać pytania mailem.

Potwierdza, że maila dostał i że „odpowiedź zostanie udzielona najszybciej, jak to będzie możliwe”.

Czekam kilka dni. Dopytuję w esemesie. Potwierdza, że maila z pytaniami dostał i że „odpowiedź zostanie udzielona najszybciej, jak to będzie możliwe”. Kolejnego dnia odpisuje, że „procesy kapłanów oskarżanych o pedofilię” to „grupa postępstw zarezerwowana” dla watykańskiej Kongregacji Nauki Wiary – szczegółowych informacji zatem nie dostanę. Tłumaczy, że to z troski o „ochronę dobrej reputacji, wizerunku i prywatności (...) oskarżanych, skarżących oraz świadków”. Doda (choć sam to już sprawdziłem), że ks. Adrian pełni jedynie „posługę sakramentalną” i „nie prowadzi żadnych grup duszpasterskich ani nie uczestniczy w spotkaniach tychże grup”. Oraz że „to ograniczenie zostało uznane za wystarczające na obecnym etapie postępowania”.

Nie dowiem się, czy ks. Adrian może również spowiadać (z rozmów ze świec kimi udało mi się wcześniej ustalić, że wykorzystywał konfesjonał do manipulowania młodych kobiet).

– Ksiądz Adrian powinien być zawieszony przez biskupa w czynnościach duszpasterskich, żeby nie miał możliwości kontaktu z wiernymi – komentuje Zbigniew Nosowski, redaktor naczelny „Więzi”, zaangażowany w wyjaśnianie seksualnych nadużyć duchownych. – Tym bardziej że stawiane mu zarzuty są ciężkie i istnieje duże prawdopodobieństwo, że popełnił zarzucane mu czyny.

Zamiast odpowiedzi o powody częstych przenosin kapłana rzecznik poradził mi w swoim stylu: jeśli wiem, że przełożeni księdza Adriana wiedzieli o molestowaniu przez niego innych osób, mam sam powiadomić prokuraturę.

**BÓG** | Marta: – Moja wiara nie ucierpiała przez to, co mnie spotkało. Ale mam złość do księży. Wiem, że nie wszyscy są tacy sami, ale patrzę na nich bardzo krytycznie.

Kinga przestała chodzić do kościoła. Jest może ze dwa, trzy razy w roku: na mszy za mamę, pogrzebie, gdy umrze ktoś bliski albo znajomy.

Gdy widzi mężczyznę w sutannie, robi jej się niedobrze. We Wszystkich Świętych idzie na groby, gdy jest przed procesją albo już po – żeby tylko nie zobaczyć księdza. O wierze myśli często. Na przykład zastanawia się, jak ją Bóg rozliczy. Ma nadzieję, że istnieje.

© STANISŁAW ZASADA

Imiona niektórych osób i okoliczności zdarzeń zostały zmienione.

## Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

REZERWUJ CZAS!

- **GLIWICE**, czwartek 24 lutego  
Dyskusja w Kawiarence Gliwickiej wokół rozmowy z Dominiką Kozłowską („TP” 5/2022), „Wykluczeni z Kościoła” / stacjonarne /
- **KRAKÓW**, piątek-niedziela 25-27 lutego  
Spotkanie młodych z Darią Gosek-Popiołek, Łukaszem Lamżą, Karolem Tarnowskim i Piotrem Mucharskim, „Wspólnota indywidualności” / stacjonarne /

- **OGÓLNOKLUBOWE**, wtorek 1 marca  
Wspólna rozmowa na dany temat wszystkich zainteresowanych członków Klubów, cykl „Przestrzeń spotkania”, „Klerykalizm: symptomy, recepty na wyzdrowienie” (kontynuacja) / online /
- **OGÓLNOKLUBOWE**, środa 2 marca  
Spotkanie z Markiem Kęskrawcem, cykl „Pisz w Tygodniku” / online /



SPAZIANI / MONDADORI / GETTY IMAGES

Papież Franciszek udziela chrztu w Kaplicy Sykstyńskiej. Watykan, styczeń 2022 r.

# Bóg, legalizm, czary-mary

PIOTR SIKORA

**Uznanie za nieważny chrztu udzielonego przy użyciu nieco zmienionej formuły nie jest decyzją administracyjną. Dotyka fundamentów chrześcijaństwa.**

W OSTATNIM CZASIE KILKAKROTNIENIE pojawiły się informacje, że w niektórych krajach, głównie w USA, niektórzy księża zmieniali nieco formułę chrztu – najczęściej na „my ciebie chrzczymy” (zamiast „ja ciebie chrzczę”). W 2020 r. Kongregacja Nauki Wiary w odpowiedzi na wątpliwości biskupów wydała dokument stwierdzający, że takie chrzty są nieważne, więc należy je powtórzyć.

Biskupi (np. biskup diecezji Phoenix, gdzie ostatnio taka sytuacja miała miejsce) wydają odezwy, by ludzie „nieważnie” ochrzczeni zgłaszali się ponownie do przyjęcia sakramentu, i tłumaczą, że z punktu widzenia prawa kanonicznego sytuacja jest jeszcze bardziej skomplikowana: jeśli ktoś jest ochrzczone „nieważnie”, nie może przyjąć innych sakramentów – a więc „nieważnie” przystępuje do spowiedzi, komunii, bierzmo-

ważnie” spowiada, „nieważnie” odprawia mszę (chrzci jednak „ważnie”, gdyż chrzcić może i osoba nieochrzczone, byleby miała intencję robienia tego, co robi Kościół, gdy chrzci i... stosował odpowiednią formułę).

## (Nie)ważny Bóg

Umieściłem wyżej termin „nieważnie” w cudzysłowie, aby zaznaczyć, że zastosowanie kategorii nieważności do kwestii tego, co dzieje się podczas rytuału chrztu, rodzi sporo wątpliwości. Owszem, Kodeks Prawa Kanonicznego stosuje ją do wszystkich sakramentów – określając warunki, pod którymi są one „ważnie” udzielane. Ale sytuacja, która ostatnio wydarzyła się w diecezji Phoenix (a kilka lat temu w Detroit), pokazuje problematyczność tego prawniczego ujęcia. Gubi bowiem istotę tego, czym są sakramenty.

Katechizm Kościoła Katolickiego (p. 1084) stwierdza: „Sakramenty są działanymi znakami (słowa i czynności), zrozumiałymi dla człowieka. Urzeczywistniają one skutecznie łaskę, którą oznaczają, za pośrednictwem działa-

nia Chrystusa i przez moc Ducha Świętego”. W tym określeniu istotne są trzy elementy: (1) działanie Boga; (2) skutek tego działania w życiu człowieka (łaska); (3) sposób, w jaki dokonuje się ów dwustronny, bosko-ludzki proces – za pośrednictwem znaków zrozumiałych dla człowieka.

Co równie ważne – i jasno widoczne w Katechizmie – pojedyncze znaki sakramentalne wplecione są w liturgię, czyli rytualne działanie całej wspólnoty, którego źródłem i inspiracją jest aktywność Boga.

Co w takiej perspektywie mogłoby znaczyć, że jakiś sakrament jest udzielony „nieważnie”? Są tu dwie możliwości: albo (A) w danej rytualnej/liturgicznej czynności nie było Boskiego działania, albo (B) pomimo tego, że Bóg działał, ludzie uczestniczący w rytuale nie doświadczali tego działania i jego skutków.

Tu właśnie ujawnia się rola liturgicznego rytuału, tj. działania za pomocą symboli i znaków. Są religijne tradycje, które uważają, iż istnieje szczególnie związek pomiędzy boską rzeczywistością a określonymi słowami i symbolicznymi czynnościami – związek tego rodzaju, że wypowiadając dane (ściśle określone) słowa w pewnym (ściśle określonym) rytualnym kontekście, zmusza się Boską rzeczywistość do określonego typu działania. W tej perspektywie da się łatwo wyjaśnić, co znaczy, że chrzest z powodu zmiany formuły jest nieważny – wypowiedziane zostały słowa, które nie mają mocy powodowania Boskiego działania, a zatem Bóg nie zadziałał.

## Boskie działanie

Taka – magiczna w swej istocie – wizja związku pomiędzy religijnymi działaniami człowieka a Bogiem nigdy jednak nie była przyjęta w katolickim chrześcijaństwie. Bóg pojmowany jest tu bowiem jako suwerenny wobec wszelkich czynów człowieka – żadne słowa czy rytuały nie mogą zmusić Go do działania. Co więcej – większość chrześcijan przez wieki uważała, że autentyczne religijne ludzkie czyny są inspirowane przez Boga – to On ma inicjatywę, człowiek co najwyżej odpowiada.

Głębszy namysł teologiczny prowadzi zaś do jeszcze dalej idącego odkrycia: Bóg nie jest podobny do człowieka w tym względzie, by raz działał, a raz nie. Nie jest

→ bowiem bytem czasowym i zmiennym. Wszelkie obrazy, które Go tak przedstawiają, są tylko niedoskonałymi metaforami. Lepiej (choć to też nieadekwatne przybliżenie) ująć to tak: Bóg działa zawsze oraz wszędzie i jest cały w swoim działaniu. Zmieniać się może tylko nasza ludzka percepcja tego działania i odpowiedź na nie.

W tej perspektywie rolę symbolu i rytuału – więc także liturgicznych, sakramentalnych rytów i słów – nie jest powodowanie działania Boskiej rzeczywistości – ono dzieje się stale. Rola sakramentalnego rytu jest otwieranie świadomości jego uczestników. Dlatego używa się w nim symbolicznych znaków, które – dzięki swojemu znaczeniu – pozwalają uczestniczącym w celebracji ludziom wyraźniej dostrzec aktywną obecność Boga w ich życiu i na nią odpowiedzieć.

„Nieważność” danego rytu, na przykład chrztu, może w tej perspektywie polegać jedynie na tym, że swego „otwierającego” zadania nie spełnia – i to nie ze względu na brak zaangażowania jego uczestniczek i uczestników, lecz z powodu zmiany znaczenia użytych w nim znaków. Zmiana ta musi więc być na tyle istotna, że symboliczny przekaz staje się fałszywy lub niezrozumiały.

### (Nie)wyraźność znaków

Argumentacja Kongregacji Nauki Wiary sugeruje, że z takim przypadkiem mamy teraz do czynienia. Zmiana formuły chrzcielnej na „my ciebie chrzczymy...” niweczy, zdaniem Kongregacji, „identyfikowalność działania Chrystusa” w chrzcielnej celebracji. „Ja” użyte w prawidłowej formule jest bowiem, podkreślają watykańscy teologowie, zaimkiem odnoszącym się do Chrystusa.

Uzasadnienie to ma jednak kilka poważnych słabości. Po pierwsze – co sama Kongregacja przyznaje – Chrystus jest obecny w całej wspólnotie. „My” zmiennej formuły odnosi się także do Niego. Być może – ze względu na gramatyczną liczbę mnogą zaimka – odniesienie to jest nieco mniej wyraźne niż w przypadku słowa „ja”. Trudno jednak przypuścić, by było całkiem niezrozumiałe i uniemożliwiało uczestnikom dostrzeżenie Bożego działania.

Warto przy tym zauważyć, że inne elementy rozpowszechnionego w katolickich wspólnotach sposobu celebracji chrztu też są mniej wyraźne niż mo-

głyby być. Formule chrzcielnej towarzyszy najczęściej polanie wodą – podczas gdy bardziej odpowiednim symbolicznym działaniem (przyznaje to sam Katechizm Kościoła Katolickiego, p. 1239) jest zanurzenie w wodzie.

Słowo „chrzest” jest bowiem przekładem greckiego terminu *baptisma* – i znaczy „zanurzenie”. Jak istotne jest to dla chrzcielnej teologii Nowego Testamentu, można dostrzec w kluczowym tekście św. Pawła, w którym wyjaśnia sens chrztu. W przyjętym w liturgii polskim tłumaczeniu Biblii Tysiąclecia fragment ten brzmi: „Czyż nie wiadomo wam, że my wszyscy, którzyśmy otrzymali chrzest zanurzający w Chrystusa Jezusa, zostaliśmy zanurzeni w Jego śmierć? Zatem przez chrzest zanurzający nas w śmierć zostaliśmy razem z Nim pogrzebani po to, abyśmy i my wkroczyli w nowe życie – jak Chrystus powstał z martwych dzięki chwale Ojca” (Rz 6, 3-4). Gdybyśmy chcieli zachować sens greki, lepiej byłoby przełożyć tak: „(...) wszyscy, którzy zostaliśmy zanurzeni w Chrystusa, zostaliśmy zanurzeni w Jego śmierć. Zatem przez zanurzenie w śmierć zostaliśmy współpogrzebani, po to, byśmy – jak Chrystus przebudził się z martwych przez blask Ojca – i my mogli poruszać się w nowości życia”.

Bardzo istotna jest tu symbolika zanurzenia. Woda symbolizuje z jednej strony śmierć – człowiek w niej tonie! – z drugiej strony jest wodą płodową, z której uczestnik rytuału wynurza się – jak podczas porodu – do nowego życia. To właśnie się dzieje, gdy Bóg dotyka człowieka – następuje fundamentalna egzystencjalna przemiana.

Kościelna praktyka dopuszcza formę celebracji, w której nie ma zanurzenia, jest tylko polanie głowy wodą. Dopuszcza też formułę: „ja ciebie chrzczę”, którą niewielu rozumie w sensie: „ja ciebie zanurzam”. Kościół zakłada zatem, że tak niewyraźna symbolika nie przeszkadza, by uczestniczki i uczestnicy rytuału otwierali się na Boże działanie. Dlaczego zatem Kongregacja upiera się, że zmiana „ja” na „my” jest tak znaczącą deformacją znaku, że aż stoi na przeszkodzie Bogu? Czy naprawdę watykańscy urzędnicy są przekonani, że w życiu ochrzczonych z użyciem słowa „my” Bóg nie zadziałał i ich nie przemienił? Czy w decyzji Kongregacji nie ujawnia się magiczna wizja rytuału?

©© PIOTR SIKORA



## Marzenie o wolności

MARCIN CHODUŃ

**Chrześcijański Ruch Wyzwolenia od lat walczy na Kubie o pokojowe przejście od dyktatury do demokracji. Czy autorytarną władzę obalą katolicy?**

POŁĄCZENIE NA WHATSAPPIE JEST chwilami bardzo złe – głos mężczyzny w telefonie co rusz zanika. Owszem, dom narodowego koordynatora Chrześcijańskiego Ruchu Wyzwolenia (Movimiento Cristiano Liberación – MCL) na Kubie, Eduarda Cardeta Concepciona, dzieli od Polski tysiące kilometrów, jednak naszą rozmowę komplikują także utrudnienia w dostępie do internetu. Wprowadzone zostały przez jedynego dostawcę usług telekomunikacyjnych na wyspie (ETECSA) po masowych protestach Kubańczyków w lipcu ubiegłego roku.



ARCHIWUM PRYWATNE

33. rocznica założenia Chrześcijańskiego Ruchu Wyzwolenia (MCL).  
Od lewej: Yordan Mariño, Eduardo Cardet, Yaimary Vecino i Marlenis Leyva  
pokazują znak wolności (libertad), 8 września 2021 r.

Powody owych protestów? Limitowany dostęp do szczepionek na COVID-19, braki w dostawach elektryczności oraz rosnący deficyt podstawowych dóbr. Słowem, składowe bieżącej sytuacji epidemiczno-gospodarczej. Ale przecież to niejedyne przyczyny lipcowych niepokojów. U ich źródła leżał także sprzeciw Kubańczyków wobec niesłabnących od lat represji komunistycznej dyktatury w stosunku do niepokornych obywateli wyspy. Obecna ekipa rządowa pod wodzą prezydenta Miguela Díaza-Canela, który rządzi krajem od kwietnia 2018 r., po tym jak Raúl Castro namaścił go na swojego następcę (po zmianie konstytucji w 2019 r. jako prezydent republiki), nadal trzyma naród pod butem.

Nic więc dziwnego, że lipcowe protesty były nie tylko masowe, ale i gwałtowne – coś, czego komunistyczna dyktatura w czasie swoich 62-letnich rządów na wyspie nigdy dotąd nie doświadczyła. W niedzielę 11 lipca na ulice kilkudziesięciu kubańskich miast wyszły dziesiątki tysięcy demonstrantów, krzyczących „Libertad” (Wolność) i „Abajo la dictadura” (Precz z dyktaturą). Kierowany przez Eduarda Cardeta Ruch, od lat jedna z głównych sił opozycyjnych na Kubie, aktywnie uczestniczył w tych wydarzeniach.

### Bez przemocy

11 lipca, czyli w pierwszym dniu niepokojów (objęły one całą wyspę – od San Antonio de los Baños na jej zachodnim wybrzeżu przez Hawanę po Santiago de

Cuba na wschodzie), Eduardo Cardet Concepción opublikował oświadczenie: „Tyśiące Kubańczyków demonstrują dzisiaj pokojowo na ulicach miast, domagając się wolności, zaprzestania represji oraz końca tyranii”. Żądania takie MCL stawia od chwili swojego powstania. Ruch został założony 8 września 1988 r. w jednej z hawańskich parafii, w dzielnicy Cerro, przez Oswalda Joségo Payę Sardiñas oraz czterech innych katolickich aktywistów. – MCL to świecka organizacja, w której są wierzący i niewierzący, nasze zasady opierają się jednak na doktrynie społecznej Kościoła katolickiego i wyzwalającym przesłaniu Ewangelii – tłumaczy Eduardo Cardet. – Opowiadamy się za pokojową i demokratyczną zmianą polityczną na Kubie i poszanowaniem ludzkiej godności. Zawsze byliśmy przeciwni stosowaniu przemocy jako sposobu rozwiązywania wewnętrznych konfliktów. Jesteśmy siłą polityczną, która pokojowo działa na rzecz zmian.

Mimo to członkowie ruchu przez lata doświadczały ze strony kubańskich władz szykan, byli zastraszani i poddawani represjom. Gdy w 1991 r. Payá Sardiñas wystosował petycję w sprawie narodowego referendum dotyczącego reformy konstytucji, ponad 200 osób należących najprawdopodobniej do tzw. Brygady Szybkiego Reagowania zniszczyło jego dom. Gdy pod koniec lat 90. ubiegłego wieku ogłosił z kolei zamiar kandydowania do Zgromadzenia Narodo-

wego, władze aresztowały i przesłuchiwały wielu działaczy MCL.

Eduardo Cardet: – Uważamy, że komunistyczne władze miały też udział w śmierci założyciela MCL, który wraz z innym młodym aktywistą, Haroldem Cepero, zginął w wypadku samochodowym 22 lipca 2012 r. (wypadek zdarzył się w środku dnia na pustej drodze, rodzinie nie udostępniono wyników autopsji). Dlatego popieramy starania mieszkającego w Hiszpanii brata Oswalda, Carlosa Payi, mające na celu wszczęcie międzynarodowego śledztwa w tej sprawie – tłumaczy Cardet.

Po śmierci Payi Sardiñas Chrześcijański Ruch Wyzwolenia zrestrukturyzował swoje kierownictwo – po tych zmianach Cardet został najpierw wybrany do Rady Koordynującej, a w listopadzie 2014 r. mianowany Krajowym Koordynatorem Ruchu.

Urodził się w 1968 r. Jest żonaty, ma dwoje dzieci. Z zawodu lekarz, do MCL dołączył na początku lat 2000. Pracował wówczas jako lekarz rodzinny w mieście Velasco (w prowincji Holguín). Przed objęciem stanowiska był promotorem kilku projektów Ruchu. Kilkakrotnie go aresztowano – po raz ostatni 30 listopada 2016 r., wkrótce po śmierci Fidela Castro. Został wówczas dotkliwie pobity przez agentów. Bicie, opowiada, trwało nadal w areszcie śledczym. W marcu 2017 r. skazano go na trzy lata więzienia. Uzasadnienie wyroku? „Zamach na władzę”. W więzieniu został ugodzony nożem przez kilku więźniów.

Jego uwolnienia domagały się instytucje, politycy i obywatele z wielu stron świata; na Kubie 10 tys. Kubańczyków podpisało się pod petycją sporządzoną przez Chrześcijański Ruch Wyzwolenia. Został zwolniony z więzienia po odbyciu wyroku 30 września 2019 r. Od tej chwili nadal służy jako krajowy koordynator MCL.

### Poszukiwanie wsparcia

Ilu członków liczy Ruch?

– Nie podajemy takich informacji z obawy przed represjami – tłumaczy aktywista. – Zapewniam jednak, że jesteśmy obecni w różnych miejscach na Kubie, w zespołach roboczych wraz z liderami, którzy pojawiają się wszędzie tam, gdzie są zwolennicy, sympatycy i współpracownicy. Staramy się dotrzeć do jak największej liczby ludzi.



→ W trakcie swojej działalności kierownictwo MCL zwracało się wielokrotnie do rządów i parlamentów państw członkowskich Unii Europejskiej oraz ich obywateli o publiczne poparcie postulatów ruchu. – Czyli uwolnienia osób więzionych na Kubie za obronę, promowanie i pokojowe korzystanie z praw człowieka, dialogu między Kubańczykami jako drogi do osiągnięcia zmian i pojednania narodowego oraz zmian w prawie, tak aby prawa obywatelskie, polityczne, ekonomiczne, społeczne i kulturalne wszystkich Kubańczyków były respektowane – mówi Cardet.

Odpowiedź? – Ostatnio Parlament Europejski większością głosów uchwalił rezolucję potępiającą reżim kubański jako opresyjny i łamiący prawa człowieka. Takie wsparcie ma dla nas dużą wartość. Bardzo ważne jest, aby było ono nadal udzielane. Uważam jednocześnie, że tym słowom potępienia powinny towarzyszyć konkretne działania, które izolowałyby reżim kubański na inne sposoby. Od lat podkreślamy, że jakakolwiek współpraca z komunistycznymi władzami na wyspie umacnia ich władzę.

Chrześcijański Ruch Wyzwolenia należy do ODCA, Katolickiej Demokratycznej Organizacji Ameryki oraz do Międzynarodówki Chrześcijańsko-Demokratycznej. Czy otrzymuje z ich strony jakieś wsparcie?

– Tak, ale są to raczej gesty solidarności niż konkretne działania. Niestety w wielu miejscach na świecie nadal żywe są mity na temat tzw. rewolucji kubańskiej, która w rzeczywistości jest opresyjnym reżimem i dyktaturą.

Komunistyczne władze na wyspie chcą przekonać świat, że rządzą w sposób prawowity – dlatego nieustan-

## Zdaniem opozycjonisty głos hierarchów katolickich wobec opresyjnych działań kubańskich władz brzmiał w ostatnich latach słabo.

nie dokonują zmian w swoich szeregach; z tego też powodu w 2019 r. została uchwalona nowa konstytucja. Jest w niej jednak nadal zapis, że socjalizm jest nieodwołalny, a Komunistyczna Partia Kuby to jedyna legalna siła polityczna na wyspie.

W swojej codziennej działalności MCL utrzymuje więzi z instytucjami Kościoła katolickiego na wyspie. – Współpracujemy głównie z proboszczami oraz z ludźmi, którzy pracują w kościelnych instytucjach – mówi Cardet. – W miarę możliwości staramy się brać udział w wydarzeniach organizowanych przez Kościół, pomimo że reżim zawsze próbuje to uniemożliwić.

W jaki sposób?

– Członkowie naszej organizacji są przed takimi wydarzeniami, zwłaszcza w ważne dla opozycji dni w roku, poddawani intensywniejszej niż zwykle inwigilacji; po wyjściu z domu jesteśmy często bez powodu zatrzymywani i aresztowani na wiele godzin lub porzucani daleko od miejsca zamieszkania. Kradnie się nam telefony, komputery i pieniądze. Sam byłem ofiarą takich działań, w tym kilku pobić. Również członkowie naszych rodzin, nawet nasze dzieci, są stale obserwowani i poddawani represjom.

## Dystans

Pomimo współpracy z Kościołem katolickim głos hierarchów wobec opresyjnych działań komunistycznych władz brzmiał w ostatnich latach zdaniem opozycjonisty słabo. – Jako Chrześcijański Ruch Wyzwolenia uważamy, że podstawową rolą Kościoła katolickiego jest utożsamianie się z bólem innych, bez względu na rasę, religię czy realia ekonomiczne. Kościół powinien utożsamiać się z tym, który cierpi, który jest bity i prześladowany. Takie jest przesłanie Ewangelii – mówi Cardet.

Równie krytycznie ocenia reakcję Watykanu na sytuację panującą na Kubie. – Jest to zwykle głos wymijający, zdystansowany i chłodny. W ostatnich latach Watykan nie poparł wyraźnie naszych postulatów ani nie potępił naruszeń praw człowieka w naszym kraju – mimo że papież Franciszek i ludzie w jego otoczeniu doskonale wiedzą, że cierpimy. Kościół musi porzucić polityczne układy i całkowicie utożsamić się z ludzkimi potrzebami, walcząc o dobro człowieka bez względu na to, gdzie się on znajduje.

A Jan Paweł II? – Z wielkim sentymentem wspominamy tę ważną postać. Jego przemówienia podczas wizyty w 1998 r. bardzo nas zmotywowały. Uważam, że narody polski i kubański są sobie bliskie. Wasze poczucie wolności to zaraźliwy duch.

Według niezależnego kubańskiego portalu 14ymedio po lipcowych protestach na Kubie komunistyczne władze aresztowały 5 tys. osób. 20 spośród nich dostało w grudniu ubiegłego roku wyroki więzienia od 12 do 20 lat. Na proces czeka jeszcze co najmniej 600 osób.

© MARCIN CHODUŃ

Zamów pakiet wydań specjalnych  
z autografem ks. Adama Bonieckiego  
na [TygodnikPowszechny.pl/dladoroslych](http://TygodnikPowszechny.pl/dladoroslych)

**Tylko 45 zł\***

\*Cena zawiera koszty przesyłki poleconej na terenie kraju.  
Liczba pakietów ograniczona.



ZUZANNA

# Radzik: Jakby istniała w zły sposób



SPOTKAŁY SIĘ WE MNIE DWA TEKSTY. To nic specjalnego w sumie, że przekroczyły ocean oraz 142 lata, które je dzieli, i jednocześnie zabrały się za mnie. Rozpięły się między Idaho i Warszawą, XIX i XXI wiekiem, i zadają pytania. Z jednej

strony Narcyza Żmichowska, pisząca zadziorne słowo przedwstępne do dzieł dydaktycznych Klementyny z Tańskich Hoffmanowej w 1876 r. Z drugiej Tara Westover, która w 2018 r. opowiada, jak mimo dorastania w fundamentalistycznej mormońskiej rodzinie wykształciła się na najlepszych uniwersytetach. Skrzyżowanie, na którym się spotkały, można by nazwać na cześć edukacji dziewczynek, dziewcząt i kobiet, oraz ich decydowania o sobie.

Bardziej wciąga mnie swoim pisaniem Narcyza, choć Tara napisała bestseller z listy „New York Timesa”. Najbardziej może dlatego, że choć odległe jest to, co pisze, i nie z tej epoki zdecydowanie, to wciąż drepczemy jakoś wokół podobnych zagadnień. Narcyza Żmichowska zauważa, że w rzędzie cnót, które Hoffmanowa proponuje kształcić u dziewcząt, „przeważne miejsce zajmują te, które mężczyźni uszczęśliwić mogą”. Gorzej jednak, że czasy się zmieniają szybko i dziewczyny kształcone według jej zaleceń napotykały na nowe okoliczności: brak mężczyzn, u których boku można stać ze zdobytym właściwym kobietom wykształceniem. „W powszechnym tłumie dorosłej młodzieży żaden nie stwierdza dogmatu pani Hoffmanowej o mężczyźnie, któremu »Wszelchmocny ogół życia powierzył«; wszyscy oni głęboko jednak w niego wierzyli i równej też wiary od kobiet żądali”.

Wyborny jest ten spór i wcale nie traci myszką. Niestety. Bo ile kobiet podpisuje się pod systemowym upupianiem innych kobiet w ramach kobiecego geniuszu czy innych zamkniętych ról? Co ci wolno, czego nie. Jak wypada się ubrać, zachowywać, żyć albo być. Tymczasem Tara Westover zastanawia się prawie 150 lat później, co jej to robiło, gdy ojciec lub brat mówili, że wygląda lub zachowuje się jak dziwka: „Jakbym istniała w zły sposób”. Idźcie do katolickiej księgarni i obejrzyjcie stojącą tam literaturę o kobiecości i małżeństwie. Według niej też da się istnieć w zły sposób, zwłaszcza gdy jest się kobietą i nie chce się „zająć swojego miejsca”. Zresztą w świeckim kontekście, poza religiami, w społeczeństwie i kulturze, też są wciąż miejsca, w które kobiety się wtłacza.

Z odległości 142 lat od czasów Żmichowskiej trudno zrozumieć, czym to dla nich właściwie było – edukować się z braku edukacji, osiągnąć wiedzę o świecie w świecie, gdzie twoja płeć nie ma do niej prawa i potrzeby. Bo gdzie ją wykorzystywać? I jaką cenę obcości się za to płaci? Kiedy stoję bezradna przed zrozumieniem tego, jak to się czuło i jak się tym żyło, pomaga Tara. Przechodzi podobną drogę, tylko sama, bo to ona wprost z rodzinnego gospodarstwa dostaje się do

college’u. Co nie znaczy, że wiele umie. Nie chodziła do podstawówki ani liceum. W podaniu, które pomógł jej napisać brat, skłamała, że edukowano ją w domu wedle rygorystycznego programu. Jej dom jest miejscem wrogim wobec państwa, niewierzącym we współczesną medycynę, przygotowującym broń, zapasy benzyny i jedzenia na nadchodzący koniec świata. To dopiero w college’u odkrywa, że Europa to nie państwo, a jej pytanie o znaczenie słowa „Holokaust” zostaje wzięte za niesmaczny żart, podczas gdy ona naprawdę nie wie. Na zajęcia z biologii zapisuje się, nie mając pojęcia, co to takiego. Ale jest pilna i zdeterminowana, bo jeśli straci stypendium, wróci do ciężkiej, fizycznej pracy, którą wykonywała od dziecka. A tego już nie chce. Zapisując się na kursy, pomija te bardziej praktyczne, np. muzykę, która mogłaby pozwolić jej prowadzić potem kościelny chór. Czytając nazwy zajęć, które wybiera – np. o polityce międzynarodowej – ma wrażenie obcowania z czymś nieskończonym i chce tego zasmakować. Pod koniec semestru świat wydaje się większy, a ona czuje, że nie ma już dla niej powrotu do kuchni.

Gdy zbliżając się do dyplomu Tara pyta kolegę z mormońskiego college’u, co by zrobił, gdyby był kobietą, ale czuł pragnienie dalszych studiów, ten bez wahania odpowiada: „Wiedziałbym, że coś jest ze mną nie tak”. Świat Żmichowskiej polemizującej z Hoffmanową na temat kształcenia dziewcząt to zatem wciąż nasz świat. Może nie twój czy mój, ale istniejący.

Czy jest zresztą tak bardzo odległy, skoro to nie w Idaho, ale z ust polskiego ministra słyszymy o cnotach niewieścich, które kształtować powinna nasza szkoła? Oczywiście, przy równoczesnym zamknięciu drzwi dla edukatorów seksualnych i równościowych. Czy gdy to się kiedyś skończy, to za jedną z koniecznych kompetencji przyszłości uznamy rozbrajanie genderowych mitów? ©

OGŁOSZENIE

**Sąd Rejonowy w Mrągowie** Wydział I Cywilny ogłasza, że pod sygnaturą akt I Ns 108/21 toczy się postępowanie z wniosku Wandy Hajdukiewicz z udziałem małoletnich Gabriela Kulikowskiego i Cezarego Kulikowskiego, reprezentowanych przez przedstawicielkę ustawową Dorotę Pawłowską, oraz małoletniego Jakuba Kulikowskiego, reprezentowanego przez przedstawicielkę ustawową Martę Nowakowską, o stwierdzenie nabycia spadku po Władysławie Andrzeju Kulikowskim.

Sąd Rejonowy w Mrągowie wzywa wszystkich spadkobierców Władysława Andrzeja Kulikowskiego, zmarłego 18 października 2020 r. w Mikołajkach, ostatnio stale zamieszkałego w Mikołajkach, oraz wszystkich zainteresowanych, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

# PRZETRWAMY I TO, SYNKU

Jeszcze niedawno sądziłem, że nie damy rady stawić temu czoła.

Dziś u moich znajomych widzę determinację.

Także dzięki pomocy naszych sojuszników.

ARTEM CZECH Z KIJOWA

**O**DKĄD MÓJ SYN JEST ŚWIADOMY TEGO, co dzieje się wokół niego, żyje w przeświadczeniu, że jego kraj jest w stanie wojny. W roku 2014, gdy ta wojna się zaczynała, miał cztery lata. Teraz ma prawie dwanaście. Syn jest strauatyzowany tą wojną, choć nie mówi o niej otwarcie – zamiast tego buduje sobie bariery, które mają go od niej odgradzić, tak aby mógł ignorować zewnętrzne bodźce informacyjne.

Jednak moja żona i ja czujemy, że syn boi się wojny, że nasze rozmowy go niepokoją i przypominają mu czas, gdy oczekiwał na mój powrót z frontu. Kiedyś sam powiedział, że „nie chce pamiętać” tego półtora roku, gdy nie było mnie w domu. Ale syn wie również, że jako weteran z doświadczeniem wojennym należę do tzw. pierwszego rzutu rezerwy operacyjnej naszej armii. To oznacza, że w przypadku wojny na pełną skalę w ciągu 24 godzin muszę stawić się w wyznaczonej jednostce.

Jakiś czas temu syn zapytał nas: „Jeśli Rosjanie tak bardzo chcą naszego Kijowa, jak mogliby go zbombardować? Jak mogą nie pomyśleć o jego architekturze?!”. Byliśmy zaskoczeni, łagodnie rzecz ujmując. Być może nie jesteśmy z żoną wystarczająco ostrożni w naszych rozmowach, może rozmawiamy zbyt emocjonalnie i z nieukrywanym niepokojem o sytu-

*W ostatnich tygodniach w ukraińskich mediach pojawiło się dużo porad, jak rozmawiać z dziećmi o wojnie. Na zdjęciu: ulica w Charkowie, 40 km od granicy z Rosją. Napis na murze: „Rosja to okupant”. 2 lutego 2022 r.*



IVA ZIMOVA / PANOS PICTURES / FORUM

acji militarno-politycznej, która zżera nas emocjonalnie już trzeci miesiąc.

„Nikt nie będzie bombardować Kijowa – zapewniamy go. – Nie martw się. Nie będzie wojny. To znaczy, nie będzie wielkiej wojny”.

### **Putin zagrał *va banque***

Tylko czy sami jesteśmy tego pewni? Od niezrównoważonego sąsiada, który nie panuje nad sobą, można spodziewać się wszystkiego. Wielkiej i krwawej masakry, eskalacji w Donbasie, zajęcia naszych południowych miast portowych, prowokacji, cyberataków. Tak, już sama tylko wojna informacyjna paraliżuje całe życie biznesowe Ukrainy. Już teraz każ-

dego dnia jesteśmy bombardowani taką lawiną informacji, że czasami chce się po prostu zatrzaskać laptop i ukryć się gdzieś przed całym tym szaleństwem. Ale gdzie miałbyś się schować, skoro chodzi o los twojego kraju, a więc także o twój los.

Putin podjął z Zachodem grę *va banque*, gdy w grudniu ubiegłego roku przedstawił Ameryce i NATO żądania, które w oczywisty sposób są nierealistyczne, wręcz skrajnie idiotyczne. Do tego dochodzi szantażowanie Europy dostawami gazu, szantażowanie Ukrainy i swego rodzaju psychopatyczne pragnienie bycia w centrum uwagi. Tak zachowuje się dziecko, które nie opanowało elementarnych umiejętności komunikacyjnych ani wyczucia sy-

tuacji i dlatego za wszelką cenę stara się zwrócić na siebie uwagę dorosłych. Czasem dorośli reagują na takie wybryki protekcjonalnym uśmieszkiem. Ale gdy dochodzi do histerycznych napadów złości, do szantażu i manipulacji, wówczas oni, dorośli, zaczynają się naprawdę martwić i zaczynają działać. I zaczynają też zdawać sobie sprawę, że mają do czynienia z psychicznymi zaburzeniami.

### **Uciekać? Iść na wojnę? Nic nie robić?**

W grudniu rozmawiałem z wieloma znajomymi z Kijowa, pytając ich, jak się czują i jak odbierają rosyjskie zagrożenie na naszej granicy. Za maskami →



→ demonstrowanego na zewnątrz spokoju zobaczyłem ogromne pokłady niepokoju, a nawet lęku. Wszyscy bardzo bali się ataku na Kijów, wielu tworzyło sobie plany awaryjne na wypadek inwazji i nawet pakowało tzw. walizkę alarmową [władze ukraińskie już jakiś czas temu uprzedzały obywateli, co powinno się znaleźć w podręcznym bagażu, gdyby trzeba było opuścić dom; nazwano go „walizką alarmową” – red.]. Wielu zastanawiało się, co mogą zrobić. Uciekać? Szukać bezpiecznego miejsca dla starych rodziców i dla dzieci? Iść na wojnę? A może nic nie robić?

Wydawało się, że Ukraińcy zostali sami twarzą w twarz z tym zagrożeniem. Ludzie długo dziwili się, dlaczego prezydent Zełenski milczał, w przeciwieństwie do służb wywiadowczych USA i Wielkiej Brytanii. I czy warto planować na kolejne tygodnie jakieś nowe projekty życiowe, jakieś książki, jakieś wyjazdy za granicę?

Było dla nas jasne, że Kreml jest w stanie poświęcić nawet setki tysięcy swych obywateli jako cenę za swoje utopijne cele. Rosja nigdy nie przejmowała się własnymi zasobami ludzkimi, a podczas ostatnich dekad niewiele się pod tym względem zmieniło. Wszystkie wojny, które Rosja w tym czasie prowadziła, nie wyróżniały się jakąś szczególną subtelnością. Schemat jest wyuczony i prosty jak drewniany stół. A cały świat przygląda się, jak schemat ów jest ponownie uruchamiany z myślą o kolejnym uderzeniu, jak gorączkowo szuka się *casus belli*, z jakim szaleństwem w oczach politycy z otoczenia Kremla nawołują do zbombardowania Ukrainy. Pozostawało tylko jedno pytanie, o cenę: jakie koszty gotów jest ponieść Putin.

#### 400 tysięcy

Z drugiej strony pojawiało się też pytanie: czy my, Ukraińcy, jesteśmy w stanie poświęcić się w imię pokoju i wolności? Kto jest gotów bronić do końca naszej ziemi?

Dzisiaj, po prawie ośmiu latach wojny w Donbasie, oficjalny status weterana (w języku urzędowym: uczestnika działań bojowych) posiada czterysta tysięcy mężczyzn i kobiet. To osoby, które w większym lub mniejszym stopniu przewinęły się przez front. To ludzie, na których możesz polegać w razie wojny. Czy to dużo? I jak szybko można ich zmobilizować, a potem rozmieścić na stanowiskach?



MARKIAN LYSEIKO / EAST NEWS

Szkolenie wojskowe studentów. Lwów, 15 lutego 2022 r.

A co z innymi, z resztą społeczeństwa? Słyszałem różne opinie od dorosłych mężczyzn, którzy w latach 2014-15, gdy ogłaszano mobilizację, ignorowali wezwania do wojska i unikali służby. Mówili mi, że nie zamierzają walczyć o jakiś tam Donbas, ale jeśli wróg zjawi się na ich podwórku, wtedy oczywiście chwycą za broń – to na pewno.

Mam trochę inne zdanie. Myślę, że jeśli dzielisz kraj, w którym się urodziłeś i dorastałeś, na terytoria, które uznajesz za „swoje” oraz „nie swoje”, to w przypadku zjawienia się rosyjskich wojsk będziesz mieć pokusę, by nazwać swoim ten kawałek twojego kraju, który akurat jest bezpieczny i cichy, gdzie nie strzelają i nie ma zagrożenia, że okupant wrzuci cię do piwnicy, gdzie będziesz torturowany – jak wielu ludzi w piwnicach Donbasu. A to by oznaczało, że poważnie można liczyć tylko na tych 400 tysięcy ludzi. Czy oni będą w stanie zatrzymać wielotysięczną armię rosyjską, jej samoloty i ciężką artylerię?

#### Nasza armia umie walczyć

Jeszcze miesiąc temu byłem pewien, że to niemożliwe. Ale czas pracował na rzecz Ukrainy. Okazało się, że nie jesteśmy sami, że mamy wielu sojuszników. Po naszej stronie stanęła znacząca część cywilizowanego świata. W ostatnim czasie przywódcy światowi odwiedzali Kijów prawie codziennie, prowadzili kampanie dyplomatyczne i pomagali naszej armii na wszelkie możliwe sposoby. Codzienne doniesienia o samolotach przywożących dla nas broń, sprzęt i pomoc humanitarną były tego potwierdzeniem i dawały nadzieję.

Także armia ukraińska nie jest już chłopcem do bicia, jakim była w latach 2014-15. Ta armia może stawić opór. A gdy przywódcy polityczni Europy i USA zapewniają, że Rosja drogo zapłaci za agresję, mają na myśli nie tylko sankcje, lecz także siłę naszej armii. W ciągu ośmiu lat wojny w Donbasie zrobiła ona wielki krok naprzód. Wraz z ostatnimi dostawami zachodniej broni narzędnia, by zniszczyć to, co Rosja jest w stanie przeciw

nam rzucić. A gdyby w przypadku wielkiej wojny – przed którą niech Bóg nas ochroni – Putin jednak zwyciężył, będzie to zwycięstwo pyrrusowe, którego konsekwencje jeszcze długo będą pobrzmiwać po kremlofskich korytarzach.

Wszystko to pozytywnie wpływa na nastroje Ukraińców, którzy w ostatnich tygodniach masowo zapisywali się na kursy z przeszkolenia wojskowego i medycyny taktycznej.

### Pierwszy raz w życiu

Niedawno raz jeszcze rozmawiałem z tymi samymi osobami, które podpytywałem w grudniu ubiegłego roku.

„U mnie rozedrganie i panika zamieniły się w gniew i determinację. Czuje, że cały świat nas wspiera, że my i nasi sojusznicy to dla Rosji zbyt twardy orzech do zgryzienia” – powiedziała moja przyjaciółka, z zawodu menedżerka kultury.

„U mnie było tak, że w najbardziej krytycznym momencie narastającego napięcia poszedłem na przeszkolenie. Tam po raz pierwszy w życiu dostałem do ręki karabin szturmowy kałasznikowa. I muszę powiedzieć, że jego rozkładanie i następnie składanie miało oddziaływanie terapeutyczne” – dodaje jej mąż, ukraiński pisarz.

I uzupełnia: „A jeśli chodzi o wojnę, to ona już trwa, także jako wojna hybrydowa, której celem jest sparaliżowanie ludności i gospodarki. Ale nie wierzę, że dojdzie do inwazji, której celem byłoby zajęcie Kijowa. Tak, spodziewam się, że coś się stanie. Ale coś innego. Bo Putin nie może pozwolić sobie na to, aby wycofać się z niczym”.

Podobne nastroje można zaobserwować w ukraińskim segmencie Facebooka, gdzie toczą się spory kulturowe i polityczne. Większość dziękuje naszym sojusznikom i szydzi z niezdecydowania Niemiec. Oczywiście rozumiemy zamiłowanie do rosyjskiej literatury i rosyjskiego baletu, a także rozumiemy, jak nieprzyjemnie jest być zakładnikiem sytuacji, gdy twój partner biznesowy zerwał się z łańcucha. Ale argumenty niemieckich polityków, według których dostarczanie broni dla naszego kraju mogłoby tylko zwiększyć napięcie w negocjacjach z Moskwą, nie wydają się przekonujące. Jeśli chodzi o mnie, to uważam, że Moskwa rozumie tylko język siły. Dobrze pojmują to także ci, którzy mają z Rosją wspólną

Na szkoleniu dostałem  
kałasznikowa.

Jego rozkładanie i składanie  
miało oddziaływanie  
terapeutyczne

– mówi znajomy pisarz.

granicę – coś, czego Niemcy nie miały od wielu lat.

### Kompania braci

Długo i mocno dostawało się też prezydentowi Zełenskiemu. Żartowano z jego niezbornego sposobu wysławiania się, a jego próby zaprzeczenia rosyjskiemu zagrożeniu militarnemu odbierano nie tylko jako zdradzieckie, ale też jako zagrażające relacjom z naszymi zachodnimi sojusznikami. Najwyraźniej rola prezydenta, którą odgrywał w serialu „Sługa narodu”, pasowała mu bardziej niż rola prezydenta największego państwa w Europie.

Mimo całej tej krytyki, kpiny i sardonicznych uwag pod adresem Zełenskiego, nasze najgorsze obawy co do jego osoby jednak się nie potwierdziły – prowadzi on dziś twardą politykę wobec Rosji, a pod pewnymi względami powtarza nawet retorykę swojego poprzednika i oponenta Petra Poroszenki (a także, jak się zdaje, również swego głównego konkurenta w kolejnych wyborach prezydenckich).

Żołnierze, którzy stoją na naszych wschodnich granicach, rzadko piszą na Facebooku, ale ich nastroje są znane: trzymamy się, jesteśmy gotowi. Zaopatrzenie wojska nie jest dziś tak kiepskie, wręcz upokarzające, jakie było na początku wojny. Gdy idzie o morale, jest ono w porządku. Choć oczywiście żołnierze cieszą się, gdy dostają od ludzi jakieś rzeczy z wyposażenia w prezencie – jak człowiek ma porządny sprzęt, z większym spokojem podchodzi do niebezpieczeństwa. Nawet jeśli po drugiej stronie stoi 100 czy 200 tysięcy.

Niedawno dzwoniłem do chłopaków, z którymi służyłem w Donbasie w latach 2015-16. „Jeśli zacznie się najgorszy scenariusz, najważniejsze jest, żebyśmy znów mogli walczyć razem w tym samym batalionie, w tej samej kompanii” – powiedział mi Sasza, górnik ze wschodniej Ukra-

iny. „Jak będzie trzeba, weźmiemy znowu broń, ale na razie nie wpadamy w panikę” – pisze do mnie mój plutonowy, z zawodu kierowca ciężarówki z Winnicy.

### Chodźmy, synku

Kijów nie wygląda dziś najatrakcyjniej. Błoto pośniegowe, deszcz ze śniegiem, gołe drzewa, zza których widać wilgotne fasady domów. Ale kijowskie stare miasto nie traci na atrakcyjności nawet w lutym. W centrum widać wielu zagranicznych dziennikarzy i wyjątkowo mało ludzi – także u nas grasuje Omikron.

Syn dostał w szkole zadanie domowe i aby je odrobić, idziemy razem do Soboru Mądrości Bożej – świątyni, dziś mającej status muzeum, której budowę rozpoczęto na początku XI w. Niedawno odwiedził ją premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson. No a teraz my. Ściany w środku są pokryte średniowiecznymi freskami.

„Popatrz, synku, te malunki mają prawie tysiąc lat – mówię do syna. – Przetrwwały jarzmo mongolskie, Złotą Orde, napady Tatarów Krymskich, Księstwo Moskiewskie, rewolucje, okupację sowiecką i niemiecką. Nie sądzę, żeby Rosja dziś im zaszkodziła”.

Kiedy jednak wyszliśmy z Soboru na placu Sofijski, prawie się potknąłem. Naprzeciwko Soboru wznosi się Monaster Świętego Michała Archaniola o Złotych Kopułach. Zbudowany w XII w., został w 1936 r. zniszczony przez Sowieców. Dziś jest odbudowany. Ale uświadomiłem sobie, że moja metafora o freskach, które oprą się każdemu zagrożeniu, nie była całkiem udana.

„Mimo wszystko powinieneś wiedzieć – powiedziałem synowi – że na pewno nikt nie zbombarduje Kijowa. A teraz chodźmy do libańskiej kawiarni i zjedzmy po kebabie”.

Nie, na pewno nikt nie zbombarduje Kijowa – pomyślałem w duchu z pełnym przekonaniem. Na pewno nikt nie będzie go zdobywać. Po prostu, nikt się nie odważy. Na pewno.

© ARTEM CZECH

Przełożył WP

**ARTEM CZECH** to pseudonim literacki Artema Czerednyka, ukraińskiego pisarza urodzonego w 1985 r. Jest on autorem książek prozatorskich, z których „Punkt zerowy” opowiada o jego wojennym doświadczeniu (polski przekład w tłumaczeniu Marka S. Zadury ukazał się w 2019 r. nakładem wydawnictwa Warszaty Kultury). Tytuł i śródtytuły od redakcji „TP”.

# Sieci Kremla

CATHERINE BELTON, BRYTYJSKA DZIENNIKARKA ŚLEDZCA:

**Putin rządzi prawie ćwierć wieku. Jeden z jego dawnych sojuszników mówił mi, że prezydent chciałby już odejść na emeryturę. Ale dla ludzi służb byłoby to zbyt niebezpieczne.**

**MARCIN ŻYŁA:** Komu ufa Władimir Putin?

**CATHERINE BELTON:** Gdy chce zasięgnąć rady, zamyka się w gabinecie z Nikołajem Patruszewem, sekretarzem Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej. Patruszew, kilka lat starszy od Putina, szefował wcześniej Federalnej Służbie Bezpieczeństwa, następczyni KGB. Wpływowy jak kardynał Richelieu, jest on autorem doktryny, zgodnie z którą kapitalizm należy używać jako narzędzia do zwiększania rosyjskich wpływów na Zachodzie.

Myślę, że Putin ufa też Siergiejowi Naryszkinowi, dyrektorowi Służby Wywiadu Zagranicznego, podobnie jak on wywodzącemu się z Petersburga. Gwiazda Naryszkina jaśnieje zwłaszcza w ostatnich miesiącach – mówi się, że to jeden z możliwych następców Putina. Blisko są też Igor Seczin, prezes spółki naftowej Rosneft, oraz przyjaciel prezydenta Giennadij Tymczenko, z którym Putin zna się od lat 80. XX w., kiedy razem uczyli się niemieckiego w Instytucie Czerwonego Sztandaru, szkole KGB [dziś Akademia Wywiadu Zagranicznego – red.].

**Łączą ich Petersburg oraz związek ze służbami. W książce „Ludzie Putina” pisze Pani o końcu lat 80. poprzedniego stulecia i takich jak oni „progresywnych elementach” w KGB: funkcjonariuszach, którzy już wtedy widzieli upadek Związku Sowieckiego i zawczasu się do niego przygotowali.**

Powiedziałabym wręcz, że byli to ludzie, którzy z początku napędzali dążenie Rosji do wolnego rynku. Wywodzili się głównie z dyktorii wywiadu zagranicznego KGB. Dużo podróżowali i pierwsi spostrzegali, że gospodarka centralnie sterowana nie działa i aby konkurować z resztą świata, konieczna jest transformacja Związku Sowieckiego.

Sposób, w jaki ją przeprowadzono, zakończył się ostatecznie, jak mówił mi jeden z byłych oficerów KGB, „wysadzeniem w powietrze własnego domu”. Ale z początku wszystko było pod kontrolą.

**To wtedy narodził się Putin, jakiego znamy?**

Kiedy pod koniec roku 1989 Władimir Putin – wtedy funkcjonariusz KGB we wschodniemieckim Dreźnie – widział, jak pod jego oknem przechodzą pokojowe demonstracje, poprosił o pomoc miejscową sowiecką jednostkę wojskową, aby zyskać czas na zniszczenie tajnych dokumentów. Generałowie odpowiedzieli, że bez rozkazów z góry nie wyprowadzą żołnierzy z koszar. Putin nigdy nie zapomniał tamtego milczenia Moskwy.

Od Władimira Jakunina [byłego szefa rosyjskich kolei państwowych i doradcy Putina – red.] usłyszałam, że kiedy ten w 1990 r. wrócił z Nowego Jorku do Petersburga, wtedy jeszcze noszącego nazwę Leningrad, z miasta zapamiętał głównie niedziałające latarnie uliczne i zrujnowane kamienice.

To samo widział Putin. Odkąd dekadę później został prezydentem Rosji, on i jego współpracownicy z KGB/FSB bogacą się nieprzyzwoicie. Wierzą jednak, że na to zasługują, ponieważ przywrócili stabilność systemowi oraz wielkość Rosji w świecie. Kleptokracja w wersji Kremla polega nie tylko na gromadzeniu bogactwa, ale i na używaniu go do powiększania wpływów.

**Jak głęboko ten system spenetrował politykę i biznes w Europie Zachodniej?**

Rosja odniosła pewne sukcesy, zwłaszcza w przenikaniu do biznesowo-politycznego establishmentu Niemiec. Są to wpływy, które sięgają czasu jeszcze przed upadkiem muru berlińskiego.

To przykład Matthiasa Warniga, znajomego Putina z Drezna, gdzie Warnig był wysokim oficerem wschodniemieckiej bezpieki Stasi [dziś jest dyrektorem zarządzającym Nord Stream AG, spółki odpowiedzialnej za funkcjonowanie gazociągu – red.]. W niemieckich firmach współpracujących z Gazpromem pracują byli funkcjonariusze Stasi. Z hojnych pensji w zarządach Rosneftu i Nord Streamu korzysta były kanclerz Niemiec Gerhard Schröder.

Wciąż nie wiemy wszystkiego o sieciach zaruconych przez FSB w Niemczech. Ale jasne jest, że jej ludzie mieli pewien wpływ na dotychczasowe podejście Niemiec do Rosji – zwłaszcza na dążenie do „ponownego otwarcia” w relacjach z Rosją oraz zależność od rosyjskiego gazu.

**A Węgry? Wielka Brytania?**

Viktor Orbán niedawno odwiedził Kreml, gdzie narzekał na Zachód, że nie bierze pod uwagę interesów Kremla. Węgry są uzależnione od rosyjskiego gazu. Długoterminowa umowa, którą wynegocjowały we wrześniu 2021 r. na korzystnych dla Węgier warunkach, jest głównym argumentem na rzecz rządzącej partii Fidesz przed wyborami parlamentarnymi, zaplanowanymi na 3 kwietnia.

Jest i Londyn – czy też, jak mówi się ironicznie, „Londongrad” – gdzie wpływ Rosji na brytyjskie życie publiczne znacznie przekracza to, czego można by się spodziewać po samym tylko rynku nieruchomości. Ludzie Putina skutecznie spenetrowali nasz establishment. Niektórzy Rosjanie zostali brytyjskimi obywatelami, a potem sponsorami Partii Konserwatywnej. Przeciaki z Pandora Papers i FinCEN Files wskazują np. na Ljubow Czernuchinę, żonę byłego wiceministra finansów Rosji i byłego szefa zarządu jednego z największych rosyjskich banków. Niedługo przed tym, gdy w latach 2012-20 przełała na konto torysów w sumie 2 mln funtów, Władimir Czernuchin uzyskał korzystną pożyczkę od jednego z bliskich Putinowi oligarchów.

W raporcie z 2020 r. komisja ds. bezpieczeństwa i wywiadu brytyjskiego parlamentu ostrzegła, że powinno się zwracać uwagę na wszystkich rosyjskich biznesmenów na Wyspach, także na tych, którzy przedstawiają się jako emigranci – ponieważ wszyscy są podatni na szantaż ze strony rosyjskich służb.



ALEXEI NIKOLSKY / TASS / GETTY IMAGES

Władimir Putin i sekretarz Rady Bezpieczeństwa Rosji Nikołaj Patruszew z wizytą w Anapie, Kraj Krasnodarski, sierpień 2019 r.

**Brytyjska minister spraw zagranicznych Liz Truss grozi, że w razie nowej inwazji na Ukrainę oligarchowie Putina „nie będą się mieli gdzie ukryć”, a nawet że w grę wchodzi konfiskata ich brytyjskich majątków. To realne?**

Joe Biden zapowiedział, że w takim przypadku Stany Zjednoczone podejmą drastyczne kroki, m.in. obejmą sankcjami oligarchów i rosyjskie banki państwowe. Amerykanie utrzymują system tzw. wtórnych sankcji, co oznacza, że każdy podmiot robiący interesy z osobami czy podmiotami wpisanymi przez nich na indeks, sam podlega sankcjom. To zamyka sprawę – Londyn nie ma tu już nic do powiedzenia.

**Według wspomnianego raportu brytyjskiego parlamentu, aż jedna piąta pieniędzy na londyńskiej giełdzie pochodzi z Rosji. Czy to oznacza, że Zachód był dotąd współodpowiedzialny za umacnianie się systemu Putina?**

Do pewnego stopnia tak. Ale nie wolno myśleć ahistorycznie. Przecież początek lat 90. to powszechne przekonanie, że zimna wojna się skończyła oraz że przed Rosją nie ma alternatywy, jak tylko jej integracja z Zachodem. To dlatego Londyn otworzył ramiona przed rosyjskim biznesem. Wierzyliśmy – i nie było to pozbawione podstaw – że im ściślej Rosjanie zintegrują się z naszymi rynkami, tym bardziej będą postępować w zgodzie z demokratycznymi standardami.

Stało się inaczej. Rosyjskie pieniądze okazały się tak pożądane, że Kremlowi łatwo było kupować wpływy. U parlamentarzystów, prawników, bankierów i innych członków establishmentu. Rosyjscy oligarchowie na Wyspach zatrudniają nawet tzw. *reputation managers*, których rolą jest zastraszenie piszących o nich nieprzychylnie dziennikarzy.

**Ludzie związani z Kremlm żyli dotąd w ciągłej niepewności co do losu swoich fortun, wywozili je więc z Rosji i ukrywali na Zachodzie.**

**dzie. Putin do dziś jest gwarantem ich bogactwa, co bywa powodem do przypuszczeń, że będzie rządził do śmierci.**

Jego system to misterna pułapka dla innych, którą sam stworzył. Na ten system składa się pełna kontrola nad sądami, które w praktyce mogą wysłać za kratki każdego i w każdym momencie. Oraz tzw. kompromat – informacje, przy pomocy których można szantażować. Ludzie Putina wiedzą, że w razie zmiany władzy mogą stać się celem i trafić do łagru.

### **To silny system?**

Wszystko opiera się na kruchej równowadze. Putin rządzi Rosją już prawie ćwierć wieku. Jest zmęczony. Jeden z jego dawnych bliskich sojuszników mówił mi, że chciałby on już odejść na emeryturę. Dwa lata temu na Kremlu krążył nawet pomysł, aby został kimś w rodzaju „najwyższego wodza” kontrolującego służby, i aby rządzeniem zajmował się ktoś inny, oficjalnie taki niby-prezydent. Uznali jednak ostatecznie, że nawet to byłoby zbyt niebezpieczne.

### **„Oni” – czyli kto?**

Patruszew, Seczin, Tymczenko oraz wszyscy oligarchowie, którzy fortuny zawdzięczają swojej bliskości z Putinem.

Zresztą do takiej rekonfiguracji władzy już raz doszło – w latach 2008-12 prezydentem był Dmitrij Miedwiediew, Putin pełnił zaś funkcję premiera. Miedwiediew był lojalny wobec Putina, nie zrobił nic, co mogłoby naruszyć równowagę na szczycie. Ale gdy zaczął nominować swoich ludzi na stanowiska w państwowych firmach energetycznych, Seczin czy Aleksiej Miller [dziś we władzach Gazpromu – red.] od razu poskarżyli się Putinowi.

### **Wróć do pytania: kiedy powstał system Putina?**

Historia jest zawsze rezultatem wielu zdarzeń i przypadków. Pierwszy prezydent Rosji Borys Jelcyn i jego otoczenie, tzw. rodzina, popełnili błąd, wynosząc Putina do władzy w roli następcy. Wierzyli, że będzie lojalny, postępowy, że będzie kontynuował politykę Jelcyna na rzecz reform. On zaś, kameleon z charakteru, pomógł im w to uwierzyć.

U Putina rozczarowanie Zachodem wzrastało jednak stopniowo. Nawet jeśli po zamachach na USA z 11 września →

→ 2001 r. zgodził się na obecność Amerykanów w Azji Środkowej, aby stamtąd mogli prowadzić operacje w Afganistanie, nie zapomniał im ani rozszerzenia NATO, ani wycofania się w 2018 r. z układu o całkowitej likwidacji pocisków balistycznych i raketowych średniego zasięgu. Na demokratyczne zmiany na Ukrainie również patrzył swoimi paranoicznymi zimnowojennymi oczami. Były to dla niego spiski Zachodu – bo on zawsze wierzył w spiski.

**Ciekawe, że początkowo jednym z kandydatów do schedy po Jelcynie był Jewgienij Primakow, weteran sowieckiej dyplomacji, który w ostatecznym rozrachunku – tak wynika z Pani książki – mógłby okazać się lepszym partnerem dla Zachodu.**

Wiele na to wskazuje. Jelcyn go jednak nie znosił – sądził, że to polityczny dinozaur, symbol przeszłości. A przede wszystkim Jelcyn bał się, że Primakow zagrozi jemu i jego „familii”. Był to czas, kiedy w Rosji zakazane było posiadanie kont w zagranicznych bankach, a krewni Jelcyna ochoczo korzystali z kart kredytowych udzielonych przez zachodnie firmy remontujące Kreml.

Następcą Jelcyna został więc Putin. Człowiek, który pamiętał lata 90. w Petersburgu i płynącą z nich lekcję: że w miejscu, nad którym kontrolę sprawuje mafia, jedynym sposobem, aby mieć wpływ, jest przyłączyć się do niej. Inaczej się nie dało: gdy związana z władzami miasta klika KGB zbudowała w Petersburgu niezależny od mafii terminal naftowy, Putin z powodów bezpieczeństwa musiał ewakuować z kraju swoją córkę. Wyjechała wtedy do Niemiec, ze wspomnianym Matthiasem Warnigiem.

**Koniec lat 90. to jeden z najbardziej kontrowersyjnych i ponurych momentów w rosyjskiej historii najnowszej: seria wybuchów w blokach mieszkalnych, o którą od lat oskarża się FSB. Według tej wersji miała to być prowokacja, która m.in. uzasadniła późniejszą inwazję na Czeczenię. Był to też jeden z momentów, w których Putin zaczął odgrywać rolę lidera.**

Jelcyn namaszczył Putina jako swojego następcę, ale ten był biurokratą, o którym nikt nie słyszał. Jewgienij Primakow – a także mer Moskwy Jurij Łużkow –



ADAM IHSE / TT NEWSAGENCY / FORUM

**CATHERINE BELTON** jest brytyjską dziennikarką. W przeszłości korespondentka dziennika „Financial Times” w Moskwie, obecnie pracuje dla agencji Reutersa. Jej książka „Ludzie Putina. Jak KGB odzyskało Rosję i zwróciło się przeciwko Zachodowi” (2020; właśnie ukazało się polskie wydanie), oparta na rozmowach z dawnymi współpracownikami Putina, jest uznawana na Zachodzie za jedną z najbardziej drobiazgowych analiz przemian w Rosji w ostatnich dekadach.

byli groźnymi pretendentami do władzy. Wyglądało na to, że mogą wręcz wygrać wybory, najpierw parlamentarne, potem prezydenckie.

Początkowo rankingi wskazywały na 5 proc. poparcia dla Putina. Ale po serii eksplozji w blokach – przedstawionych jako ataki czeczeńskich terrorystów – i zdecydowanej reakcji Putina, który zapowiedział ściganie ich „nawet w wychodkach”, wszystko się zmieniło. Pojawił się lider, który pozwolił zapomnieć o smutku lat 90. i stanowił kontrast z podupadłym na zdrowiu i uzależnionym od alkoholu Jelcynem.

**Czego Zachód nie zauważył podczas rosyjskich przemian lat 90.?**

Zacznijmy od tego, że na początku lat 90. Zachód nie patrzył uważnie na Rosję. Powodem był m.in. brak źródeł wywiadowczych. W 1992 r. do Wielkiej Brytanii zbiegł Wasilij Mitrochin, były archiwista KGB, ale dokumenty, które ze sobą zabrał, dotyczyły głównie przeszłości. Oleg Gordijewski, zbiegły w 1985 r., był jedynym zachodnim agentem w Rosji, któremu udało się ująć z życiem po tym, jak współpracę z Sowietami, a potem z Rosjanami podjął Aldrich Ames [analityk CIA, ostatecznie aresztowany w 1994 r. – red.]. Ujawnienie amerykańskiej siatki szpiegowskiej pod koniec istnienia Związku

Sowieckiego sprawiło, że na Zachodzie brakowało informacji.

To, co powtarza się w rozmowach z Rosjanami, to żal, że Zachód nie pomógł im bardziej. Że nie stworzono czegoś w rodzaju planu Marshalla dla Rosji, która w istocie była wtedy państwem upadłym. Być może większa zachodnia pomoc finansowa, dofinansowanie infrastruktury sprawiłoby, że nie mielibyśmy dziś do czynienia z wrogią Rosją. Nie położono by gruntu pod takiego lidera jak Putin. Ale to tylko domysły.

Przed wszystkim jednak Zachód nie docenił siły rosyjskich służb, które przez cały czas od upadku Związku Sowieckiego pozostawały w grze. Nie zauważył też ogólnonarodowego poczucia upokorzenia spowodowanego przez utratę imperium. Jakby nie wyciągnął lekcji z lat 30. poprzedniego wieku w Niemczech, gdy częściowo na bazie podobnych resentymentów do władzy doszedł Hitler.

**Rozpoczynanie nowej wojny jest w interesie ludzi Putina?**

Patrzac racjonalnie, odpowiedź brzmi: „nie”. Najbardziej służy im nieustanne prężenie muskułów, mieszanka grózb i dyplomacji, którą uprawiają od kilku miesięcy. Potrzebują takiej *quasi*-konfrontacji z Zachodem, żeby usprawiedliwić swoje istnienie. Są u władzy tak długo, że nic innego nie mogą już Rosjanom zaoferować. W ostatnich tygodniach popularność Putina rośnie, mimo katastrofalnej sytuacji w gospodarce oraz pandemii.

Myślę jednak, że widać już, iż Putin i jego ludzie się przeliczyli: sądzili, że swój cel, czyli ustalenie granic nowej strefy wpływów na wschodzie Europy, osiągną wcześniej. Że administracja Bidena, zwłaszcza po pospiesznym wycofaniu się z Afganistanu, będzie słabsza, a Niemcy, mimo wszystko, nastawione bardziej koncyliacyjnie. Zaskoczeni zjednoczeniem się Zachodu, w pewnym sensie znaleźli się w narożniku.

**To niedobrze?**

Kłopot w tym, że w ostatnim czasie Putin zaczął wysyłać sygnały, że nie zawsze działa racjonalnie. Zmienił się jego język ciała, jego wizualne otoczenie – by wspomnieć ten długi stół, przy którym sadza swoich rozmówców. Widać w nim pewien rodzaj paranoi. A przynajmniej: zmiany, której charakteru jeszcze nie znamy. © Rozmawiał MARCIN ŻYŁA



THAHER AL-SUDANI / REUTERS / FORUM

Faludża, Irak, 3 lutego 2021 r.

# Dźwignięta z ruin

INGA ROGG Z FALUDŻY (IRAK)

**To optymistyczna historia. Przez długi czas Faludża uchodziła za synonim terroryzmu, a dziś jest jednym z najbezpieczniejszych miast w Iraku.**

**C**AŁE BIURO, KTÓRE FALAH HASAN AL-Isawi prowadzi w Faludży, emanuje wręcz bielą. Białe są otynkowane ściany, białe kafelki na podłodze (ściślej: białe ze złotymi pasami) i również skórzana kanapa jest w kolorze kremowobiałym. A pośrodku biura siedzi Isawi w śnieżnobiałej dżalabiji, tradycyjnej w krajach arabskich luźnej męskiej szacie.

Równie promienny co wnętrze biura Isawiego jest także jego nastrój. – Moje interesy idą dobrze – mówi Isawi, pośrednik w handlu nieruchomościami. Bo po tym, jak zakończyły się niszczycielskie lata wojny, zapotrzebowanie na nowe domy jest dziś ogromne w Faludży, kilkuset-tysięcznym mieście w środkowym Iraku, 60 km na zachód od Bagdadu.

Niegdyś Faludża była twierdzą irackich bojowników walczących z Amerykanami i nowymi władzami w Bagdadzie, potem ostoją dla irackiej odnogi Al-Kaidy, tej terrorystycznej międzynarodówki, a wreszcie ważnym punktem na mapie Państwa Islamskiego. Dziś miasto oraz otaczająca je prowincja Anbar należą do najbezpieczniejszych obszarów w całym Iraku.

– Wcześniej było tak, że po osiemnastej ryglowaliśmy drzwi do naszych domów – mówi Isawi. – Teraz w Faludży nie usłyszysz już wystrzału.

Bezpieczeństwo sprawiło, że miasto przeżywa rozwój – jeszcze może kruchy, ale wyraźny. Kto tylko ma pieniądze, nie inwestuje ich już gdzieś za granicą, lecz tutaj.

Chodząc po mieście, na niektórych ulicach można jeszcze natknąć się na szeregi domów z fasadami noszącymi ślady po kulach. Pomiędzy nimi co i rusz stoją wciąż ruiny. Isawi twierdzi, że podczas walk całkowicie zniszczonych zostało ok. 3 tys. domów, a wiele innych uszkodzono. Jednak dziś w Faludży nie konstruuje się już ładunków wybuchowych, jak to się działo kiedyś, lecz buduje się domy, sklepy i drogi. Na obrzeżach miasta powstają nowe osiedla mieszkaniowe i zabudowania koledżu, w centrum zaś wznoszone są bloki mieszkalne z apartamentami i naprawiane nawierzchnie ulic.

Podobnie jak w innych irackich miastach, także mieszkańcy Faludży narzekają, że po pokonaniu cztery lata temu Państwa Islamskiego rząd w Bagdadzie nie wypłacił obiecanych odszkodowań. Jednak ten, kto pracuje w sektorze publicznym, może otrzymać korzystne państwowe kredyty na budowę domu czy mieszkania.

Dla Isawiego to błogosławieństwo, jego interesy kwitną. Twierdzi, że miesięcznie sprzedaje ponad 150 nieruchomości. – To bardzo dobra sytuacja – uśmiecha się 52-latek.

## Ciężkie walki z ekstremistami

→ Dla wielu Irakijczyków prowincja Anbar i sama Faludża, w Iraku zwana powszechnie „miastem meczetów”, przez wiele lat były synonimami terroru i przemocy.

Większość mieszkańców tej wielkiej prowincji, która ma powierzchnię nieco większą od Grecji i rozciąga się aż do granic z Arabią Saudyjską, Jordanią oraz Syrią, to sunnici, którzy w irackim społeczeństwie są mniejszością. Za rządów dyktatora Saddama Husajna, który sam był sunnitą, mniejszość ta cieszyła się nieproporcjonalnie dużą władzą. Po tym, jak w 2003 r. za sprawą amerykańskiej interwencji zbrojnej despoty Husajn został obalony, sunnici zostali zmarginalizowani przez Amerykanów i szyitów, którzy stanowią większość mieszkańców kraju. Wcześniej uciskani, teraz mieli mieć najwięcej do powiedzenia.

Gniew sunnitów, błędy Amerykanów oraz wsparcie, które sunniccy bojownicy otrzymali z Syrii i krajów Zatoki Perskiej – wszystko to sprawiło, że Al-Kaida mogła na dobre zagościć w Anbarze i Faludży. Dopiero gdy Amerykanie zawarli sojusz z miejscowymi plemionami, mogli pokonać ekstremistów. Jednak po wycofaniu się wojsk amerykańskich w 2011 r. iracki rząd zaprzepścił ten sukces, wypowiadając ów sojusz z plemiennymi bojownikami.

Dlatego ekstremiści z Państwa Islamskiego, gdy wczesnym latem 2014 r. za-



Czołg irackiej armii rządowej na ulicach Faludży podczas walk o wyzwolenie miasta z rąk Państwa Islamskiego, czerwiec 2016 r.

pragnęli zająć tę prowincję, mieli ułatwione zadanie. Potem musiały minąć ponad dwa lata, zanim irackim wojskom rządowym udało się w końcu ich pokonać za cenę ciężkich walk i licznych ofiar. Udało się tylko dlatego, że armia iracka otrzymała wsparcie ze strony kierowanej przez Amerykanów koalicji wymierzonej w Państwo Islamskie.

Zmiana, która potem nastąpiła, to – zdaniem wielu mieszkańców Faludży – zasługa jednego człowieka: Mohameda al-Halbusiego, dziś przewodniczącego irackiego parlamentu.

### Młody, świecki, pragmatyczny

Sunnita Halbusi, który urodził się w 1981 r. w pobliżu Faludży, po ukoń-

czeniu studiów inżynierskich zaczął najpierw pracę w sektorze prywatnym. Jako szef firmy budowlanej dorobił się fortuny na zamówieniach od Amerykanów. Współpracując z nimi, okazał się osobą wyjątkowo pragmatyczną, co później ukształtowało także jego styl jako polityka.

Ten 41-latek z włosami ułożonymi na żelu i modną brodą po raz pierwszy został wybrany posłem do parlamentu siedem lat temu. Trzy lata później objął urząd gubernatora prowincji Anbar. W 2018 r. pokazał, że nie boi się kontaktów ze swymi politycznymi rywalami – dzięki sojuszowi z szyicką frakcją proirańską w parlamencie zapewnił sobie wybór na jego przewodniczącego.

## Słuchaj i rób, co chcesz!

### W cyklu „Tygodnik” na ucho

co tydzień 5 wybranych tekstów z bieżącego wydania – do odsłuchania w dowolnym czasie, miejscu i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteiki z GooglePlay lub AppStore i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów – dla nowych abonentów 14 dni gratis!

TYGODNIK  
POWSZECHNY

▶ audioteka



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

O ile przed nim większość sunnickich polityków odbierała swoje apanaże i nie pojawiła się więcej w terenie, o tyle Halbusi troszczył się o swój elektorat w Anbarze. Ściągał do prowincji rządowe pieniądze i inwestycje, wybudował nową drogę ekspresową, nowy stadion piłkarski i inne budynki użyteczności publicznej. Również za jego sprawą nowego blasku nabrała nabrzeża Eufratu, który przepływa przez Faludżę.

Jest to miejsce szczególne. W pewnym sensie to tutaj wiosną 2004 r. swój początek miały nieszczęścia, które potem spadły na Faludżę. Iracy bojownicy zlinczowali czterech pracowników otoczonej złą sławą amerykańskiej firmy ochroniarskiej Blackwater, a ich zwłoki, częściowo zwęglone, powiesili na stalowym moście nad Eufratem. Dziś w miejscu linczu znajduje się brukowana promenada z ławeczkami, która w weekendy przyciąga liczne rodziny i spacerowiczów.

Wyborcy podziękowali Halbusiemu za jego zaangażowanie. W wyborach parlamentarnych w październiku 2021 r. jego Sojusz na rzecz Postępu zdobył 37 mandatów. Tym samym ten świecki polityk nie tylko pozostawił daleko w tyle swoich sunnickich konkurentów, którzy chętnie sięgali po hasła religijne i za ich przyczyną przez ponad dekadę kształtowali tutaj politykę. Jego partia stała się też drugą co do wielkości frakcją w parlamencie, a 9 stycznia 2022 r. Halbusi został ponownie wybrany jego przewodniczącym.

### Pokój i nowoczesne życie

Halbusi ma dziś w Faludży wielu zwolenników, a jednym z nich jest mechanik samochodowy Abdul-Muheimin Taha al-Alwani.

– Halbusi jest świetny – mówi 47-latek. W przemysłowej części Faludży, gdzie Alwani ma swój warsztat samochodowy, ślady ciężkich walk wciąż są wszędzie widoczne: z niektórych budynków pozostały tylko ich szkielety, w przypadku innych jakaś niewidzialna siła jakby zdmuchnęła wszystkie ściany, jeszcze inne mają postrzelane fasady. Także w dachu warsztatu Alwaniego wciąż straszą ogromne dziury.

On sam mówi, że po 2003 r. trzykrotnie musiał uciekać z rodzinnego miasta. Najpierw w jego przemysłowej dzielnicy okopali się bojownicy Al-Kaidy, a potem ci z Państwa Islamskiego. Konstruowali tu swoje ładunki wybuchowe i stawiali auta pułapki, którymi terroryzowali stolicę. Bojownicy Państwa Islamskiego dali rodzinie Alwaniego wybór: „Albo współpracujecie z nami, albo się stąd wynosicie”. Mechanik opowiada, że zagrozili ścięciem głowy jego brata, kapitana armii irackiej. Rodzina uciekła na teren kurdyjskiej autonomii w północnym Iraku, a do Faludży wróciła dopiero trzy lata temu.

– Jesteśmy wyczerpani, chcemy po prostu tylko pokoju – tłumaczy Alwani.

Sпокою i pokoju pragnie wielu w tym niegdyś tak niespokojnym regionie. A młodzi ludzie szczególnie tęsknią za

nowoczesnym stylem życia, z centrami handlowymi i kawiarniami – słowem, za takim życiem, jakie poznali, gdy przebywali w Kurdystanie albo na emigracji w sąsiedniej Turcji. A jeśli ktoś może to sprawić, to Halbusi, o tym Alwani jest przekonany. – Halbusi ma strategiczny plan – mówi mechanik. – Jeśli będzie tak postępować, jak do tej pory, to wszystko będzie dobrze.

Również makler nieruchomości Isawi jest o tym przekonany: – Halbusi zapewnił nam bezpieczeństwo. To dobry i uczciwy człowiek, który ciężko pracuje.

■■■

Obserwatorzy sądzą, że Halbusi istotnie może pomóc sunnitom w odzyskaniu przez nich ich własnego miejsca w Iraku, i że jest też w stanie zmarginalizować radykalnych islamistów we własnych szeregach. Umiejętnie porusza się w strukturach władzy, nie brakuje mu pewności siebie i pragmatyzmu. Ponowny wybór na przewodniczącego parlamentu Halbusi zapewnił sobie również głosami posłów z frakcji populistycznego szyickiego duchownego Moktady as-Sadra, a także głosami posłów-Kurdów.

Isawiemu to się podoba: – Nie ma drugiego takiego jak Halbusi. © INGA ROGG

Przełożył WP

*Autorka jest reporterką szwajcarskiego dziennika „Neue Zürcher Zeitung”, specjalizuje się w tematyce bliskowschodniej. Stale współpracuje z „TP”.*

## Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego” dostępne na Legimi.pl

Pobierz aplikację Legimi na smartfon, e-czytnik, tablet lub komputer i czytaj wygodnie wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”.

TYGODNIK  
POWSZECHNY

Legimi

weź, czytaj!



**Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie** Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 352/21 postępowanie z wniosku Przemysława Rozpendowskiego o stwierdzenie nabycia spadku po Zofii Rozpendowskiej zm. 5 grudnia 2012 r., ostatnio zamieszkałej w Jarocinie. W skład spadku po zmarłej wchodzi prawo własności zabudowanej nieruchomości położonej w Jarocinie.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłej, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

**Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim**, Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 580/21, na skutek wniosku Olafa Piotra Kuliczewskiego, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Halinie Rokickiej, zm. 19 stycznia 2020 r. w Sulejówku, ostatnio stale zamieszkałej w Sulejówku.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy, w szczególności Jacek Szymoński, w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

**Przed Sądem Rejonowym w Cieszyńcu** toczy się sprawa o sygnaturze akt I Ns 1102/21 z wniosku Antoniego Juroszka i Wandy Juroszek o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie własności nieruchomości gruntowej położonej w Istebnej, składającej się z działek o numerach 3685, o pow. 689 m<sup>2</sup> (dla której w Sądzie Rejonowym w Cieszyńcu prowadzona była księga wieczysta – LWH 80), oraz 3686, o pow. 2280 m<sup>2</sup>. Jako właściciele nieruchomości w LWH 80 wpisani są Tomasz Zawada, Franciszek Kobielusz, Jan Juroszek.

Sąd wzywa uprawnionych, aby zgłosili swe prawa do ww. nieruchomości w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia, w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie na rzecz wnioskodawców, jeżeli zostanie ono udowodnione.

**W Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli** toczy się postępowanie w sprawie I Ns 676/21 z wniosku Elżbiety Czerepak o uwłaszczenie – w trybie art. 1 ust. 2 ustawy z dnia 26 października 1976 r. o uregulowaniu własności gospodarstw rolnych – nieruchomości składającej się z działek o nr. ewidencyjnym 1583, o pow. 8,20 a, położonej w Stalowej Woli w obrębie 1-Charzewice, niemającej urządzonej księgi wieczystej, dla której prowadzony jest zbiór dokumentów Lwh 551 Gminy Katastralnej Charzewice, oraz działki o nr. ewidencyjnym 1606, o pow. 9,12 a, i działki o nr. ewidencyjnym 1607, o pow. 6,01 a, położonych w Stalowej Woli, w obrębie 1-Charzewice, niemających urządzonej księgi wieczystej, dla których prowadzony jest zbiór dokumentów Lwh 93 Gminy Katastralnej Charzewice. Ww. nieruchomości znajdują się aktualnie w posiadaniu Elżbiety Czerepak.

Sąd wzywa wszystkich właścicieli ww. nieruchomości, a w szczególności Józefę Kowal, rod. Grąż, bądź jej spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od daty zamieszczenia ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Stalowej Woli i wykazali swoje prawa do tychże nieruchomości.

**Przed Sądem Rejonowym w Stalowej Woli**, I Wydział Cywilny, do sygn. akt I Ns 408/21 toczy się postępowanie z wniosku Ireny Winnickiej z udziałem Anny Marciniak, Krystyny Koc, Teresy Kufel, Zofii Surdyka, Stanisława Markowicz, Janiny Szewczyk, Stefana Markowicz, Elżbiety Sroka, Andrzeja Sibigi, Urszuli Owanek, Ryszarda Kopeć, Józefa Kopeć, Andrzeja Kopeć, Henryka Kopeć, Zbigniewa Kopeć, Bożeny Kopeć, Witolda Kopeć, Grażyny Rachwał, Karoliny Wyka, Katarzyny Wyka, Pawła Wyka, Stanisława Kopeć, Krystyny Goździuk, Urszuli Wróblewskiej, Zbigniewa Wojdy o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Marii Kopeć, c. Antoniego i Zofii, zm. 14 stycznia 2021 r. w Kielcach, ostatnio zamieszkałej w Stalowej Woli.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców Stanisławy Marii Kopeć, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postępowaniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

**W Sądzie Rejonowym w Mińsku Mazowieckim** pod sygn. akt I Ns 1059/21 toczy się sprawa z wniosku Gminy Latowicz o zezwolenie na złożenie do depozytu sądowego na okres 10 lat kwoty 366 złotych z tytułu odszkodowania za nieruchomością zajęta pod drogę – działkę nr 1431/1, o pow. 0,0012 ha, położoną w Latowiczu, dla której nie ma urządzonej księgi wieczystej, i dla której nie ustalono właściciela, z tym zastrzeżeniem, że odbiór tego świadczenia może nastąpić przez właściciela działki po przedstawieniu przez niego dowodu własności.

**W Sądzie Rejonowym w Sanoku**, I Wydział Cywilny, pod sygn. akt I Ns 3/22 toczy się postępowanie z wniosku Bogusławy Strzyżowskiej o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie prawa własności nieruchomości położonej w Jurówcach, gmina Sanok, składającej się z działki oznaczonej numerem ewidencyjnym 148/1, o powierzchni 0,72 ha, dla której w Sądzie Rejonowym w Sanoku prowadzona jest księga wieczysta KS15/00008655/2.

Sąd wzywa osoby zainteresowane, a w szczególności spadkobierców Katarzyny Strzyżowskiej, c. Mikołaja i Wiktorii, tj. synów Wojciecha, Andrzeja, Stanisława, Władysława i córki Cecylię i Janinę – aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły swój udział w sprawie i wykazały własność, gdyż w przeciwnym wypadku Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie udowodnione.

**Przed Sądem Rejonowym w Brzesku** pod sygn. akt I Ns 628/21 toczy się postępowanie z wniosku Zofii Nowak o uwłaszczenie na jej rzecz działek:

– nr 412, 459, 664 i 732, o łącznej pow. 1,43 ha, położonych w Dołędze gm. Szczurowa, powstałych z parcel katastralnych objętych zaginionymi Lwh 227 i 481 gm. kat. Dołęga;  
– nr 364 i 725, o łącznej pow. 1,19 ha, położonych w Pojawiu gm. Szczurowa, powstałych z parcel katastralnych, objętych Lwh 112 i 141, gm. kat. Pojawie, w których jako właściciele ujawnieni są: Jan Łucarz, Andrzej Łucarz i Władysław z Pawlików Łucarzowa (wpisy z lat 1937-1971).

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się w siedzibie Sądu i udowodniły swoją własność, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie zgodnie z wnioskiem na rzecz wnioskodawców, o ile zostanie udowodnione.

TOMASZ

# Stawiszyński: Spiskowa żarliwość



KENTROVERSY – CZYLI KENT DANIEL BENTKOWSKI, zmarły w 2008 r. wyznawca teorii spiskowych pochodzący z Buffalo w stanie Nowy Jork – przeprowadził rozległą i głębinną analizę. Wynikło z niej jednoznacznie, że Stanley Kubrick nie

bez powodu zmarł dokładnie 7 marca 1999 r., nie zaś, dajmy na to, 28 października 2003 r. albo 5 maja 1997 r. Żeby to stwierdzić, przekonywał Kentroversy, wystarczy elementarna matematyka. Otóż, od dnia 1 stycznia 2001 r. – a zatem momentu, w którym rozpoczyna się tytułowy rok jego najślynniejszego dzieła „2001: Odyseja kosmiczna” – dzieli śmierć Kubricka dokładnie... 666 dni. Przypadek?

Od biedy, naciągając sprawę do granic możliwości, można by było tę wersję przyjąć. Można by – gdyby nie jedna fundamentalna okoliczność. A mianowicie: w filmie „Oczy szeroko zamknięte” Kubrick ujawnił szereg tajemnic od lat skrzętnie ukrywanych przez zarządzający światem zza kulis zakon Illuminatów. I właśnie dlatego musiał zginąć, Illuminaci wszak zazdrośnie strzegą swoich sekretów. Zakamuflowane w tej operacji trzy szóstki to przesłanie dla tych, którzy mają oczy i widzą, to znaczy wiedzą, gdzie i jak należy patrzeć.

O jakie zaś tajemnice chodzi? Temu właśnie poświęcona jest wspomniana analiza, wciąż – po 16 latach od publikacji na niszowym blogu – będąca istotnym punktem odniesienia dla wielu innych spiskowych interpretacji ostatniego dzieła Kubricka. Mnóstwo w niej hermeneutycznych akrobacji, doszukujących się ukrytych znaczeń nawet w sposobie, w jaki zafrasowany Tom Cruise w jednej ze scen ukrywa twarz w dłoniach (poważnie, nie żartuje).

Oczywiście najłatwiej uznać, że wszystko, o czym powyżej mowa – czyli narracja Kentroversy’ego oraz jego licznych poprzedników i równie licznych następców rozsiewających dziś teorie spiskowe po bezkresach internetu – to po prostu efekt zaburzonych procesów poznawczych. Psychologia zna niejedną diagnozę, którą chciałoby się tu zaaplikować. Najbardziej bodaj adekwatną wydaje się apofenia – kondycja mentalna polegająca na permanentnym dostrzeganiu powiązań i sensów tam, gdzie ich z definicji nie ma, a nawet być nie może. Tyle że tego rodzaju psychologizacja czy raczej psychiatryzacja zawsze natrafia na zasadniczą trudność. Doszukiwanie się powiązań i sensów tam, gdzie ich z definicji nie ma, a nawet być nie może, to przecież *spécialité de la maison* każdej religii. A czym istotowo różni się ekstrahowanie tajemnych przesłań z filmowego dzieła od, dajmy na to, kabbalistycznej lektury Pisma albo teologicznej interpretacji jakiejś żywej tragedii?

Żeby była jasność, nie stawiam znaku równości pomiędzy tymi aktywnościami, zwracam jedynie uwagę, że coś je głęboko łączy. Co takiego? Wiara, że istnieje jeszcze jakieś inne

semantyczne wiązanie świata niż to dostępne na pierwszy rzut oka. Niejawna płaszczyzna sensu, przenikająca dogłębnie całą rzeczywistość niczym rozrastające się wiele metrów pod ziemią korzenie. Płaszczyzna możliwa do wydobycia na jaw, jeśli tylko dysponuje się odpowiednim instrumentarium.

Przyznajmy: to perspektywa co najmniej ekscytująca. Zwłaszcza w epoce, w której dominujący obraz świata to konglomerat materializmu i ewolucjonizmu: jesteśmy formą istnienia białka, którą rządzi niepodzielnie ślepy przypadek oraz bezlitosne prawa doboru naturalnego. Ale to nie wszystko. Lektura twórczości Kentroversy’ego oraz jego licznych poprzedników i następców także ujawnia coś na pierwszy rzut oka niewidocznego (choć nie tam, gdzie się autorem tej twórczości wydaje). A mianowicie – specyficzną... żarliwość. Pragnienie dotarcia dalej i głębiej, za zasłonę percepcji, za mistyfikację rozciągającą się dookoła, za gargantuiczny koszmara materializmu i ewolucjonizmu. Pragnienie tak radykalne, że całkowicie niezainteresowane autentycznością własnego obiektu. Z góry naiwnie zakładające, że jest właśnie taki, jakim się jawi, choć przecież samo wyrosło z przekonania, że świat jest inny, niż to widać gołym okiem.

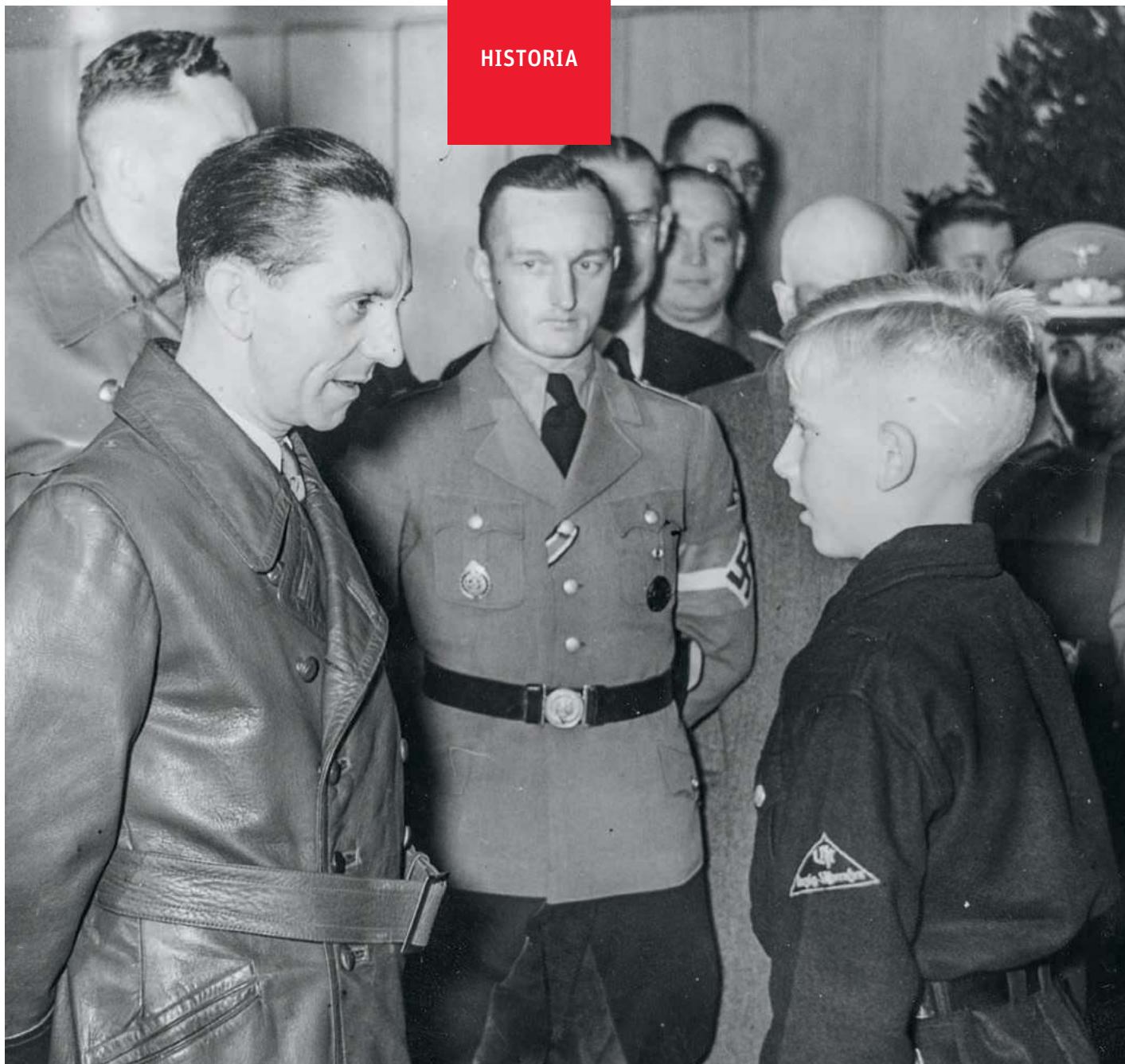
Owszem, każda teoria spiskowa jest religią, ale nie każda religia jest teorią spiskową. Religie tradycyjne wytwarzają jednak twardą strukturę, w ramach której różnica pomiędzy światem widzialnym i niewidzialnym zostaje wyraźnie ustanowiona. Teorie spiskowe natomiast tej strukturalizacji nie znają. Jest tam wyłącznie żywioł, czysta żarliwość. I to właśnie ten żywioł pozwala na niekończące się hermeneutyczne akrobacje, na formułowanie dowolnych wniosków w dowolny sposób, z głębokim wszakże przekonaniem, że się znalazło doświadczenie do prawd tyleż niejawnych, co drogocennych.

W tym kontekście nie dziwią mnie wcale wyniki realizowanych w 26 krajach badań, które opublikowano niedawno na łamach „Nature Human Behaviour”. Okazuje się, że skłonność do myślenia spiskowego wykazują głównie radykałowie. Wszystkich politycznych opcji i światopoglądów. Nie wiemy wprawdzie – i już się nie dowiemy – do jakich wniosków doszedłby Kentroversy, gdyby dysponował dokładną datą tej publikacji, niemniej na pewno zabrałby się do rozwikłania tej zagadki z charakterystyczną dla siebie radykalną żarliwością. ©

OGŁOSZENIE

**W Sądzie Rejonowym w Tarnowie**, pod sygn. akt I Ns 308/21, toczy się postępowanie z wniosku Michała Kuczery o stwierdzenie nabycia przez wnioskodawcę przez zasiedzenie prawa własności nieruchomości położonej w Pleśnej, gmina Pleśna, powiat tarnowski, w obrębie nr 0001, w postaci działki ewidencyjnej nr 644 o pow. 0,57 ha, objętej WHL 48 gm. kat. Pleśna, w którym jako właścicielki nieruchomości ujawniono: małoletnie Zofię Knapik i Teresę Knapik – w udziałach po 3/12 cz., Katarzynę z Knapików Jarmułową – w udziale 3/36 cz., Ewę z Korpach Kozłową – w udziale 6/36 cz. oraz Zofię z Knapików Bilską i Teresę z Knapików Kaczykową – w udziałach po 3/24 cz.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Tarnowie i wykazali swe prawa do przedmiotu postępowania o stwierdzenie nabycia z mocy prawa własności nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie sąd może stwierdzić nabycie własności zgodnie z wnioskiem.



# VOLKSDEUTSCHE Z POMORZA

80 lat temu okupacyjny namiestnik regionu gdańskiego wezwał wszystkich mieszkańców, by uznali się za członków narodu niemieckiego. Co z tego wynikło?

TOMASZ CHINCIŃSKI



*Joseph Goebbels, minister propagandy III Rzeszy, spotyka się z kandydatami na volksdeutsche, Toruń, październik 1942 r.*

morza, zaanektowanego przez III Rzeszę w 1939 r. – jak też na powojenne postrzeganie jego mieszkańców.

### Kto jest Niemcem?

Na wcielonym do Niemiec terenie przedwojennego województwa pomorskiego mieszkało blisko 158 tys. obywateli polskich, którzy już przed 1939 r. deklarowali narodowość niemiecką. Byli oni nazywani volksdeutscheami – czyli Niemcami etnicznymi, zamieszkującymi poza Rzeszą i posiadającymi obywatelstwo innego państwa, ale przyznającymi się do niemieckiej mowy i kultury.

Odróżnienie ich od etnicznych Polaków nie było jednak proste dla władz Rzeszy. We wskazówkach przygotowanych w Urzędzie Polityki Rasowej NSDAP pisano: „Kto jest Niemcem? Niemcem jest ten, kto w rozumieniu narodowości, zwyczajów i wspólnoty rodzinnej żyje jak Niemiec, o ile jest krwi niemieckiej, względnie pokrewnego gatunku. Ci Niemcy zostaną przyjęci na niemiecką listę narodową. Wybór i włączenie na niemiecką listę narodową muszą zostać surowo przeprowadzone”.

A więc poza samoprzyznaniem się do niemieckości ważne były również badania rasowe. Proces identyfikowania etnicznych Niemców na anektowanym Pomorzu przebiegał zatem dość długo. Potwierdzenie ich niemieckiej przynależności narodowej, od której uzależniono otrzymanie niemieckiego obywatelstwa, trwało do końca 1940 r.

W grudniu 1940 r. przeprowadzono spis ludności, który wykazał, że miejscowych Niemców etnicznych jest na Pomorzu nieco ponad 190 tys. – liczba ta była więc wyższa o ponad 32 tys. w stosunku do danych z polskiego spisu z 1931 r. Ten wzrost liczebności miejscowych volksdeutscheów mógł być spowodowany ujawnianiem się ludności narodowo chwiejnej, która z powodów koniunkturalnych, w warunkach niemieckiej okupacji, podała przynależność do narodowości niemieckiej.

Spis pokazał też, że niemal 1,4 mln osób na Pomorzu podało przynależność polską.

### Germanizacja według Forstera

Jeszcze w grudniu 1940 r. Forster przygotował program zniemczania Polaków. Cechował go pragmatyzm: przed kryteriami rasowymi Forster stawiał na talent i umiejętności praktyczne osób przewidzianych do germanizacji.

W pierwszej kolejności zniemczeniu mieli zostać poddani ludzie niezbędni dla funkcjonowania gospodarki anektowanego Pomorza, traktowanego przez Forstera jako spichlerz Rzeszy. Znajomość niemieckiego miała ustępować kwalifikacjom zawodowym i uzdolnieniom technicznym. Zwracano też uwagę na zamiłowanie do porządku i schludny wygląd, jako rzekomo typowo niemieckie cechy, świadczące o „domieszcze krwi niemieckiej”.

Forster pragnął włączyć do narodu niemieckiego „warstwę pośrednią”. Wedle Urzędu Polityki Rasowej NSDAP były to „osoby, które całkowicie albo częściowo są niemieckiego pochodzenia, lub żyją w narodowo mieszanym małżeństwach z Polakami, jeśli nie mają warunków do przyjęcia na niemiecką listę narodową”. Innymi słowy, „polsko-niemiecką warstwę pośrednią” mogła stanowić większość Polaków zamieszkujących na Pomorzu, których korzenie rodzinne sięgały za boru pruskiego.

Podstawowym kryterium weryfikacyjnym dla „warstwy pośredniej” miał być jej stosunek do niemczyzny. Zniemczona „warstwa pośrednia” miała zastąpić na Pomorzu niemieckich osiedleńców z Europy Wschodniej (przesiedlanych stąd m.in. na mocy umowy Hitlera ze Stalinem). Forster odwlekał ich przyjęcie i chciał ich liczbę jak najbardziej ograniczyć.

Podobne poglądy na temat „warstwy pośredniej” prezentował Josef Wagner, zwierzchnik Prowincji Śląsk, który jednak w przeciwieństwie do Forstera przeprowadził natychmiastową germanizację podbitych terenów polskiej części Górnego Śląska. Na przełomie 1939/40 r. przeprowadzono tam policyjną rejestrację mieszkańców, w wyniku której zdecydowana większość została uznana za ludność narodowości niemieckiej.

Inną politykę realizował Arthur Greiser, namiestnik w Okręgu Kraj Warty: był on zwolennikiem germanizacji ziemi poprzez sprowadzanie osadników niemieckich i jednocześnie był przeciwnikiem zniemczania ludności polskiej.

**B**YŁ 22 LUTEGO 1942 ROKU, GDY ALBERT Forster – otoczony złą sławą gauleiter (szef NSDAP) i namiestnik Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie – wydał odezwę, w której wzywał mieszkańców podległego sobie terenu do wpisywania się na niemiecką listę narodową (Deutsche Volksliste, DVL). Forster zakładał, że każdy mieszkaniec Pomorza jest kandydatem na Niemca. Tym, którzy do 31 marca 1942 r. nie złożą stosownego wniosku, groził surowymi konsekwencjami.

Tamten lutowy dzień miał znacząco wpłynąć na germanizację polskiego Po-

→ Polityka germanizacyjna Forstera była sprzeczna z poglądami Heinricha Himmlera, który prócz funkcji szefa SS sprawował też urząd Komisarza Rzeszy ds. Umacniania Niemieckości. Himmler uważał, że masowe i pośpieszne zniemczanie Polaków jest niezgodne z wolą samego Hitlera. Szef SS opowiadał się za przeprowadzeniem na ziemiach wcielonych do Rzeszy skrupulatnej selekcji rasowej, która dopiero wyłoniłaby polskie rodziny nadające się do zniemczenia; aby ułatwić ten proces, chciał przesiedlać je do tzw. starej Rzeszy (jak nazywano jej obszar w granicach sprzed 1938 r.).

### Cztery kategorie

Jednolite zasady polityki germanizacyjnej na polskich ziemiach wcielonych do Rzeszy miało wprowadzić rozporządzenie z 4 marca 1941 r. o niemieckiej liście narodowej i niemieckiej przynależności państwowej, wraz przepisami wykonawczymi z 13 marca 1941 r. (zarządzeniem o nabyciu niemieckiego obywatelstwa). Rozpoczęło ono proces wpisywania przedwojennych obywateli polskich do jednej z czterech grup volkslisty.

Dwie pierwsze grupy DVL były przewidziane dla przedwojennej mniejszości niemieckiej. Trzecia grupa miała objąć osoby „niemieckiego pochodzenia, które z biegiem lat związały się z polskością”, ale dawały nadzieję na ponowne stanie się „pełnowartościowymi członkami niemieckiej wspólnoty narodowej”. Do czwartej grupy zaliczano osoby całkowicie spolonizowane, pogardliwie określone jako „renegaci”.

Wpisywanie na volkslistę miało być przedsięwzięciem ekskluzywnym – i w dużej mierze było wzorowane na doświadczeniach i pomysłach Greisera z Kraju Warty.

Forster najwyraźniej nie był tym zachwycony. Nigdy nie ogłosił publicznie w swoim okręgu rozporządzenia z 4 marca 1941 r. Dokonał natomiast jego interpretacji, opierając się na własnym programie germanizacyjnym. Nakazał, aby badania rasowe wykonywano tylko w wątpliwych przypadkach i w dodatku przez Urząd Polityki Rasowej NSDAP, a nie przez podległy Himmlerowi Główny Urząd Rasy i Osadnictwa SS.

Zgodnie z wytycznymi Forstera w pierwszej kolejności na volkslistę mieli być wpisywani: lekarze, personel medyczny, osoby posiadające kwalifika-

cje techniczne, urzędnicy i nauczyciele. W następnej kolejności narodowość niemiecką miały przyjmować rodziny wielodzietne i rodziny mające krewnych w Rzeszy. Przyjęty kierunek selekcji wynikał z braku sił fachowych.

Prowadzona na Pomorzu przez NSDAP akcja nakłaniania Polaków do wpisu na volkslistę dała jednak niewielkie rezultaty. Z zachowanych danych dla rejencji bydgoskiej wiadomo, że na ok. 600 tys. mieszkańców do połowy listopada 1941 r. wpisano 24 tys. osób (ok. 4 proc.), w tym do grupy pierwszej i drugiej 18 tys., a do grupy trzeciej 6 tys. osób. W pozostałych miejscach Okręgu Gdańsk-Prusy Zachodnie odsetek ten był prawdopodobnie podobny.

### „Zesłowiańszczeni”

Kwestia badań rasowych pozostała istotą sporu między Himmlerem a Forsterem. Dla gauleitera Pomorza przy „poszukiwaniu” Niemców nie odgrywało większej roli ani pochodzenie niemieckie, ani posiadanie cech nordyckich. Dobitnie wyraził to w artykule ogłoszonym w toruńskiej gazecie „Thorner Freiheit” w 1941 r.: przekonywał, że Pomorze zostało „zesłowiańszczone” i Polaków należy traktować tu jako spolszczonych Niemców.

Forster oponował przed przyjęciem stanowiska Himmlera, otwarcie ignorując badania rasowe. Działającym na jego terenie placówkom DVL nakazał prowadzenie selekcji nawet wśród Polaków osadzonych w obozach dla wysiedlonych. Zalecał też, aby przy selekcji brano pod uwagę „osobiste wrażenie”, które miało być decydującym argumentem za wpisem na volkslistę.

Wydaje się, że Himmler poszedł na ustępstwo wobec polityki faktów Forstera, gdy 10 lutego 1942 r. wydał rozporządzenie upraszczające i przyspieszające wpis na volkslistę. W zasadzie uznawało ono mieszkańców ziem wcielonych za ludność niemiecką i zobowiązywało ich do złożenia wpisu na listę.

Oficjalnie jako przyczynę wydania tego rozporządzenia Himmler podał „uwarunkowania wojenne”, chęć „ograniczenia zadań administracyjnych” i potrzebę jak najszybszego rozeznania, kto jest Niemcem, a kto Polakiem. Można jednak przypuszczać, że ambicje Forstera nie były bez znaczenia dla zmiany stanowiska Himmlera. Być może Himmler myślał też o pozyskaniu rekruta dla Wehrmachtu, choć

ten argument nie wydaje się pierwszoplanowy, gdyż zaciąg do niemieckiej armii wśród osób wpisanych do trzeciej grupy DVL na Pomorzu miał nastąpić w większości dopiero od 1943 r.

### Przesiew ludności

W ślad za rozporządzeniem Himmlera ukazała się wspomniana na początku odezwa Forstera z 22 lutego 1942 r., wzywająca mieszkańców okręgu do wpisywania się na volkslistę. Została wydrukowana w pomorskiej prasie i rozplakatawana.

Forster komunikował mieszkańcom, że „w roku 1939 (...) nie wiedzieliśmy, ilu Niemców lub osób niemieckiego pochodzenia pozostało na wyzwolonym obszarze Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie, po 20-letnim polskim panowaniu. Dlatego przez ostatnie dwa i pół roku musieliśmy przeprowadzić dokładną weryfikację i przesiew ludności. (...) Wybraliśmy ludzi, którzy ze względu na swoją postawę i pochodzenie mogą być uważani za Niemców. Dlatego do niemieckiej wspólnoty zostały zakwalifikowane także takie osoby, które wprawdzie w ciągu ostatnich dwudziestu lat z różnych przyczyn nie mogły publicznie pokazywać się jako Niemcy, ale które od innych Niemców otrzymały dobre świadectwo moralności i naszym zdaniem są uważane za Niemców. (...) wzywa się wszystkich tych, którzy czują się Niemcami lub niewątpliwie są niemieckiego pochodzenia (...), żeby do dnia 31 marca 1942 r. zgłosili się do przyjęcia na niemiecką listę narodową. Żaden człowiek, który chce powrócić do niemieckiej wspólnoty narodowej i dotąd nie został dostrzeżony, nie powinien być skrzywdzony”.

Jednocześnie gauleiter ostrzegał, że „kto jednak odrzuci tę możliwość (...) w przyszłości będzie traktowany jako nieprzynależny do niemieckości”, a tym samym „zostanie zrównany z najgorszymi wrogami narodu niemieckiego” (tłumaczenie za pracą zbiorową „Polityka niemieckich władz okupacyjnych na Pomorzu Gdańskim. Dokumentacja wybranych problemów”, Toruń 2018).

Odezwa wywołała strach wśród ludności. Niemcy prowadzili kampanię propagandową i agitację oraz rozsiewali niepokojące plotki. Na przykładzie Bydgoszczy wiadomo, że ponad 70 proc. wniosków złożono w drugiej połowie marca 1942 r.,

co sugeruje, że do masowych wpisów skłaniał nasilający się lęk.

W lipcu 1942 r. liczba wpisanych łącznie na volkslistę na Pomorzu wyniosła 681 tys., a w styczniu 1944 r. już 937 tys. osób. Zdecydowana większość otrzymała trzecią grupę. Odsetek Polaków wpisanych do tej trzeciej grupy w tym okręgu w lipcu 1942 r. wyniósł 38,8 proc., a w styczniu 1944 r. już 54,4 proc. W niektórych powiatach odsetek osób wpisanych do trzeciej grupy przekraczał 80 proc. (w chojnickim 88 proc., wejherowskim 82,20 proc., kościerskim 81,70 proc.).

### Przymus policyjny i egzystencjalny

Przyjęcie niemieckiej tożsamości narodowej mogło być strategią na przetrwanie, chroniącą przed eksterminacją, wysiedleniem czy grabieżą majątku.

Precedens wszak był: w Okręgu Gdańsk-Prusy Zachodnie Niemcy przeprowadzili już jesienią 1939 r. masową eksterminację, w wyniku której straciło życie 40 tys. Polaków. Równocześnie w celu umacniania niemieckości w latach 1939-40 wysiedlono 91 tys. osób – Polaków „napływowych”, pochodzących spoza Pomorza, uznanych za „niezdadnych do germanizacji”, a także nie liczną na tym terenie ludność żydowską.

Pozostawioną przez wysiedlonych Polaków i Żydów własność zajmowano i przekazywano w użytkowanie Niemcom. W celu uzyskania brakujących mieszkań i gospodarstw dla osadników niemieckich ze Wschodu przeprowadzono też wysiedlenia wewnętrzne (tzw. rugi), które w latach 1941-42 dotknęły kolejne 19 tys. Polaków. Następnie pozbawiono prawa własności pozostałych na Pomorzu polskich niewysiedlonych gospodarzy.

W ten sposób do 1941 r. dokonano całkowitego zajęcia i konfiskaty należących do Polaków nieruchomości rolnych. Pozbawieni prawa własności, Polacy zepchnięci zostali do roli „siły roboczej” – często na gospodarstwach będących wcześniej ich własnością.

Drogą do odzyskania zagrabionego majątku mogła okazać się volkslista. Możliwość polepszenia warunków materialnych – czy też obawa przed ich pogorszeniem – odgrywała pewną rolę w akcji zniemczania Polaków. Duże znaczenie miały też naciski niemieckich pracodawców. Niezłożenie wniosku na volkslistę



Odezwa Alberta Forstera z 22 lutego 1942 r. wzywająca mieszkańców Torunia do zapisywania się na niemiecką listę narodową.

mogło spowodować zwolnienie i skierowanie do pracy przymusowej. Grożono też pozbawianiem kartek żywnościowych czy odmową sprzedaży węgla i ziemniaków. Odmowa przyjęcia grupy DVL mogła skutkować także przekazaniem sprawy policji, która kierowała takie osoby do aresztów i obozów.

Wpisywaniu Polaków z Pomorza na volkslistę po 22 lutego 1942 r. towarzyszył więc przymus – czy to policyjny, czy egzystencjalny. Sytuacja ta różniła się od przyjmowania niemieckiego obywatelstwa w Kraju Warty i Generalnym Gubernatorstwie, gdzie było ono dobrowolne i często wiązało się z podjęciem kolaboracji z wrogiem.

Dostrzegały to władze podziemnej Delegatury Rządu na Kraj, które na przełomie 1943 i 1944 r. przeciwstawiały „dobrowolnych volksdeutsche” z Wielkopolski, Śląska Cieszyńskiego, Zagłębia Dąbrowskiego i okręgu ciechanowskiego Polakom przymusowo wpisanym do trzeciej i czwartej grupy DVL na Pomorzu. Tych ostatnich nie poczytywano za zdrajców.

### O polskim przekonaniu

Choć Polacy z Pomorza wpisani do trzeciej grupy DVL często pielęgnowali swoją polskość, a także brali udział w konspiracji i tajnym nauczaniu, to ponosili daleko idące skutki formalnej zmiany narodowości.

Poza otrzymaniem niemieckich racji żywnościowych, wyższej pensji czy za-

trudniania na wcześniej niedostępnych stanowiskach następstwem wpisu na volkslistę był przymusowy udział w niemieckich organizacjach masowych – i służba w Wehrmachcie. Przyjmuje się, że ok. 90 tys. Polaków z trzecią grupą volkslisty z terenu Pomorza mogło zostać wcielonych do armii niemieckiej.

Służący w niej Polacy nierzadko demonstrowali swą narodowość i dezertowali. Uciekinierzy z Wehrmachtu regularnie zasilali grupy partyzanckie na Pomorzu, przyczyniając się do wzrostu ich liczebności. Miało to wpływ na aktywizację działalności partyzanckiej w pomorskich lasach, która budziła coraz większe obawy niemieckich władz. Pisał o tym w sprawozdaniu z marca 1943 r. sędzia sądu rejonowego w Czersku: „Sytuacja w tutejszym rejonie jest pełna niepewności, którą opanowane jest niemieckie społeczeństwo (...) z powodu powtarzających się od kilku miesięcy napadów band. (...) Chodzi tu o polskich dezertów z Wehrmachtu o polskim przekonaniu”, którzy „znajdują znaczną pomoc” wśród ludności, wprowadzając w większości zniemczoną, ale – jak przyznawał urzędnik – „jeszcze o głębokim polskim przekonaniu”.

Takie postawy Polaków z Pomorza, służących w Wehrmachcie, nie były jednak powszechnie znane społeczeństwu polskiemu po II wojnie światowej. Polacy z Pomorza, którzy trafili na volkslistę, często byli postrzegani jako zdrajcy – mimo że w latach 1945-50 nastąpiła ich formalnoprawna rehabilitacja na podstawie ustawodawstwa powojennej Polski.

W społecznej optyce, szczególnie ludności pochodzącej z innych dzielnic Polski, Pomorzanie wpisani na niemiecką listę narodową byli postrzegani jednoznacznie negatywnie. Przez wiele kolejnych powojennych lat w Polsce miało brakować empatii i zrozumienia dla często tragicznych losów mieszkańców okupowanego Pomorza.

© TOMASZ CHINCIŃSKI

Autor jest historykiem, profesorem Wyższej Szkoły Administracji i Biznesu im. Eugeniusza Kwiatkowskiego w Gdyni. W 2017 r. był jednym z kuratorów wystawy głównej Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Opublikował m.in.: „Bydgoszcz 3-4 września 1939. Studia i dokumenty” (współautor i redaktor wraz z Pawłem Machewiczem); „Forpocztą Hitlera. Niemiecka dywersja w Polsce w 1939 roku”.



# TEMAT Z BRODĄ

Chroni właściciela przed ciosem w szczękę i przydaje mu wojowniczości. W oczach kobiet świadczy o jego dobrym zdrowiu, a nawet schludności – chyba że akurat gotuje. Wreszcie wiemy, po co mężczyznom zarost.

ŁUKASZ JACH

**W** DZIEJACH LUDZKOŚCI BRODA wielokrotnie doświadczała triumfalnych powrotów i spektakularnych upadków. Panujący w II wieku n.e. rzymski cesarz Hadrian nosił brodę na przekór panującej wtedy modzie. Władca ten brał bowiem na poważnie stoickie nauki zachęcające, by na co dzień żyć w zgodzie z naturalnym porządkiem. Z kolei XVI-wieczny papież Klemens VII pozwolił swojej twarzy pokryć się zarostem na znak pokuty po splądrowaniu Rzymu. W konkursie na najbardziej radykalne podejście do zarostu być może wygrałby jednak Piotr I Wielki. Rosyjski car w XVIII w. na brodatych mężczyzn nałożył specjalny podatek, bo chciał, by jego poddani wyglądali bardziej „po europejsku”.

Czasy współczesne to kolejny w dziejach moment wzrostu popularności męskiego zarostu. Trudno znaleźć szanujące się średniej wielkości miasto bez przynajmniej jednego salonu oferującego profesjonalne usługi barberskie. A zarost zarostowi nierówny! W internetowych katalogach znajdziemy przykłady kilkadziesiąt różnych sposobów modelowania wąsów, brody i baków o równie finezyjnym wyglądzie, co nazwach.

Nic więc dziwnego, że kwestią męskiego zarostu zainteresowali się ostatnio również naukowcy. Antropolodzy i psycholodzy prześcigają się w teoriach na te-

mat biologicznych i społecznych funkcji zarostu twarzy. A za teoriami idą oczywiście badania.

## Lewy podbródkowy

Kwestią do wyjaśnienia jest choćby to, że na męskich twarzach pojawia się tak wiele włosów, choć na innych częściach ciała wygląda to dużo skromniej. Jedna z hipotez mówi, że broda może przydawać się w toczonych przez mężczyzn pojedynkach jako coś w rodzaju amortyzatora przy uderzeniach w szczękę. Urazy zuchwy to wszak dość częsty efekt bójek. Czy zatem, zanim wyzwiemy kogoś na „solówkę”, powinniśmy zadbać o odpowiedni zarost? Sprawę tę w metodyczny sposób postanowili zbadać naukowcy z Uniwersytetu w Utah. Niedawno pokazali wyniki, według których materiał o strukturze podobnej do ludzkiej kości wytrzymuje silniejsze uderzenie, jeśli wcześniej zostanie pokryty warstwą włosów dorównujących gęstością solidnie zapuszczonej brodzie. W przeprowadzeniu takiej symulacji bez tłuczenia kogoś po twarzy przyszła z pomocą matematyka. Badacze uznali, że zamiast sięgać po kości z prosektorium, można wykorzystać włókno epoksydowe. Do zastąpienia ludzkiej brody nadawał się zaś odpowiednio przygotowany fragment owłosionej owczej skóry, pochodzący z lokalnej rzeźni. Owłosione w różnym stopniu próbki kładziono na specjalnym kowadłe, a potem spuszczano na nie młot, którego siła uderzenia pozostawała pod stałą kontrolą.

Koncepcja zarostu jako czegoś w rodzaju włochatej kołderki ochraniającej dolną część twarzy jest bardzo sugestywna. Odkrycie amerykańskich naukowców zostało zresztą docenione, bo jesienią 2021 r. otrzymali za nie jeśli nawet kontrowersyjną, to bez wątpienia głośną nagrodę Ig Nobla. Entuzjazm studzą jednak wyniki zebrane wśród osób, dla których zadawanie i przyjmowanie ciosów to chleb powszedni. Zespół z Czech przeprowadził kilka lat temu badanie dotyczące przewidywania wyników walk MMA na podstawie różnych cech charakteryzujących osoby, które biorą w nich udział. Pod uwagę wzięto tam również poziom owłosienia twarzy. Wskaźnik ten okazał się nieistotny, tak samo zresztą jak choćby masa ciała czy pojemność płuc. Podobne rezultaty uzyskano również za oceanem. Badanie parametrów charakteryzujących blisko czterystu zawodników MMA wykazało, że brodatość nie wiązała się ani z częstszym wygrywaniem walk, ani z mniejszą liczbą walk przegranych przez nokaut. W osiąganiu lepszych wyników przydawał się natomiast po prostu większy zasięg ramion. Dłuższe ręce pozwalają szybciej trafić przeciwnika. I nie ważne, czy ma on brodę, czy nie.

## Włochata proteza

Bycie lepszym wojownikiem to jedno. Czym innym jest, czy na groźniejszego przeciwnika się po prostu wygląda. Gdy czeszy studenci mieli oceniać zdolności bojowe zawodników MMA, to błędnie uznawali, że sportowcy z zarostem ➔

*Tadeusz Gąsienica-Bednarz. Zdjęcie Bartłomieja Jureckiego pochodzi z książki „Twardy jak skała, silna jak hałny”, Wydawnictwo SQN, 2021 r.*

→ mają w starciach nieco większe szanse niż ci gładko ogoleni. Czyżby więc broda była czymś w rodzaju straszaka mającego zniechęcać innych do konfrontacji? Badania na ten temat przeprowadzono jakiś czas temu na antypodach. Barnaby J. Dixon i Paul L. Vasey poprosili brodatych mężczyzn z Nowej Zelandii i Samoa o zapoznanie do zdjęć z miną wyrażającą gniew i agresywne zamiary. Fotografowani mężczyźni mieli zgodnie z podaną instrukcją zmarszczyć brwi i nos, odsłonić zaciśnięte zęby oraz opuścić dolną wargę. Gdy flesze zgasyły, panowie całkowicie golili swoje twarze, a sesja była powtarzana. Zebrane zdjęcia pokazywano potem innej grupie mężczyzn, którzy mieli ocenić to, jak agresywni są posiadacze oglądanych twarzy. Analiza zebranych wyników wykazała, że ci sami mężczyźni uważani są za agresywniejszych, gdy na ich twarzach występuje bujny zarost. Jeśli więc komuś z jakichś powodów zależy na groźniejszym wyglądzie, być może warto na parę tygodni odłożyć żyłtkę?

Autorzy analizujący dane amerykańskich zawodników MMA zasugerowali, że broda może być czymś w rodzaju zwodniczego sygnału, którego odstraszająca moc obniża ryzyko nadmiernej eskalacji konfliktów między mężczyznami.

Skąd jednak może się brać taka moc męskiego zarostu? Na pytanie to odpowiedzi poszukiwał zespół naukowców z Australii i Szkocji. Badacze najpierw zebrali zdjęcia ogolonych i brodatych twarzy. Potem fotografie poddawano obróbce graficznej, odpowiednio zwiększając bądź zmniejszając poziom cech charakterystycznych dla męskiej anatomii, związanych z kształtem brwi oraz szerokością szczęki. Tak przygotowany materiał pokazano blisko tysiącowi mężczyzn, którzy mieli wypowiedzieć się na temat takich cech oglądanych osób jak męskość, agresywność i tendencja do dominowania. Ogólnie rzecz biorąc, wyższe poziomy wymienionych cech łączyły się z bardziej zmaskulinizowanym wyglądem twarzy oraz z posiadaniem brody.

Najciekawsze wydają się jednak wyniki dotyczące interakcji pomiędzy tymi dwoma elementami. Efekt dotyczący wizerunków pozbawionych zarostu był dość jasny – im bardziej męski kształt twarzy, tym wyższe wystawiano oceny związane z męskością, agresywno-

Owłosione próbki  
kładziono na kowadle,  
a potem spuszczano na nie  
młot. Udało się wykazać, że  
**ludzka zuchwa wytrzymuje**  
silniejsze uderzenie,  
jeśli pokryta jest brodą.

ścią i dominacją. A co w przypadku brodaczy? Choć ogólna tendencja była podobna, to same różnice były tym razem mniej wyraziste, zwłaszcza w przypadku agresywności. Okazało się też, że nawet mężczyźni o twarzach z niskim poziomem typowo męskich cech anatomicznych byli oceniani jako bardziej męscy, dominujący i agresywni od mężczyzn o silnie zmaskulinizowanych rysach, jeśli tylko ci pierwsi mieli brodę, a drudzy byli gładko ogoleni.

### Zarośnięty zawód

Wyniki badań pokazują, że brodaci mężczyźni uważani są za wyżej postawionych w hierarchii społecznej niż ci gładko ogoleni. W pierwszej chwili informacja ta może łechtać męskie ego, jednak czy znalezienie się w szufladce „brodaczy” niesie ze sobą wyłącznie same korzyści? Otóż niekoniecznie. W licznych sytuacjach życiowych mężczyznom może przecież nie zależeć wcale na tym, by przechwalać się agresywnością, pozycją społeczną czy nieustępliwą dominacją. Pomyślmy choćby o rozmowach o pracę. Wyniki badania opublikowanego niedawno na łamach „The Journal of Social Psychology” pokazują, że chcąc być uznanym za cieplejszą i serdeczniejszą osobę, warto założyć na takie spotkanie okulary i krawat, ale pamiętać też o użyciu golarzki.

Ciekawe dane dotyczące „brody przy pracy” zebrali również w amerykańskim kontekście badacze z Korei Południowej i USA. Sprawdzali oni, czy poziom zarostu osób sprzedających jedzenie może wiązać się z pojawiającymi się u konsumentów wrażeniami na temat obsługi. Po raz kolejny posłużono się tu zdjęciami, na których stopień owłosienia twarzy regulowano za pomocą programu komputerowego do obróbki zdjęć. A co

z wynikami? Okazało się m.in., że sprzedawcy ogoleni oraz posiadający niewielki zarost byli uważani za czystszych i przygotowujących żywność w bardziej higieniczny sposób niż mężczyźni z bujniejszymi brodami. Efekty te szły ramię w ramię z rezultatami dotyczącymi ogólnego poziomu satysfakcji z obsługi. Można zatem uznać, że wrażenie wywierane na innych przez posiadany zarost może dawać o sobie znać nawet w mało przewidywalnych okolicznościach.

Ale przecież ludzie różnią się też między sobą pod względem tego, na ile podobają im się zarost twarzy. Czy zatem jeżeli sami lubimy męski zarost, to będziemy z większą sympatią patrzeć na obsługujących nas brodaczy? Uzyskane przez autorów rezultaty pokazują, że tak właśnie jest. Zanim więc komuś przyjdzie do głowy, by oznaczać lokale gastronomiczne jako „strefy wolne od zarośniętej obsługi”, warto przypomnieć sobie, że w dzisiejszym świecie brody cieszą się całkiem sporą sympatią.

Skąd jednak pomysł, że posiadanie brody w ogóle miałyby obniżać szanse w karierze gastronomicznej? Znaczącą rolę mogłoby tu odgrywać działanie behawioralnego systemu odpornościowego (*behavioural immune system*, BIS). System ten nie działa u każdego z nas z jednakową siłą, ale jego ogólnym zadaniem jest ostrzeganie nas przed sytuacjami zagrażającymi zdrowiu. O ile „zwykły” układ odpornościowy zajmuje się zagrożeniami już występującymi w organizmie, rolą BIS jest takie pokierowanie naszym zachowaniem, żeby do owego zagrożenia w ogóle nie doszło. Prosty przejawem jego występowania jest automatyczne odsuwanie się od osób kaszlących i kichających.

W kontakcie z brodą system BIS mógłby zapytać np. o to, czy w tej lub innej brodzie nie zdążyły aby zalegnąć się już jakieś chorobotwórcze pasożyty. Jakis czas temu hipotezę związków działania BIS z postawami dotyczącymi zarostu twarzy testowano w badaniu zaprezentowanym na łamach czasopisma „PLOS ONE”. Jego wyniki były zaskakujące dla naukowców, którzy je przeprowadzili. Wykazały bowiem, że im bardziej badane kobiety brzydziły się potencjalnych źródeł zakażenia – jak choćby przypadkowego dotknięcia rany na czyjejś skórze, przebywania obok kogoś o niezbyt przyjemnym zapachu czy natknięcia się w kuchni na pełzającego po podłodze robaka (bo o ta-

kie przypadki pytano w kwestionariuszu) – tym męskie brody wydawały im się atrakcyjniejsze. Poszukując wyjaśnienia dla uzyskanych rezultatów, autorzy badania zasugerowali, że symetryczne, bujne brody mogą być w dzisiejszym świecie wskaźnikiem większego zdrowia i większej odporności, a zwłaszcza wtedy, gdy są odpowiednio zadbane. Zawarte w artykule próbki zdjęć faktycznie sugerują, że badanym kobietom pokazywano raczej twarze z równo przystrzyżonymi brodami niż oblicza rodem z dziecięcych bajek o rozbójnikach i samotnych mieszkańcach bezludnych wysp.

### Brodate pożądanie

W rozważaniach na temat męskiego zarostu nie można zapominać także o rzeczach dość oczywistych. Od wyglądu twarzy zależy przecież, jak bardzo ta czy inna osoba nam się podoba. Jak więc posiadanie zarostu wiąże się z męską atrakcyjnością? Cóż, sprawa wygląda dosyć niejednoznacznie. Wyniki opublikowane w „Journal of Evolutionary Biology” wskazywały, że najatrakcyjniejsze nie są ani twarze gładko ogolone, ani te z bujną brodą, tylko takie ze średniej długości zarostem. Także wcześniejsze badania przeprowadzone w Australii pokazały, że kobiety uważają twarze z wyraźną, ale nieprzesadnie obfitą szczecinią za atrakcyjniejsze od twarzy z bujnym zarostem, a także tych gładko ogolonych oraz tych, na których włosy dopiero zaczęły wyrastać. Wygląda to trochę tak, jakby za atrakcyjniejsze uważano twarze komunikujące, że ich właściciele są z jednej strony zdolni do zapuszczania brody, ale z drugiej dbają o to, by utrzymywać ją w określonych granicach.

Czy są jednak takie konkurencje, w których zdjęcia brodaczy wygrywają ze wszystkimi innymi wizerunkami twarzy? A owszem! Badane kobiety uważały, że posiadacze bujnego zarostu charakteryzują się najwyższym poziomem umiejętności związanych z opiekowaniem się dziećmi. Może dlatego, że ci sami mężczyźni zazwyczaj wydają się starsi, jeśli na zdjęciach pokazywani są z brodą? A może po prostu chodzi o większe podobieństwo do Świętego Mikołaja? Wyniki pokazały również, że posiadanie bujnego zarostu kojarzone bywa z ogólnie wyższym poziomem zdrowia. Zgadza się to ze wspomnianymi wcześniej

Badane kobiety uważały, że brodaci mężczyźni **lepiej opiekują się dziećmi** niż ci gładko ogoleni. Czy to dlatego, że wydają się starsi? Może chodzi o podobieństwo do Świętego Mikołaja?

rezultatami wskazującymi na preferowanie bród przez kobiety, u których system BIS działa bardziej aktywnie.

### Zarost w wielkim mieście

Wyobraźnia podpowiada, że funkcje męskiego zarostu są dziedzictwem przeszłości, kiedy to przydawał się on bardziej niż obecnie. Spróbujmy się jednak zastanowić, czy aby nie jest odwrotnie – może to aktualnie brody mają więcej do powiedzenia niż kiedyś? Dane zebrane w kilkudziesięciu krajach świata dowiodły, że brodate twarze z większą częstotliwością spotyka się raczej w większych miastach. Czemu akurat tam? Wyjaśnieniem może być po prostu moda, ale może chodzić też o coś mniej oczywistego. W dużych miastach każdego dnia wchodzimy w kontakt z wieloma nieznanymi ludźmi. W takich warunkach może wzrastać znaczenie szybkiego komunikowania innym informacji na własny temat. Taką szybko działającą wizytówką może być właśnie broda, sugerująca, że jej posiadacz jest bardziej męski lub ma wyższy status społeczny.

Do podobnych wniosków skłaniają rezultaty uzyskane na Uniwersytecie Śląskim. Badani tam panowie preferowali u siebie wyższy poziom zarostu niż u innych mężczyzn w swoim otoczeniu. Ankietowani niekoniecznie byli jednak skłonni tworzyć świat, w którym to oni są jedynymi zarośniętymi mężczyznami, a wokół widać same gładko ogolone twarze. Chodziło bardziej o to, by być samemu kimś w rodzaju lokalnego lidera w ilości owłosienia na twarzy.

Również inne badania z ostatnich lat pokazują, że twarze o bardziej męskich rysach są uważane za atrakcyjniejsze przez kobiety mieszkające w rozwiniętych i zurbanizowanych częściach świata. Bro-

date trendy, które obserwujemy dookoła, mogą więc nie być wcale „powrotem do przeszłości”, ale przejawem zupełnie nowego zjawiska kulturowego o globalnym zasięgu. Być może czasy, w których żyjemy, to wreszcie ten moment, gdy wolna od wielu zagrożeń ludzkość jest w stanie swobodnie puścić wodze fantazji i jak nigdy dotąd rozwijać sztukę strzyżenia i modelowania zarostu?

Czy zatem nasz stosunek do zarostu ma źródło w czynnikach zewnętrznych? Scenariusz taki wspierają wyniki zebrane w trakcie pandemii COVID-19. Naukowców z Uniwersytetu Karoliny Północnej interesowało, czy noszenie brody wpływa na efektywność maseczek ochronnych. Przeprowadzone przez nich badanie wykazało, że jednorazowe maseczki chirurgiczne i maseczki materiałowe dawały równie słabą ochronę niezależnie od tego, czy noszący je mieli brodę, czy też nie. Najwyższej klasy maski N95 chroniły zaś z porównywalną skutecznością i osoby gładko ogolone, i te z zarostem, choć wraz ze zwiększającą się długością owłosienia ochrona nieco słabła. Największe różnice odnotowano przy maseczkach średniej klasy, które wyraźnie lepiej sprawdzały się na gładko ogolonych użytkownikach.

Jak zachowują się więc ludzie, gdy ich preferencje związane z zarostem twarzy wejść w kolizję z bezpieczeństwem? Badanie „z maseczką w tle” na podobny temat wykonano w brytyjskim Royal Cornwall Hospital. W okresie między styczniem a kwietniem 2020 r. większość spośród zatrudnionych tam zarośniętych lekarzy sięgnęła po żyletki, aby lepiej dopasować się do sanitarnych zaleceń używania maseczek FFP3. Choć część mężczyzn zauważyła pozytywne aspekty zmiany wyglądu, to nie obojętne było przy tym bez przykrych emocji. Niektórzy medycy mieli poczucie straty czegoś bardzo cennego, innych denerwował dyskomfort po goleniu, a jeszcze inni wspominali, że obecnie czują się mniej pewni siebie. Była i osoba, której po gruntownym goleniu nie rozpoznały ani dzieci, ani... system identyfikacji twarzy w telefonie komórkowym.

Badani lekarze deklarowali czasem także, że do zgolenia zarostu popchnęła ich presja społeczna i poczucie dyskryminacji. Być może znaleźliby oni wspólny język z XVIII-wiecznymi rosyjskimi bojarami, których do golenia zmuszały carskie dekrety?

© ŁUKASZ JACH

# PAN NICUŚ I ŚMIERĆ



Od Michela Houellebecqa  
oczekuje się wieści,  
w jakim punkcie istnienia  
ludzkość zachodnia znajdzie się  
w nieodległej przyszłości.  
Żaden pisarz tak nie ma.  
No to jak nas teraz zdiagnozował?

**MAREK BIEŃCZYK**

*Michel Houellebecq,  
festiwal filmowy  
w San Sebastián.  
Hiszpania,  
25 września 2019 r.*

**N**A PARYSKIM PLACU LACHAMBAUDIE stoi kościół pw. Notre-Dame-de-la-Nativité, architektonicznie nieatrakcyjny i wewnątrz, wiadomo, pusty. Ciekawiej wygląda na szerokim planie, gdy widać otaczające go nowoczesne budynki. Jakby odwrotność dziedzińca Luwru: tam szklana piramida na tle starych murów, tu fragment dawnych czasów zachowany w nowej części miasta. Obok rozciąga się gigantyczne ministerstwo finansów, którego jedno skrzydło wpiszone jest postmodernistycznie w rzekę. To w nim rozgrywa się częściowo akcja najnowszej powieści Michela Houellebecqa „Anéantir” („Unicestwienie”); jej główny bohater, Paul Raison, doradca ministra, niekiedy do kościoła zagląda i, choć niewierzący, zapala przed ołtarzem świeczki. Za chwilę okaże się, że jest śmiertelnie chory.

### Co to będzie, co to będzie

Patrząc na fotografię osaczonej przez XXI wiek świątyni da się pomyśleć, że przedstawia ona symbolicznie podstawową dla Houellebecqa kwestię, która w „Anéantir” najmocniej dochodzi do głosu: jak duchowo rozwiązać kwestię śmierci. I, rzucając okiem wstecz, można nabrać podejrzenia, że obsesja śmierci jest faktycznym motorem tego pisarstwa, a cała reszta – polityka, nauka, wizjonerstwo cywilizacyjne i antropologiczne – festiwalem zasłon, barwnym widowiskiem aktualności i profecji. Teraz kostucha całkiem wychynęła zza fasady Pałacu Elizyjskiego. Albo inaczej: Houellebecq dotąd tak starannie i umiejętnie opakowywał traumę, że stał się pisarzem „od naszej rzeczywistości”, natomiast w „Anéantir” pozwala już otwarcie przeświecać tanatycznemu natręctwu i ilustruje poniekąd formułę Montaigne’a: „jako filozofować znaczy uczyć się umierać”.

Pod tę ostatnią granicę Houellebecq wielokrotnie podprowadzał swoich bohaterów dryfujących w stronę nicości na równi z Francją; Houellebecqowska łódź Charona to pojemny wehikuł, cały lotniskowiec. Teraz ustawił kolejne *alter ego* (ego eksperymentalne) na samej granicznej linii. Końcowych kilkadziesiąt stron powieści coraz bardziej zawęża się, odpadają z niej kolejne warstwy: polityczna, społeczna, obyczajowa, i zostajemy razem z Paulem i jego żoną w obliczu ostateczności.

Oczywiście ci, którzy powieść mają za zamiar przeczytać po polsku (po włosku i niemiecku już jest), powinni przeskończyć ten tekst, lecz nie da się przeoczyć faktu, że ukazanie się nowej książki Houellebecqa jest od lat wydarzeniem nie tyle literackim, ile społecznym. Nie ma w tej chwili nie tylko we Francji autora, którego kolejne dzieło wywołuje wszędzie dziesiątki artykułów, spoilowanie na całego. Mniejsza o wonne kadzidła rozpalone przez wydawcę i autora, pieszczonienie się z tajemnicą do ostatniej chwili. Wyświechtane już porównanie pisarza do sejsmografu, wyczuwającego zawczasu tektonikę społeczeństwa francuskiego, wykształciło model recepcji: Houellebecq diagnozuje, my natychmiast reagujemy na diagnozę. Oczekuje się wieści, w jakim punkcie istnienia ludzkość zachodnia znajdzie się w nieodległej przyszłości, a takiego oczekiwania nie ma co przedłużać, Nostradamusowi nie mówi się „moment, chwila”. Francja czeka i Europa też.

Jest to sytuacja osobliwa, nie wywołuje się tak nowej książki Johna M. Coetzego czy innych wybitności. Ale też nikt inny nie wypracował modelu powieści, który łapie czytelników z różnych stron naraz, upraszczając prozę, nie wypuszczając jej przy tym z kulturowej obręczy, pisząc nisko i wysoko zarazem, tworząc pop-powieści interpretowane przez filozofów. I który wyzwała, niczym dokument naukowy, lekturę wprost socjologiczną – stał tyle mowy o Balzacu, o ujawnianiu struktur społecznych jako źródła cierpień i o postaciach przedstawianych jak najbardziej wyczerpująco, łącznie z miejscem urodzenia, edukacją, zawodem rodziców itd. Potrzeba Houellebecqa pokazuje, jaki typ przekazu – w dużej mierze uniewinniającego jednostkę i oskarżającego społeczeństwo – publiczność chce czytać, co ją uwodzi.

Istotny jest fakt, że wiele jego książek rozgrywa się w bliskiej przyszłości, w „teraz” przerzuconym do przodu; to założycielski pomysł jego sukcesu. Mało kogo obchodzi żywotnie, co stanie się w roku 2100, lecz mały wyrok pociąga wielu, gdyż pozwala dojrzeć, jak z dzisiejszego skłębienia wynurza się kształt na bliskim horyzoncie, rzeczywistość nam znana, lecz podrasowana; choć na minusie, to czytelna. Tym bardziej że do wyobraźni bardziej trafia dystopia niż utopia, a najlepiej dystopia miękka, realistyczna, z zachowanym podkładem teraźniejszości.

I, co w końcu budujące, tylko literatura – a nie Bill Gates, ani nawet Giorgio Agamben czy Slavoj Žižek – mogłaby przez medium postaci powieściowych takie prorocze rozpoznanie stworzyć. To dla powieści honor, ale też szkopał, kiedy czyta się ją nieliteracko, zbierając z wierzchu śmietankę postawionych hipotez.

### Najgorsza i najlepsza

Tym razem Houellebecq napisał małą sagę rodzinną. Potencjalny serial, bo powieść ciągnie się przez 700 stron i mimo paru ziewnięć nie pozwala odpuścić, aby zobaczyć, co stało się dalej z ojcem, braćmi, siostrą i szwagrem. Powieść jest aż nadepicka, posuwa się powoli, autor celebrytuje czas, dokłada szczegółów do zwykłych czynności.

Mniej w niej szokowania i obrazoburstwa, ale powieść okazuje się, jak nigdy wcześniej, cokolwiek niezborna, stylistycznie uproszczona i mocno wiotkowana; ten Houellebecq nie najlepiej podrabia Houellebecqa. Wątek terrorystyczno-fantastyczny porzucony w połowie drogi, dialogi sztuczne, opisy nieraz płaskie, przytoczone obficie sny głównego bohatera nudne i zbędne, kiedy już po pierwszym śnie pojęliśmy, jaką walkę w sobie toczy (sny w prozie sprawdzają się rzadko, a w takiej ilości wcale). Nie ma krytyków mówiących o najgorszej (niektórzy, co bardziej głusi, też o najlepszej) powieści Houellebecqa; z czysto literackiego punktu istotnie nie ma czym się zachwycać.

W zamian może na koniec z wrażliwszych oczu wydobyć łyżę, przez chwilę pozostawić w zadumie, przejąc niektórymi sformułowaniami dotyczącymi ogólnego stanu rzeczy i jakby ostatecznym wypowiedzeniem *credo*. „Serotonina”, powieść przedostatnia i lepsza, irytowała *copy-paste* poprzednich książek pisarza. „Anéantir”, powieść gorsza, również niewolna od przepisywania siebie i starych numerów, oparta na odwiecznym scenariuszu *made in* Houellebecq, zapewne bardziej dotyka. Może dlatego, że mocniej jest w niej obecny, jak ktoś napisał – wykorzystując sformułowanie pisarza o „reszkowym chrześcijaństwie” – „reszkowy humanizm”, nostalgiczna pożywka.

### Nowe normalności

Mamy 2026/2027 rok, czas na kolejne wybory prezydenckie. Pomysł na powieść ➔

→ zrodził się przed pandemią, której skutki pisarz przeskakuje sprytnie i bez słowa. Dziś już widać, że jej wpływ na gospodarkę zaburzałby poważnie nakreślony przez niego obraz ekonomicznej prosperity, jaka miałaby wkrótce zapanować.

Oto bowiem w roku 2027 Francji gospodarczo wiedzie się świetnie pod rządami ustępującego po drugiej kadencji prezydenta, nader inteligentnego liberała. Musi to być Macron czy ktoś *à la*. Co znaczy, że pisarz założył zwycięstwo prawdziwego Macrona w najbliższych wyborach. Świetny minister finansów i gospodarki Bruno Juge (czyli wyidealizowany minister Bruno Le Maire, przyjaciel Houellebecqa zresztą) trzyma dzielnie ster, koniunktura jest dobra, Citroën nie ustępuje w niczym Mercedesowi i Francja wygrywa z konkurencją światową.

Całą resztę dotyka powolna entropia. Dyrektywy europejskie nie mają znaczenia, UE stała się już tylko parawanem, system rządzenia tkwi w stanie nieważkości. Jeszcze skuteczny w konkretach ekonomicznych, lecz bez duchowych fundamentów, zawieszony w teraz, które będzie siebie kopiować aż do ostatecznego wycieńczenia się; wszystko zmierza do, cytuję, „wielkiego kolapsu”. Politykę kształtują sondaże i spin doktorzy, internet rozdaje podrzucane karty, media to mierzwa. Ludzie to samotne, smutne wyspy, życie społeczne toczy się w ogłupiającym nastroju pseudoludycznym. Francja wydaje się truposzem, tyle że całkiem żywym. Podobnie jak schyłkowa Grecja, „której duch przegnił i zastygł w formie” i której „naród już nie żył, ale jeszcze działał jak mechanizm puszczony w ruch”, tak „Francja przestała żyć, Francja już tylko działa”. Z której strony jest ten cytat? Ze 123., pod datą 5 września 1943 r. W „Szkicach piórkiem” Andrzeja Bobkowskiego.

Sytuacja polityczna jest zatem całkiem wyrazista, scenę zajęły różne odmiany prawicy, w tym zieloni; minimalny udział lewicy zbywa się jednym kpiącym zdaniem. *De facto* Houellebecq przedstawia obecny stan rzeczy, francuskiej lewicy, mocniejszej niż u nas, ale rozproszonej, nie udaje się nawet wyłonić wspólnego kandydata na prezydenta i walka o fotel rozegra się za dwa miesiące po prawej stronie. Czy to między Macronem a Le Pen (Zemmour traci jednak poparcie), czy, co całkiem prawdopodobne



Michel Houellebecq, festiwal literacki w Maladze. Hiszpania, 21 kwietnia 2017 r.

(i czego Houellebecq nie przewidział), między Macronem a zdobywającą popularność przedstawicielką proeuropejskiej prawicy konserwatywnej Valérie Pécresse.

Pięć lat później natomiast nie będzie już prawicy skrajnej, czy raczej należałoby powiedzieć, że jej skrajność weszła do społecznego krwiobiegu i stała się normalnością. Ale „macronia”, czyli republika prawicowo-liberalna, trzyma się mocno i wybory 2027 wygra w miarę przekonująco, mając za przeciwnika młodego i zdolnego przedstawiciela bardzo silnej partii lepenowskiej. Ten ogląd „macronii” zgadza się z dzisiejszą, dość powszechną opinią o drodze Macrona podczas pierwszej prezydentury: nadzwyczaj inteligentny kosmita, który przybył spoza partyjnego układu i miał wykreować nieznany dotąd pejzaż polityczny, ostatecznie osadził się na znanych pozycjach. I w niczym nie zatrzymał społecznej degrengolady, która dla Houelle-

becqa zaczęła się wraz z hasłami wolnościowymi w 1968 r.

Sam Paul jest jeszcze „macronistą”; co prawda odchodzący prezydent wyznacza na zastępcę marionetkę z nadzieją, że on sam powróci na stanowisko po pięcioletniej karencji, lecz minister Juge przy pomocy Paula wspiera marionetkę w kampanii. Wiedząc, że za jej rządów to on będzie faktycznie sprawował władzę. Siostra Paula i jej mąż głosują na lepenistów; są bezrobotnymi praktykującymi katolikami i mają powiązania z ruchami „tożsamościowymi”; Brat Paula, konserwator zabytków i chodzące nieszczęście, związał się z jędzą dziennikarką, która, chcąc go poniżyć, odmawia mu potomstwa i daje się sztucznie zapłodnić; na dawcę nasienia wybiera czarnego Kalifornijczyka. To jedyna żoła w powieści, wszystkich innych stać na gesty miłosierdzia i współczucia. Jest w nich coś z pierwszych chrześcijan, tyle że tłumnie wyległych z katakumb. Dostrzegają to na-

wet macroniści, którzy po cichu wyznają zazdrość wobec „ludowej” wiary kontrastującej z duchową pustką, w której sami zalegli. „Rekonkwista” chrześcijańska jeszcze nie nadeszła, lecz jej zapach da się już wyczuć. Wedle sławetnej formuły André Malraux „wiek XXI będzie religijny albo go nie będzie”.

Paul ma w rodzinie nie tylko katolików; jego żona Prudence, z którą żyje w separacji, choć w tym samym mieszkaniu, należy do jednej z wielu religijnych sekt. Sam Paul przeżywa duchowe przeobrażenie; nie pewne, słabo określone. Powrót do dzieciństwa, błaganie się wokół kościoła, dystans wobec własnej politycznej pozycji, ale też powrót do literatury. W dniu wyborów w ostatniej chwili postanawia nie oddawać głosu i oddala się w ten sposób od życia, które prowadzi. Twierdzi się, że to jest „najbardziej polityczna” powieść Houellebecqa, tyle tu najwyższych sfer władzy. Ale równie dobrze można powiedzieć, że „najmniej polityczna” w tym sensie, że jej bohater robi *salto mortale*, skok w głąb siebie, dokonuje exodusu ze skażonego plemienia rządzącej elity, której jedynym celem jest utrzymanie władzy i przetrwanie.

### Pożarci przez przyszłość

Można zatem łatwo narysować linię społecznego podziału, jaki Houellebecq wytacza na bliską przyszłość. Z jednej strony macroniści nihilisci, zdolne bestie, lecz znuzone i wątpliwe w sobie, z drugiej zagubiony lud, który odgrzebuje korzenie, aby odbudować tożsamość. Houellebecq, odwieczny dekadent i, by użyć tytułu powieści Maksa Wolskiego, zawodowy pan Nicuś, kuglarz i treser nicości, przeprowadza szczególną obronę wartości fundujących *minima moralia*. Szczególną z paru względów i nie całkiem katolicką.

Dlatego choćby, że odwraca tradycyjną hierarchię wiekową kształtującą istnienie zbiorowe; wyższą wartość przyznaje się w powieści życiu gasnącemu niż wschodzącemu. Adoruje się starca, a nie dziecko. Można to czytać jako pośrednią krytykę porzucenia starców podczas pierwszej fali pandemii, ale też jako wyraz trwałej infantofobii. Tajemnicza organizacja terrorystyczna, która pojawia się w paru momentach książki, wykonuje kilka antyliberalnych akcji: zatopienie statków z emigrantami; zatopienie chińskich transportowców; zniszczenie duń-

Lekceważący stosunek do starości niszczy sens życia: ponad przeszłość i teraźniejszość, realne osiągnięcia, których dzisiejsi starcy byli autorami, **stawia się hipotetyczną przyszłość, którą mają zbudować dzisiejsze dzieci.**

skiej fabryki magazynującej męskie nasienie.

Przeciwstawienie starzec – infant tworzy drugą i o wiele bardziej interesującą oś podziału. Kulminacją fabularną jest porwanie na prośbę rodziny przez humanitarną bojówkę sparaliżowanego ojca Paula z ośrodka-umieralni dla starców, gdzie dokonuje się rozłożona w czasie eutanazja. Co prawda w dzisiejszej Francji rodzina mogłaby spokojnie ojca wypisać i trudno pojąć, po co ta cała spektakularna akcja, lecz uznajmy jej rolę symboliczną: ze śmierci narzuconej i bezwolnej wydzwignąć się na śmierć własną. Houellebecq przemycza tu ostro krytyczny stosunek do eutanazji, znany z wypowiedzi publicystycznych. Przy dostępie do morfiny i niedocenionych możliwościach hipnozy eutanazja jest dlań niepojęta. „Zwolennicy eutanazji – pisał w liście do „Le Figaro” – zachłystują się słowami »współczucie« i »godność«, przekraczając ich znaczenie do tego stopnia, że nie powinni mieć prawa ich używać”.

Lekceważący stosunek do starości i moralna gotowość na stosowanie eutanazji niszczy sens życia: ponad przeszłość i teraźniejszość, realne osiągnięcia, których dzisiejsi starcy byli autorami, stawia się hipotetyczną przyszłość, którą mają zbudować dzisiejsze dzieci. Takie pogniębienie starości i postawę proprzyszłościową, wadliwie progresywną, nazywa się w powieści po imieniu: to zachodni nihilizm w wydaniu mocniejszym niż Nietzscheańskie rozpoznania. Kiedy dorzucimy do tego przekonanie Paula, że idealizacja dzieci przez kulturę zachodnią fałszuje autentyczny i tak dobrze opisany przez powieść XIX-wieczną

obraz relacji rodzinnych, opartych na logice kapitalistycznego zysku, dotrzemy do głębokiego gardła książki. Ma to być opowieść o powolnym zamieraniu bez przyszłości na horyzoncie i bez ułudy postępu oraz bez nadziei, tego „błędu chrześcijaństwa”.

### Po literaturze

Słowo „nihilizm” skojarzone ze społeczeństwem ponowoczesnym musi nas zastanowić, zbyt często je słyszymy z ust naszych polityków u władzy i hierarchów jako oficjalne narzędzie antyliberalnej krucjaty. We Francji wzbiera ono w myśli niekonięcznie skrajnej prawicy. W książce „Po literaturze”, która wyszła jesienią, Alain Finkielkraut, ateista antypoprawnościowy, wspomina o „nihilizmie współczującym”. Ma na myśli dyskryminacyjne i niszczące działania w imię wszelkiego rodzaju równości i walki z alienacją. „Nie oszczędzając żadnej domeny życia, pasja demokratyczna oczyszcza naszą cywilizację z wszystkiego, co stanowiło jej wartość”. Ostatnim przykładem mogłaby być istotna pozycja sygnalistów, wprowadzana, jak się dzisiaj dowiaduje, do naszych instytucji naukowych (i pewnie wszelakich): usunięcie procedurów nierównościowych, mobbingu itd. wymaga powszechnego kapowania; konflikt moralny niby nie tak wielki, ale jednak – i tak źle, i tak niedobrze – tragiczny.

„Pasja demokratyczna”, stały obiekt Houellebecqowskiej kpiny jako źródła nowego nihilizmu, wyzwala w powieści gesty obronne. Dla Paula takim gestem byłoby nie tylko nadawanie wartości temu, co stare i dokonane. Także brak ciągoty do prokreacji, a w każdym razie akceptacja bezdzietności, by nie mnożyć istnień, które wydane zostałyby procesowi destrukcji w tym społeczeństwie, na tym świecie.

W dystopii znaleźć można jednak drzwi do małej, smutnej idylli. Kruchej, lecz jakoś pełnej. I pod piórem Houellebecqa nieco cikliwej. Miłość/miłosierdzie, seks, lektury, morfina, takie są do niej klamki. Ojcem Paula wywiezionym z umieralni opiekują się najczulej dwie kobiety. Może jeszcze czytać, jeśli przewraca mu się strony, no i jego ciało stać nadal na erekcję. Paul, odmawiając operacji, która zniekształciłaby mu twarz, godzi się na powolną śmierć. Jednak wtedy odżywa jego związek z żoną, →

→ powraca bliskość ciał, tkliwość i troska, do chwili śmierci nie pozostanie sam i na swój sposób będzie spełniony.

Tak, trzeba sobie wyobrazić Paula szczęśliwym. „Choćbym też chodził w dolinie cienia śmierci, nie będę bał się złego”. Żadnych złudzeń, podobnie jak nie miał ich przenikliwy Blaise Pascal, do którego Paul będzie teraz z podziwem wracał. Ale też zdolność do odczuwania piękna w pejzażu. I w beletrystyce. Po drugiej stronie niż Pascal pojawi się Conan Doyle, pisarz dla Paula nadzwyczajny, Szeherazada dla umierającego, mistrz opowieści, która, ona jedna spośród dzieł, nie muzyka, nie poezja, może przynieść pocieszenie.

Pascal od odwagi i Conan Doyle od porządnej powieści. Ale czym jest taka powieść? Dotykamy tu kwestii, która jest i estetyczna, i obyczajowa, i polityczna. Nie sposób nie postawić pytania: jaka jest w nadchodzącej Francji rola kobiet? Te najważniejsze to Marie Magdaleny, łagodne i empatyczne. Dobrze gotują. *Küche, Kirche... Kopulation*. A jeszcze lepiej Fellacja, dar dla leniwych mężczyzn, hojnie przez Houellebecqa w większości powieści rozdawany. Nic dziwnego, że świtają równania: powieść tradycyjna = powieść konserwatywna, reakcyjna = powieść sentymentalna, *ergo* patriarchalna = powieść nie na dzisiejsze czasy = koniec wielkiej powieści w starym stylu.

Te stwierdzenia nie miałyby może znaczenia, gdyby nie stała za nimi wyraźnie zauważalna zmiana. Mianowicie ilościowa eksplozja nowej prozy, zwłaszcza kobiecej, w tym stuleciu. Będącej z gruntu przeciwieństwem „wielkiej powieści”. W Polsce proza ta na ogół jest bardziej artystyczna i ciekawsza językowo od francuskiej; nie ma wątpliwości, że dokonuje się tu estetyczny przełom. We Francji dość często ta proza zamienia się w gołe świadectwo, nieraz oskarżycielskie, rozliczeniowe, albo w ufryzowaną na powieść autobiografię. W każdym razie i tu i tu sposób kreacji jest zupełnie inny niż w przypadku prozy „klasycznej”. Bardziej żywiołowy, mniej konstrukcyjny, fragmentaryczny, bez troski o „epicki oddech”, bez wznoszenia wielkiej budowli,

Odchodzenie od wielkiej powieści i zastępowanie jej doraźnymi książkami jednorazowego użytku  
**zwiastuje ogólną, dotykającą wielu poziomów życia rewolucję kulturalną,**  
dokonującą się nie tylko we Francji.

która uniesie przez kilkaset stron długą, wielowarstwową opowieść.

Z konserwatywnego punktu widzenia byłaby to inwazja literatury „po literaturze”. Odchodzenie od wielkiej powieści i zastępowanie jej prozą mało powieściową czy, gorzej, doraźnymi książkami jednorazowego użytku, zwiastuje ogólną, dotykającą wielu poziomów życia rewolucję kulturalną, która we Francji miała się dokonywać.

### Choroba wieku

W tym świetle powieść Houellebecqa brzmiałaby jak smutnego łabędzia śpiew. Wyjątkowo pieczołowicie przygotowanie przez pisarza grafiki, okładki, zszycie jak dawniej, a nie sklejenie stron (tak, żeby łatwiej byłoby przekładać strony dla sparaliżowanych starców), dodatkowo wzmacnia poczucie nostalgii, jaka towarzyszy przedmiotom odchodzącym w przeszłość. Kto wie, czy nie jest to powieść ostatnia. Gorące podziękowanie dla kilku lekarzy, którzy udzielili mu konsultacji, pisarz zamyka autoironicznym stwierdzeniem: „Udało mi się jakimś cudem dojść do pozytywnego wniosku; czas zatem kończyć”.

Przyjmijmy, że to nie żart. Co zostanie z powieści Houellebecqa? Z tych wielkich inscenizacji w iluś tam wariantach (teatr mój widzę ogromny) upadającego świata? Z tej sprawności łączenia wątków, z pozdrowień wysyłanych w przeszłość (ach, to zakończenie stylizo-

wane, jak sądzę, na finał „Szkół uczuć” Flauberta). „Anéantir” łączy z poprzednimi książkami podobna, Schopenhauerowska koncepcja tragizmu, na którą pisarz sam się powołuje. Nie chodzi o tragiczność wydarzeń stworzonych przez wyjątkowe okoliczności czy podłych ludzi, lecz tragizm, który wynika z samego istnienia, co zakłada raczej, że ludzie są w miarę mili i dobrej woli (w „Anéantir” lajdaków gdzieś wyniosło), choć życie im się wymyka. Podejrzewam, że w przyszłości bardziej niż doraźna diagnoza zostanie z tych powieści rys „schopenhauerowski”, uniwersalny (i oczywiście fellacja), lecz żadna postać nie ustanowi swojego imienia pomnikiem, żadnej Anny Kareniny, żadnego Rastignaca czy nawet Elizabeth Costello.

Balzac, pisząc kolejne tomy, zapominał, że jest tym Balzakiem od specjalnych powieściowych misji; tyle jeszcze było wokół materii do opisanie. W „Anéantir” Houellebecq nie zapomina, kim ma być. Bardziej stara się stworzyć rozległą powieść, utrzymać warsztat, niż wnikać głębiej w opisywaną rzeczywistość. Za dużo epickości, za mało mięszu. Analiza polityczna jest powierzchowna, kliszowa, bohaterowie obli, niewciągający, wątki sensacyjne doczepione na siłę, żeby nie rozczarować czytelnika, filozofowanie o śmierci nie porywa. „Choroba wieku”, *mal de siècle*, bardziej przemawiała i fajniej pokazywała pazury w pierwszych powieściach, kiedy Houellebecq (rocznik 1956) jeszcze nie wiedział, kim jest jako pisarz, a zwłaszcza w debiutanckim „Poszerzeniu pola walki”.

Jednak „Anéantir” wzrusza mnie trochę wysiłkiem, żeby to wszystko zmontować, żeby to się trzymało (no i się trzyma), poprowadzić do końca, dać opowieści niedzisiejszy wolny rytm i, by tak rzec, godność. I nawet bardziej porusza mnie niż śmieszny wyczuwalna w tekście kreacja siebie na wielkiego powieściopisarza, który zaczernia właściwą dla jego sławy liczbę stron. Obawiam się wszak, że minie ileś tam lat, i tak siedząc na tronie, Houellebecq zostanie ze swoimi dwórkami i waletami epickości jak Himilbach z przyszłowiowym angielskim.

© MAREK BIENČYK





ALISON COHEN ROSA / MATERIAŁY PRASOWE HBO GO

Audra McDonald i Denée Benton w serialu „Pozłaczany wiek”, 2021 r.

## Gry w klasy

JAKUB MAJMUREK

**W „Pozłaczanym wieku” tworzą się wielkie fortuny, rosną nierówności i społeczne napięcia. Pytania dotyczą roli pieniądza i milionerów w amerykańskiej demokracji.**

W 2002 R. PODCZAS CEREMONII rozdania Oscarów triumfował „Piękny umysł” – biografia chorego na schizofrenię genialnego matematyka, Johna Nasha. „Gosford Park” Roberta Altmana musiał wtedy zadowolić się jedną statuetką – za najlepszy scenariusz oryginalny. Dla jej zdobywcy, Brytyjczyk-

ka Juliana Fellowesa, nagroda oznaczała przełom w długiej, niespecjalnie spektakularnej karierze aktora drugiego i trzeciego planu. Dzięki „Gosford Park” Fellowes dostał po pięćdziesiątce szansę na drugą karierę: scenarzysty, pisarza i producenta telewizyjnego.

Wykorzystał ją najlepiej jak mógł. Za „Gosford Park” poszły powieści, filmowe i telewizyjne scenariusze, pieniądze i miejsce w Izbie Lordów. Największym sukcesem Fellowesa było bez wątpienia „Downton Abbey” – historia arystokratycznej rodziny Crawleyów, posiadaczy tytułu hrabiów Grantham, zamieszkującej tytułową posiadłość. Na razie powstało pięć sezonów serialu (2010-15, dostępny na Netflixie) oraz dwa filmy kinowe – drugi ma mieć premierę w tym roku.

Także w tym roku widzowie mają szansę zobaczyć pierwszą amerykańską produkcję Fellowesa – serial „Pozłaczany wiek” (HBO), osadzony w świecie

nowojorskiej elity społeczno-finansowej z końca XIX stulecia.

### Reguły gry

Fellowes lubi mówić w wywiadach, że Altman zaprosił go do współpracy przy „Gosford Park” dlatego, że nie mógł znaleźć nikogo innego, kto wiedziałby, jak działa wielka arystokratyczna wiejska posiadłość, z całym skomplikowanym społecznym mikroświatem panów i służ. Fellowes nie do końca jednak pochodził z tego świata. Dorastał w dostatku i przywileju, jednak w rodzinie „zaledwie” z wyższej klasy średniej – jego ojciec był dyplomata, potem pracował dla Shella – ale nie z klasy wyższej, arystokracji. Dla osób nienależących do żadnego z tych dwóch światów różnica może być niedostrzegalna, w dziełach Fellowesa ma ona fundamentalne znaczenie.

Opowieści o świecie jak z „Gosford Park” czy „Downton Abbey” Fellowes znał głównie z relacji krewnych, którzy zdążyli

→ jeszcze osobiście doświadczyć podobnych realiów. Kluczowe miały być zwłaszcza opowieści praciotki, która zadebiutowała w towarzystwie w 1898 r. – to na niej wzorowana była postać hrabiny-wdowy z „Downton Abbey”, Violet Crawley, brawurowo zagranej przez Maggie Smith.

Świat angielskich klas wyższych, ten współczesny i ten sprzed stulecia, stanowi miejsce akcji niemal wszystkich dzieł Fellowesa przed „Pozłacanym wiekiem”. Z jednej strony inscenizuje on splendor dawnych i współczesnych klas wyższych przed oczami widzów, którzy nigdy nie mogli zobaczyć go na żywo; z drugiej poddaje go krytycznej analizie. Chłoszcze postfeudalną elitę biczem satyry, przygląda się konstytuującą jej świat grom i ich regułom. Pokazuje, jak arystokracja zamyka drzwi przed niemal każdym, kto już do niej nie należy, jak mimo rozwoju demokracji i społeczeństwa rynkowego udaje się jej chronić swoje materialne i symboliczne zasoby.

„Gosford Park”, być może ze względu na rolę Altmana jako reżysera, jest ze wszystkich produkcji Fellowesa najbardziej krytyczny wobec arystokracji. Akcja rozgrywa się w 1932 r., w trakcie polowania zorganizowanego w tytułowym majątku. Film ma dwie główne inspiracje. Z jednej strony kryminały w stylu Agathy Christie – w trakcie polowania dochodzi do morderstwa, intrygę organizuje pytanie „kto zabił”. Christie, o czym często się zapomina, choć prywatnie konserwatystka, potrafiła być bystrzą i okrutną obserwatorką wyższych warstw społeczeństwa brytyjskiego, a jej najlepsze powieści czyta się jak znakomitą satyrę społeczną.

„Gosford Park” idzie jeszcze dalej niż Christie, podążając za swoją drugą kluczową inspiracją: filmem „Reguły gry” (1939) Jeana Renoira. On także rozgrywa się w trakcie polowania w arystokratycznym majątku, tylko nie w Anglii, lecz we Francji u schyłku III Republiki. Świat francuskiej elity oglądamy w nim z punktu widzenia outsidera – pilota, który przeleciał przez Atlantyk i przez chwilę stał się atrakcją towarzystwa. „Reguły gry” zaliczane są do „kina Frontu Ludowego” – serii lewicowych filmów powstałych we Francji drugiej połowy lat 30. Renoir nie ma choćby grama sympatii dla elity, którą portretuje: pokazuje jej demoralizację, dwulicowość, chciwość, zwykłą głupotę. Film został po latach uznany za doskonałą diagnozę stanu



MATERIAŁ PRASOWY

„Gosford Park”, reż. Robert Altman, 2001 r.

Francji przed II wojną światową, zapowiedź kompromitującej klęski w 1940 r. i kolaboracji reżimu Vichy.

Także w „Gosford Park” śledztwo odkrywa codzienną przemoc klasową i seksualną wpisaną w rzeczywistość posiadłości, na wierzch wychodzi codzienne zakłamanie. Altman i Fellowes pokazują też, że celebująca swój styl życia postfeudalna elita żyje tak naprawdę pożyczonym czasem historycznym. Własnymi siłami ekonomicznymi nie byłaby w stanie odtworzyć właściwego jej stylu życia. Choć gardzi „nowymi pieniędzmi” i ludźmi, którzy je zdobyli, potrzebuje ich, by przetrwać.

### Między satyrą a apologią

Satyrę na współczesną brytyjską arystokrację przedstawił Fellowes w swojej pierwszej wydanej pod nazwiskiem (wcześniej pisał romanse pod kobiecym pseudonimem) powieści „Snoby” (2004). Narratorem jest wywodzący się z elity aktor, który opowiada historię małżeństwa Edith Lavery, kobiety z wyższej klasy średniej, z dziedzicem tytułu markiza Uckfield i idącej za tytułem monumentalnej rezydencji w Sussex. Akcja rozgrywa się na początku lat 90., tuż przed końcem długich, trwających od pierwszego zwycięstwa Margaret Thatcher (1979) rządów torysów.

Narrator „Snobów” pokazuje, jak nudni potrafią być przedstawiciele arystokracji, jak niewiele kryje się za splendorem niedostępnego dla klasy średniej świata. Sama Edith szybko nudzi się swoim mężem, choć i tak jest on najsympatyczniejszą postacią w swoim kręgu towarzyskim. Arystokraci w „Snobach” nie myślą, przekonani są, że kilka wyniesionych z towarzystwa i elitarnych szkół komunałów zawiera rozwiązanie wszyst-

kich problemów świata i nikt rozsądny nie może mieć innego zdania.

W „Snobach” widać przy tym ograniczenia Fellowesa jako pisarza. To nie jest literatura na miarę Edwarda St Aubyna, który w swoim cyklu powieści o Patricku Melrosie przedstawił opartą na własnej biografii historię wpadającego w kolejne uzależnienia mężczyzny, poranionego przez dorastanie w świecie pełnych hipokryzji i okrucieństwa klas wyższych, zagrożonych w powolnym ekonomicznym i społecznym upadku. Fellowes z jednej strony stara się dekonstruować historię współczesnego Kopciuszka, dzięki szczęśliwemu małżeństwu wyniesionemu do elity; z drugiej ulega jej taniemu melodramatycznemu urokowi. Z jednej strony kpi sobie z arystokracji, z drugiej nie potrafi się wyzłocić od fascynacji jej światem.

„Downton Abbey” idzie jeszcze dalej niż „Snoby” w melodramat, w czarowanie widza spektaklem klas wyższych, elementy krytyki społecznej zostają zepchnięte zdecydowanie na dalszy plan. Tak jak w „Snobach”, narracyjnym wehikułem otwierającym narrację jest międzyklasowe małżeństwo – choć tym razem przybyszem z niższej klasy jest mężczyzna.

Tytuł i majątek hrabiów Grantham może być dziedziczony tylko przez męskich potomków pierwszego hrabiego – jak większość arystokratycznych tytułów w Anglii. Obecny hrabia, Robert, ma wyłącznie córki. Najstarsza żaręcza się z dalekim kuzynem, synem krewnego, który po śmierci lorda Roberta otrzyma Downton Abbey. Problem w tym, że obaj znajdują się na pokładzie Titanica i nie przeżyją katastrofy. Dziedzicem zostaje bardzo odległy krewny, Matthew Crawley.

Matthew pochodzi z linii, która od dawna należy raczej do wyższej klasy

średniej niż arystokracji – zarabia na życie jako prawnik. Rodzina Crawleyów wydaje się oburzona, że ktoś taki przejmie jej majątek, ma problem z tym, by spędzać czas z Matthew na równej stopie. Gdy jedna z córek lorda Roberta mówi, że przecież „potrzebujemy prawników”, jej babka odpowiada, że potrzebujemy też wozaków i nosiwodów, a nie siadamy z nimi przy jednym stole.

Świat Downton Abbey okazuje się jednak znacznie mniej zamknięty, niż się to początkowo wydaje. Matthew po wielu perypetiach poślubia najstarszą córkę lorda Roberta, lady Mary. Do rodziny przyjęty zostaje nawet pracujący w majątku szofer (gdy go poznajemy, jest irlandzkim nacjonalistą korzystającym za zgodą lorda Roberta z jego biblioteki, gdzie czyta dzieła Marksa), który wiąże się z młodszą siostrą Mary i zostaje ojcem jej dziecka.

Fellowes pytany o przyczyny sukcesów „Downton Abbey” odpowiada, że „serial zawdzięcza je po pierwsze recesji drugiej dekady XXI wieku, od której ludzie potrzebowali ucieczki; po drugie zmęczeniu widzów zbyt ambitną, zbyt wiele od nich wymagającą telewizją”. „Downton Abbey” nie jest z pewnością złym serialem, bywa nawet bardzo dobry, ale jego twórcy nie boją się elementów wziętych ze złej telewizji. Narracja czasem spowalnia, jakby chciano dać widzowi czas na przerwę na zrobienie sobie herbaty, nie brakuje melodramatycznych zwrotów akcji rodem z opery mydlanej: powracający zza grobu martwy dziedzic majątku, który okazuje się oszustem, straszne choroby, cudownie ratujące sytuację spadki itp.

### Cnota trwania

W „Downton Abbey” obok melodramatu mamy też ambitniejszą historyczną narrację. Widzimy arystokratyczną rodzinę, której świat i pozycja społeczna – oczywiście jeszcze dziesięć lat przed rokiem 1912, gdy zaczyna się akcja serialu – poddawane są przez historię kolejnym próbom. Rodzinna fortuna znajduje się w egzystencjalnym zagrożeniu po nieudanej inwestycji lorda Roberta, po wojnie zyski z dzierżawy ziemi spadają, by ocalić majątek, trzeba część ziemi wyprzedać. Jednak rodzina Crawleyów, choć z wielkim trudem, za każdym razem potrafi zaadaptować się do zmian.

Podobnie jak bohaterowie „Snobów”. Jak mówi narrator powieści, brytyjskiej arystokracji udało się przetrwać wielki le-

W „Gosford Park” celebrująca swój styl życia

**elita żyje pożyczonym czasem historycznym.**

Sama, własnymi siłami ekonomicznymi, nie jest już w stanie odtworzyć właściwego jej stylu życia.

wicowy zwrot po wojnie, kolejne rządy socjalistów, jakoś dociągnąć do czasów Thatcher, która rozbroiła narzędzia fiskalne państwa zdolne zagrozić międzypokoleniowej transmisji wielkich fortun. Thatcherowska rewolucja obiecywała co prawda dynamiczne, społecznie mobilne, merytokratyczne społeczeństwo, gdzie zasiadła arystokracja miałaby trwać sobie gdzieś na marginesie, bez realnego społecznego znaczenia, ale w „Snobach” Fellowes wydaje się sugerować, że ta część thatcherowskiej rewolucji wyszła co najwyżej połowicznie.

Im Fellowes robi się starszy, tym bardziej w jego produkcjach wybrzmiewa przekonanie, że samo trwanie arystokracji jest jej cnotą, bo wyraża się w nim pewna historyczna ciągłość, dostarczając także ludzkości spoza klasy wyższej poczucia zakorzenienia i sensu. Najsilniej wybrzmiewa to w kinowej wersji „Downton Abbey” z 2019 r.

Akcja rozgrywa się w rok po strajku generalnym, który pokazał natężenie konfliktu klasowego i siłę zorganizowanej klasy pracującej w międzywojennej Wielkiej Brytanii. Jego echa ledwie jednak docierają do Downton Abbey. Do rezydencji przyjeżdża z wizytą król Jerzy V. Crawleyowie mają wątpliwości, na ile taki rytuał ma jeszcze sens we współczesnym świecie. Narracja filmu potwierdza, że ma. Jeden z głównych wątków sprowadza się do rywalizacji o to, kto będzie obsługiwać króla: czy służący z Downton Abbey, czy przywieziona przez monarchę ekipa.

Nawet jeśli klasę wyższą zzerają w kinowym „Downton Abbey” wątpliwości co do jej społecznej roli, to klasy niższe okazują się na głęboko emocjonalnym poziomie przywiązane do świata symbolizowanego przez tytułową rezydencję, lordow-

skie tytuły, monarchię – choć mają w nim miejsce tylko w kwaterach dla służby.

### Transfer na razie nieudany

Nad „Pożyczanym wiekiem”, produkcją amerykańskiego odpowiednika „Downton Abbey”, Fellowes pracował od ponad dziesięciu lat. Projekt rozwijał z telewizją NBC, został on jednak porzucony przez stację z obawy o zbyt duże koszty produkcji. Temat podjęło HBO. Fellowes osadził swoją amerykańską produkcję w tytułowym pożyczanym wieku, ostatniej ćwiartce XIX stulecia. To czas dynamicznego rozwoju gospodarczego Stanów, które w 1890 r. po raz pierwszy stają się największą gospodarką świata. Tworzą się wielkie fortuny, czemu towarzyszą rosnące nierówności i społeczne napięcia wokół roli pieniądza i milionerów w amerykańskiej demokracji.

Akcja w niewielkim stopniu pokazuje ten szerszy kontekst. Centrum serialowych wydarzeń skupia się, przynajmniej w pierwszych odcinkach, na jednej nowojorskiej ulicy. A właściwie w przestrzeni między dwoma stojącymi przy niej domami. W pierwszym mieszka Agnes van Rhijn, wdowa reprezentująca „stary Nowy Jork” – rodziny dominujące na jego społecznej scenie od czasów, gdy miasto było jeszcze Nowym Amsterdamem. Do drugiego wprowadza się rodzina Russellów, reprezentująca „nowe pieniądze”. Bertha Russell marzy, by wejść do świata van Rhijnów i innych starych rodzin, stara elita broni się przed nową.

Po pierwszych odcinkach trzeba niestety powiedzieć, że amerykańska produkcja Fellowesa raczej rozczarowuje. Widać, że czuje on amerykańskie konteksty znacznie gorzej niż brytyjskie. W „Downton Abbey”, przy wszystkich niepoważnych melodramatycznych zwrotach, mieliśmy realną historyczną, egzystencjalną stawkę: przetrwanie tytułowego majątku, reprezentowanych przez niego wartości i stylu życia w XX wieku. W „Pożyczanym wieku” stawki – wejść do wymarzonego zamkniętego salonu, ochronić go przed „arywistami” – nie wydają się poważne i warte uwagi.

Być może taka produkcja potrzebuje jeszcze czasu, by zaskoczyć i się rozkręcić, ale na razie „Pożyczany wiek” wygląda na kolejny przykład, że nie wszystkim gładko się podróżuje przez Atlantyki.

© JAKUB MAJMUREK

# Depesze ze Starego Świata

ADAM ROBIŃSKI

**Patrick Fermor dostaje listy polecające, dzięki którym otwierają się przed nim drzwi dworów i pałaców starych arystokratycznych rodów, będących już tylko cieniem dawnej świetności. Zapowiadając epokę totalitaryzmów, dokumentuje rozmywanie się poprzedniej.**

W ODMĘTACH YOUTUBE'A ZNALEŹĆ można stare nagranie greckiej telewizji z początku lat 70. Studio jest dość prząsne: czarno-biała szachownica na podłodze, kwiat doniczkowy na stole, gołe ściany za plecami. Prowadzący, Nico Mastorakis, z fryzurą Kazimierza Deyny. Oklaski w tle, bo *talk-show* musi mieć publiczność na żywo. W fotelu gościa dystyngowany Anglik, który płynną greką odpowiada na pytania. Co jakiś czas wstaje, żeby wziąć w objęcia kolejne wchodzące na scenę osoby: posiwiatłych, zgarbionych Greków, przyjaciół z kreteńskiej partyzantki. Nie widzieli się od prawie trzydziestu lat, więc emocje są zrozumiałe. Ale najwięcej uśmiechów budzi inny człowiek.

Heinrich Kreipe porusza się powoli, trzymany pod ramię przez kogoś z produkcji, żeby się nie wyrzucił. Uściski dłoni, powitania. Płynnie lawiruje między greckim a niemieckim, tłumaczy z jednego języka na drugi. „Po dwudziestu ośmiu latach echa wojny spychane są na drugi plan. Wrogowie z łatwością stają się przyjaciółmi. Nie ma ani zwycięzców, ani przegranych. Nieważne kto wygrywa, po wojnie są tylko przegrani. To dlatego 77-letni generał Heinrich Kreipe przyleciał aż z Hanoweru, by uścisnąć dłoń człowieka, który doprowadził jego wojskową karierę do tak smutnego końca” – mówi spoza kadru Mastorakis.

Uprawdzili go z przedmieść Heraklionu w kwietniu 1944 r. Dwóch Brytyjczyków w niemieckich mundurach zatrzymało samochód Kreipego nieopodal jego willi. Sfabykowane dowody miały sugerować, że Niemiec został wywieziony z Krety na pokładzie łodzi podwodnej. W rzeczywistości porywacze ukryli go na niemal miesiąc w górach.

Któregoś dnia, gdy zrezygnowany Kreipe stanął przed kryjówką i na chwilę

zapomniał o swojej niedoli, wykształconemu klasycznie oficerowi w duszy zagrał Horacy. Nawet się nie zorientował, że recytuje go w oryginale na głos, a gdy przerwał, za plecami usłyszał ciąg dalszy. Jeden z jego porywaczy najwyraźniej czytał te same książki. Potem mówili – Kreipe i Patrick Leigh Fermor, a więc ten, który podjął się uprowadzenia generała, a po latach ściszał się z nim w telewizyjnym studiu – że ujrzeli w sobie wówczas nie Niemca i Brytyjczyka, ale dwóch Europejczyków o wspólnych korzeniach. I choć misja doprowadzona została do końca: Kreipe ostatecznie wyszedł z niewoli dopiero dwa lata po wojnie, a Leigh Fermor otrzymał za swoje zasługi Order Imperium Brytyjskiego, to – jak słusznie zauważył po latach Mastorakis – obu pogłębiła świadomość, że w bratobójczej wojnie przegrała cała Europa.

## Kufel, papier i ołówki

Młodzińcze lata Patricka Leigh Fermora były równie burzliwe jak dorosłość. W 1916 r., zaraz po jego narodzinach, rodzice i siostra przenieśli się z Wielkiej Brytanii do Indii. Trwała wojna, więc mały Paddy miał do nich dołączyć dopiero wtedy, gdy na oceanach zrobi się bezpiecznie. Cztery lata przemieszczał u obcej rodziny na angielskiej wsi. Rodziców spotkał ponownie dopiero kilka lat później. Zobaczyli w nim pozbawionego jakiegokolwiek dyscypliny dzikusa, który nie jest w stanie usiedzieć w miejscu.

Nadpobudliwość sprawiła, że choć potwornie zdolny, nie mieścił się w ramach systemowej edukacji. Po tym, jak wyrzucono go z najstarszej brytyjskiej szkoły King's School w Canterbury, planował pójść do akademii wojskowej Sandhurst. Z czasem zmienił jednak zdanie. Przeniósł się do Londynu, gdzie zajął się przede wszystkim czytaniem i balowaniem. „Co

poszło nie tak? Myślę, że teraz wiem. Kac po wczesnodziecięcej anarchii – bo cóż innego? – popychał mnie ku wzorowanym na lekturach próbom, by na siłę upodobać życie do literatury: przekładałem idee na czyny najszybciej, jak mogłem, uprzedzając jakąkolwiek myśl o karze lub niebezpieczeństwie, co skutkowało chaosem” – pisał po latach do przyjaciela w liście, który stał się wstępem do „Czasu drogi”, najsłynniejszej z jego książek.

Decyzję o tym, by rzucić wszystko i po prostu pójść przed siebie, podjął właśnie w ten sposób. Spontanicznie, niemal z dnia na dzień, upatrując we włościach odpowiedzi przede wszystkim na kłopoty finansowe. Przekonywał sam siebie, że jeśli przez rok żywić się będzie chlebem, serem i jabłkami, to zostanie mu trochę gotówki na papier, ołówki i okazjonalny kufel piwa. Ten papier i ołówki to dlatego, że postanowił po drodze zostać pisarzem. Oryginalny tytuł „Czasu drogi” to „A Time of Gifts”, czas podarków. Leigh Fermor wyrusza 8 grudnia 1933 r., tuż przed Bożym Narodzeniem. Jako pożegnalny prezent od matki dostaje pierwszy tom dzieł Horacego.

## Z rąk do rąk

Wydany właśnie po polsku „Czas drogi” to opowieść o wędrowcu niewinnej. Osiemnastolatek ma wobec świata ogromny kredyt zaufania, a cel, Konstantynopol, wydaje się być odległy jak Księżyc. Ten dystans pozwoli mu rozciągnąć owe lata prezentów do granic pojmowanych wyobraźni. Odwlec w czasie i przestrzeni zakręt, za którym czai się dorosłość. Literaturoznawcy nazwą tę podróż najdłuższym *gap year*, rokiem przerwy, w historii. Zakończy go dopiero wybuch II wojny światowej i błyskawiczna decyzja o powrocie do ojczyzny, a potem służba wojskowa.

W latach 30. Leigh Fermor obserwuje kontynent, który wciąż wydaje się być z siebie bardzo zadowolony. Choć w Niemczech odbywają się już defilady, podczas których w rytm pieśni Horsta Wessela łopoczą flagi ze swastykami, to Europa wciąż jeszcze nie ma pojęcia, czym zakończy się populistyczny eksperyment. Anglik je dostrzega, ale tyle samo uwagi poświęca architekturze, krajobrazowi i napotykanym po drodze zwykłym ludziom.

„Podróż, zwłaszcza tego rodzaju, odsyła wprost do malarstwa. Miałem wiele do



Patrick Leigh Fermor, Itaka, 1946 r.

JOAN LEIGH FERMOR TRUST / NATIONAL LIBRARY OF SCOTLAND

przemyslenia, gdy szedłem przez okryte śniegiem klasztorne sady, wśród rozłożonych dalej cichych pól, i po raz setny od wylądowania w Holandii przyszło mi do głowy, że jak dotąd jeden malarz przewodniczył każdemu etapowi tej Winterreise. Kiedy nie było widać żadnych budynków, wracałem do średniowiecza. Ale w momencie, gdy na scenę wkraczała pojedyncza zagroda lub wioska, byłem w świecie Pietera Bruegla” – pisze, zauważając zgarbionych pod ciężarem ładunku chłopów, zakapturzone dzieci wybiegające z wiejskich szkół, ścięte lodem kanały melioracyjne.

Rytm wędrówki wyznaczają prozaiczne czynności i niemal codziennie kończy się ona tak samo: Leigh Fermor z satysfakcją dociera do karczmy, suszy buty przy kominku, przy kolacji i piwie robi notatki. Następnego dnia rano, korzystając z gościnności gospodarzy, bierze się za zwiedzanie. Czasem jest przekazywany niemal z rąk do rąk. Dostaje listy

polecające, dzięki którym otwierają się przed nim drzwi dworów i pałaców starych arystokratycznych rodów, będących już tylko cieniem dawnej świetności. Zapowiadając epokę totalitaryzmów, dokumentuje rozmywanie się poprzedniej.

### Ekspozaty

Wspomniane wcześniej notatki to temat, przy którym trzeba się na chwilę zatrzymać. Choć podróż Anglika ostatecznie trwała rok, zgodnie z planem, to jednak z uwagi na wojnę nie zrealizował drugiej jego części. Stambuł nie zrobił z niego pisarza. W dużej mierze dlatego, że skrupulatnie wypełniane treścią notesy zostały mu po drodze ukradzione. Literackim debiutem Leigh Fermora okazała się dopiero książka o Karaibach, które odwiedził pod koniec lat 40.

Z czasem, gdy blask otrzymanych za wojenne zasługi orderów trochę zbladł, zajął się dziennikarstwem. Na początku lat 60. amerykański magazyn zamówił

u niego artykuł o przyjemnościach pływających z długodystansowych wędrówek. To był dobry pretekst, by wrócić do marszu przez Europę. Sęk w tym, że skoro nie miał notatek, musiał pisać z pamięci. Ale jeszcze więcej kłopotów sprawiło mu skompresowanie rocznej podróży do postaci tekstu o długości kilku tysięcy słów. Absurdalność zamierzenia zrozumiał, gdy dotarł z narracją w okolice granicy węgiersko-rumuńskiej. Zajął się więc samą końcówką podróży, ostatecznie publikując w magazynie fragment opisujący marsz od Rumunii do Konstantynopola. Jednak pomysł, by ostatecznie wziąć się za bary z całością, został w jego głowie.

W 1965 r. udał się na południe Europy na spotkanie z rumuńską szlachcianką, jedną ze swoich dawnych miłości. Okazało się bowiem, że przez dwie i pół dekady pilnowała ona jak oka w głowie jedynego notesu Leigh Fermora, który nie zginął w podróży. Właśnie tego, w którym opisał ostatni etap wędrówki. I kiedy pisarz raz jeszcze zanurzył się w swoich wspomnieniach, nic mu się w nich nie zgadzało. Dwie wersje tej samej historii – ta pisana na bieżąco w notesie i ta opublikowana po latach w gazecie – były diametralnie różne.

„Paralaksa” – tak miała się początkowo nazywać książka, która ostatecznie ukazała się w 1977 r. (drugi tom, „Between the Woods and the Water”, w 1986 r.; trzeci, „The Broken Road”, pośmiertnie w 2013 r.). Niezgodność dwóch różnych widoków tego samego obiektu spowodowana odmiennością perspektyw. Łącząca naiwność, otwartość i przebojowość osiemnastolatka z mądrością, refleksją i stonowaniem sześćdziesięciolatka. Literacki zabieg zdradzany jakby mimochodem, wtrąceniami typu „wtedy jeszcze nie wiedziałem, że...”. Efekt jest niepowtarzalny, choć – czego się można domyślić – po publikacji wzbudził pewne kontrowersje natury faktograficznej.

Leigh Fermor to jeszcze jeden pisarz-podróżnik z łatką tego, któremu zdarza się koloryzować. Pytany przez swoją biografkę Artemis Cooper, czy przez Rumunię faktycznie jechał konno, odpowiadał zmieszany, że nie, ale wsadził się po fakcie na konia, bo wydawało mu się, że tak będzie ciekawiej.



→ Mając na uwadze obraz Europy, który maluje Leigh Fermor, wszystkie te wątpliwości i wbijane szpileczki wydają się jednak błahe i nieistotne. Tym bardziej że współczesny czytelnik może dodać jeszcze jedną perspektywę. W Nadrenii osiemnastolatek zaprzyjaźnia się przy piwie z gromadą fabrycznych pomagierów, którzy w barze kończą wieczorną zmianę. Jeden z nich, rówieśnik Anglika, oferuje mu nocleg na łóżku polowym. „Kiedy wspieiliśmy się po drabinie na strych, pokój okazał się świątynią hitlerianów. Ściany miał obwieszane flagami, fotografiami, plakatami, hasłami i symbolami. Na wieszaku wisiał starannie wyprasowany symbol SA” [oddziałów szturmowych NSDAP – red.].

Chłopak starannie objaśnia poszczególne eksponaty, z dumą rozkłada i składa pistolet automatyczny, tańczy z nim i celuje do wymaginowanych celów. Kiedy Leigh Fermor nieśmiało zauważa, że wewnątrz jest nieco klaustrofobiczne, robotnik tylko się śmieje: „Powinieneś to widzieć w zeszłym roku! Uśmiełbyś się! Wszystko tutaj było w czerwonych flagach, gwiazdach, młotach i sierpach, wszędzie wisiały zdjęcia Lenina oraz Stalina (...). Nagle, kiedy Hitler doszedł do władzy, zrozumiałem, że to wszystko bzdury i kłamstwa. Uświadomiłem sobie, że to Adolf jest dla mnie mężczyzną. Tak nagle! (...) Tamci faceti w barze, których widziałeś... Każdy z nich! Wszyscy są teraz w SA. Miliony! Mówię ci, byłem zaskoczony, jak łatwo wszyscy przeszli na drugą stronę”.

Leigh Fermor daje kolejny dowód na to, że dobra literatura jest ponadczasowa.

© ADAM ROBIŃSKI

*Patrick Leigh Fermor* **CZAS DROGI,**  
przeł. Ewa Ledóchowicz,  
*Książkowe Klimaty, Wrocław 2021*



MATERIAŁY PRASOWE GUTEK FILM

Kadr z filmu „Matki równoległe”

## Losy matek

ANITA PIOTROWSKA

**Więzy krwi są ważne, jednak w nowym filmie Almodóvara afirmacja rodziny kolejny raz zmienia się w pochwałę postrodziny, obejmującej ciepłym uściskiem cały patchwork.**

**P**ODOBNO SYMETRIA JEST ESTETYKĄ idiotów. Zdają się temu przeczyć renesansowe malowidła, ale także kształt motyla, płątka śniegu i – z grubsza – ludzkiego ciała. Symetrię budują paralele i lustrzane odbicia. Podczas gdy w przyrodzie są synonimem harmonii i porządku, w sztuce oraz w myśleniu bywają wyrazem estetycznego lub intelektualnego uproszczenia (patrz: brzydkie słowo „symetryzm”). Pedro Almodóvar w najnowszym filmie „Matki równoległe” bez wątpienia hołduje pierwszej wizji, zaczerpniętej z porządku natury. Mnoży więc wszelakie równoległości i poszukuje w nich wzajemnego dopełnienia czy wręcz ładu idealnego. Do pewnego momentu świetnie mu się to udaje.

Już w początkowych scenach od razu przeskakujemy z łóża namiętności na łóżko porodowe. A sąsiaduje ono z innym łóżkiem, by spleść ze sobą na zawsze losy dwóch matek, młodszej i starszej, wraz

z ich nowo narodzonymi córkami. Rozkosz i ból, narodziny i śmierć, przeszłość i teraźniejszość będą odąd bezwstydnie przeglądać się w sobie. Może to dotyczyć również naszych emocji, rozpiętych pomiędzy rozbawieniem i wzruszeniem, zażenowaniem i zachwytem.

Od pierwszych scen jesteśmy bowiem w zamkniętym, dobrze znanym uniwersum Almodóvara. Krzykom rodzącej towarzyszą smyczki Alberta Iglesiasa, jedną z położnic gra Penélope Cruz, która rozbiła ćwierć wieku temu w kinie hiszpańskiego reżysera, a jej prywatne zdjęcie, jako niemowlęcia z matką-hipiską, staje się tu filmowym rekwizytem. Na porodówkę wpada też z wizytą ekstrawagancka Rossy de Palma, aktorka-ikona, współpracująca z don Pedrem jeszcze dłużej, bo od 1987 r. Kiedy jednak w tego rodzaju samozwrotnym kinie, silnie grającym na emocjach i równocześnie biorącym je w cudzysłów, zaczynają się poważne rozliczenia z pamięcią narodową sięgającą epoki Franco, pojawia się wątpliwość. Czy twórca dotychczas tak świadomie i hojnie gospodarujący kiczem tudzież walczący nim z postfrankistowską traumą sam nie padł właśnie jego ofiarą?

Zanim pojawi się ta zjadliwa refleksja, „Matki równoległe” pozwalają cieszyć się sobą i sycić. Pod warunkiem oczywiście, że odkurzymy konwencję tzw. almodramy – zanurzonej w estetycznym i obyczajowym ekscesie, czerpiącej ironicznie z latynoskiej telenoweli, a zarazem wypełnionej pasją, w znaczeniu afektywnym, jak i twórczym, metafilmowym (czego wspaiałym ukoronowaniem był poprzedni, w dużej mierze autobiograficzny

**RADIO  
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30  
na antenie Radia Kraków  
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM

Andrychów – 98,8 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM | Gorlice – 97,4 FM

www.radiokrakow.pl

film Almodóvara, „Ból i blask”). Dopiero wtedy zdzierżyć można, a nawet polubić, psychologię grubymi nićmi szytą, w tym wypadku jaskrawo czerwoną i zieloną. Zresztą kontemplacja rozmieszczonych na filmowym płótnie barwnych ściegów i plam daje czystą zmysłową przyjemność, nie wspominając o przeciwstawnej symbolice tych dwóch kolorów (podobnie wykorzystała ją ongiś Kantemir Bałagow w „Wysokiej dziewczynie”).

Estetyka kadru, z jego symetrią włączającą, pociąga za sobą rozbuchaną analogię wątków. Bo Janis (w tej roli oscarowa Cruz) i Ana (tu aktorskie objawienie o nazwisku Milena Smit) nie wyjdą nigdy z tych swoich łóżek równoległych – prędzej przerobią je na łóżka prostopadłe połączone. Dwa samotne macierzyństwa, chciane i niechciane, spóźnione i przedwczesne, owoc namiętności i owoc cierpienia, przecinają się u Almodóvara bez oglądania się na prawdopodobieństwo. Napędza je energia opowieści, która swadą, wdziękiem, eliptycznym skrótem synchronizuje to, co wydaje się niemożliwe bądź nonsensowne.

Autor „Wszystko o mojej matce” najwyraźniej próbuje powtórzyć fenomen filmu z 1999 r., krążąc wokół podobnej tematyki. Macierzyństwo w jego twórczości urosło już do obsesji i mogłoby stanowić przepyszny materiał dla psychoanalizy, nie wspominając o fakcie, iż pięciokrotnie obsadzał w swych filmach rodziną Almodóvar, Franciscę Caballero. I tym razem Almodóvar próbuje dotrzeć do naszych emocji za pomocą różnych postaci transgresji, związanej chociażby z seksualnością bohaterki czy ze sposobem opowiadania o niedawnej historii kraju. Albo z samym konceptem macierzyństwa rozumianego zrazu jako biologiczna więź.

W nowym filmie kilkakrotnie oglądamy sceny wkładania wymazówki do czyjejś jamy ustnej celem pobrania DNA. Chodzi o ustalenie pokrewieństwa, zresztą nie tylko w przypadku niemowlęcia i jego rodzica – rytuał ten powtarza się wśród krewnych Janis czekających na ekshumację swoich bliskich, zabitych przez falangistów podczas wojny domowej. Choć przecież genetyka nie determinuje tutaj wszystkiego. Więzy krwi są ważne, jednak u Almodóvara afirmacja rodziny kolejny raz zamienia się w pochwałę postradziń, obejmującej ciepłym uściskiem cały *patchwork*, uformowany wokół Ja-

nis i Any. Stąd poznana w szpitalu „matka równoległa” z łatwością wcieli się w matkę symboliczną dla nastoletniej rodzicielki, zastępując w tej roli jej biologiczną matkę. Czyli zagraną przez Aitanę Sánchez-Gijón egocentryczną aktorkę, postać też z krwi i kości almodóvarowską. Po drodze historia obrośnie w nowe komplikacje i jeszcze bardziej upodobni się do opery mydlanej, aczkolwiek wiele zależy od naszych ustawień domyślnych.

Niedawno w mediach społecznościowych, obłudnie strzegących niewinności maluczkich, zamieszczenie zrobił plakat do filmu. Na czerwonym tle widniało czarno-białe oko – jego źrenicę stanowił realistycznie przedstawiony kobiecy sutek ze zwisającą kroplą mleka zamiast łzy. Tym właśnie są „Matki równoległe”: hybrydą dosłownej łązowości i ryzykownego przekroczenia, kinem nieznośnie umownym i jednocześnie chwytającym za gardło. I tak jak trudno brać na serio namalowany w filmie obraz samotnego macierzyństwa (nie dość, że ostentacyjnie burżujskie, w otoczeniu nianiek i pań sprząających, to na dodatek sterylne i jakże gustowne), tak samo trudne wydaje się połączenie zwariowanej almodramy z uroczystym rozdrapaniem hiszpańskich ran.

Jest to z pewnością najbardziej kontrowersyjny z licznych paralelizmów tego filmu. Być może powinien być on zakończyć się trochę wcześniej – np. odjazdem kolorowej postrodziń na wykopalska, bez marszu pamięci i apelu poległych. Reżyser chciał jednak inaczej i zapewne trochę przestrzelił. Obudził się w nim patriota, kustosz pamięci, patolog sądowy i objawiający się raz na jakiś czas Almodóvar plebejski, który opuszcza na chwilę madryckie elity i udaje się do swojego wyobrazonego puebla. Ale kto mistrzowi zabroni? Powstał przede wszystkim film o „donkiszoterii macierzyństwa”, jak mówi o nim urodzony w La Manczy reżyser, zamieniając pulę w złoto. Dzięki aktorstwu zaś telenowelowe bohaterki, kruche i silne zarazem, okazały się całkiem przekonującą odtrutką na zakłamywanie przeszłości i przyszłości. ©

**MATKI RÓWNOLEGŁE** („*Madres paralelas*”) – reż. Pedro Almodóvar. Prod. Hiszpania 2021. Dystryb. Gutek Film. W kinach.

## WARTO ZOBACZYĆ

### 1. Moje wspaniałe życie



Komediodramat, reż. Łukasz Grzegorzek, Polska 2021, Netflix, od 28 II  
Jeden z najlepszych polskich filmów minionego roku, wyróżniony również przez „TP”, jest jak główna bohaterka – buntuje się, ale nie sieje zniszczenia. Opowieść o przeciętnej rodzinie z Nysy to słodko-gorzkie spojrzenie na udutki bycia razem, rozpisane na wiele postaci, ale przede wszystkim oddające głos kobiecie. Plus świetne role Agaty Buzek, Jacka Braciaka i Adama Woronowicza.

### 2. Krafftówna w krainie czarów



Dokumentalny, reż. Maciej Kowalewski, Piotr Konstantinow, Polska 2021, VoD  
Zmarła przed miesiącem aktorka pozostawiła po sobie nie tylko wspaniałe role u Hasy, Kutza czy Wilczyńskiego. W filmie otwiera przed nami własny magiczny świat, w którym przegląda się kawał polskiej historii, osobiste doświadczenia czy kreacje teatralne. Z monologów Barbary Krafftówny i fragmentów jej występów udało się stworzyć bardzo niekonwencjonalny portret.

### 3. Ostatni pojedynek



Historyczny, reż. Ridley Scott, USA 2021, VoD  
W średniowiecznej scenarii staje naprzeciw siebie dwóch francuskich rycerzy, by rozstrzygnąć sprawę gwałtu na żonie jednego z nich. Wydarzenia poznajemy z trzech różnych perspektyw, ale stawką, zgodnie z duchem naszych czasów, jest sytuacja kobiety w dobie patriarchy. Twórca „Pojedynku” z 1977 r. stworzył tu epickie kino w starym stylu, wzbogacone o nową refleksję etyczną.

### 4. Gagarine



Dramat, reż. Fanny Liatard, Jérémy Trouilh, Francja 2020, VoD  
Tytułowy kompleks mieszkaniowy na przedmieściach Paryża powstał w latach 60., nazwano go na cześć radzieckiego kosmonauty. Kiedy ma zostać wyburzony, czarnoskóry nastolatek Yuri postanawia za wszelką cenę uratować to miejsce, zamieniając je w... statek kosmiczny. Efektem jest przejmujące kino łączące realizm magiczny z wątkiem społecznym.

JAN

## Klata: Ostatnia walka Dakotów



HOKEIŚCI I KIBICE KLUBU FRÖLUNDA z Göteborga mają problem. Problem noszą centralnie na bluzach: jest to sugestywny frontalny wizerunek tego tam, no, jak to się dawniej mówiło – Indianina. W spektakularnym pióropuszu i barwach wojennych, oczywiście. Geneza Frölunda Indians bierze się stąd, że są z zachodu Göteborga, więc westernowe skojarzenia z dawnych lat, a skoro nie kowboje, to kto? Więc od kilkudziesięciu lat są Indianami. Jednakowoż czasy się zmieniają i niektórzy się z nowymi czasami słabo rymują, na przykład tata Pippi Långstrump alias Fizi Pończoszanki. Przypomnę, że swego czasu był on królem, ale czym królem, to już nie przypominę...

Mecze hokejowe rozgrywają się w hali Scandinavium, nieopodal zgrupowania Willi Śmiesznotek oraz basenu o wdzięcznej nazwie Valhalla. Drugie największe miasto Szwecji wypełnia się wtedy Indianami. O dziwo, kibice hokejowego klubu Frölunda lubią być Indianami, co budzi kontrowersje. Jakiś czas temu właściciele i zarząd postanowili odświeżyć trącący myszką wizerunek i za okragły milion szwedzkich koron wynajęli specjalistów od rebrandingu. Na początku lutego tego roku z wielką pompą odsłonięto nowe logo, mające skutkować tym, że od teraz będą dwie litery F składające się w literę H, co symbolizować ma otwartość, innowacyjność oraz hokej.

Kibice odrobinkę się zdenerwowali, i nie wahali się dać temu wyraz. Wyraz był niecenzuralny, powtarzany po wielokroć, na piśmie i w telefonach do zarządu. W efekcie po dwóch dniach nawalnicy wrócił stary wizerunek. Od razu przyznam, że książkę Szklarskich o heroicznej a beznadziejnej walce Dakotów czytałem kilkadziesiąt lat temu, całym dziecinnyim serduszkim będąc po stronie Indian, kibicowałem im zagorzale, czułem się członkiem ginącego plemienia. Jednak myślę, że na dłuższą metę również dni Indian z Göteborga są policzone. Albowiem – jak to mawiał Mahatma Ghandi – „z władzą jeszcze nikt nie wygrał”. ©

## Lektor: Między epokami



■ Hanna Popowska-Taborska  
**ZAPISYWANE Z DOSKOKU**  
Wydawnictwo Akademickie Sedno,  
Warszawa 2022,  
ss. 380.

MIAŁA TO BYĆ HISTORIA dla córki, Agnieszki Taborskiej, pisarki i badaczki surrealizmu – notatki sporządzane zrazu „wyłącznie z myślą o niej i tylko dla niej”. Powstała pełnokrwista księga wspomnień będąca czymś znacznie więcej niż dokumentem rodzinnym. Uczona sławistka, autorka mnóstwa prac naukowych, współautorka piętnastotomowego „Atlasu językowego kaszubszczyzny” i „Słownika etymologicznego kaszubszczyzny”, dopisała ważny rozdział do dziejów polskiej inteligencji.

Lewicowej i antyklerykalnej, z piękną kartą wojenną, po II wojnie odrzucającej nowy ustrój, podejmującej jednak pracę intelektualną i tworzącej enklawy duchowej wolności. Zaangażowanej w pierwszą Solidarność i opór w stanie wojennym, a dziś mocno rozczarowanej. Jest tu dystans, jaki daje wiek złączony z dobrą pamięcią – wrażliwą, ale trzeźwą i niesentymentalną. Jest ostre widzenie spraw i ludzi, niepozabawione humorem, ale też dozy gorzkości. „Nie wiedziałam do niedawna, ile

odwiecznej głupoty kryje się w tym społeczeństwie, z którego przez większość swego życia byłam tak dumna”, „sądzone mi jest nieustannie pozostawać w opozycji”. I parę dobitnych przykładów z wolnej już Polski, jak sprawa oświadczeń lustracyjnych czy krzyży na „żwirowisku” przy obozie Auschwitz. A wcześniej? Genealogie rodzinne, warszawskie gimnazjum Wandy Szachtmajerowej, wojenne harcerstwo. Konspiracyjna działalność ojca-lekarza (państwo Maria z Grabowskich i Stanisław Popowscy mają drzewka w Yad Vashem). Powstanie, koszmar Zieleniaka, Pruszków, obozy. Powrót do Warszawy, potem Łódź, gdzie ojciec otrzymał katedrę pediatrii, a wśród gimnazjalnych koleżanek Hanny znalazła się Wisia – wtedy

„reakcja” doskonała, w przyszłości złowroga prokurator Bardonowa. Studia, pierwsza praca w Państwowym Instytucie Wydawniczym – i stalinizm na co dzień. Później Polska Akademia Nauk i życie codzienne naukowca w PRL-u... aż po udział w komisji wyborczej 4 czerwca 1989 r. Opowieść żywa, pełna wyrazistych portretów i odtwarzająca zarówno ówczesne realia, dla większości dziś niepojęte, jak i przywołująca inteligencki etos, dla autorki będący czymś oczywistym, dziś niestety w odwrocie. Przyjaciółka i rówieśniczka prof. Taborskiej, świetna socjolożka prof. Hanna Świdzińska napisała książkę o ich pokoleniu, tytułując ją „Urwany lot”. Jakich jednak wspamiętałych ludzi to ciężko doświadczone pokolenie wydało! ©P

PAWEŁ

# Bravo:

## Wymiary umiaru



O DZIESIĘĆ PROCENT MA SPAŚĆ JUŻ W TRAKCIE trzech najbliższych lat spożycie alkoholu w Europie. Taki przynajmniej „kamień milowy” znajduje się w założeniach nowej świetlanej strategii unijnej „Pokonać raka”. Przez kilkanaście miesięcy polityka zdrowotna kojarzyła się tylko z koronawirusem, ale

nie zmienia to faktu, że Unia wyznaczyła sobie niedawno taki cel. Pokonać raka. Śmiała obietnica. Ktoś mógłby nawet pomyśleć, że to tylko takie mydlenie oczu, żeby wydębic więcej pieniędzy na projekt. A może raczej pycha, uboczny skutek bycia u władzy, ta diabelska siła zdolna wielkich rzek zawracać bieg. Dziś w Unii za dużo mają do powiedzenia Zieloni, więc zamiast przekierować Dunaj do Bałtyku, próbując się wtłaczać rzekę ludzi w różne kanały biegnące donikąd.

Dlaczego akurat 10, a nie 8,2 albo 12 procent? Okrągła liczba lepiej wygląda na prezentacji, zobowiązania przedzjadowe też obiecywały dodatkowe dostawy profili dwuteowych walcowanych w pełnych setkach tysięcy ton. Wskaźnik jest wzięty z sufitu, ale sam rząd wielkości świadczy o niebywałej ambicji. Trzeba przygotować tęgie środki przymusu bezpośredniego albo nie mieć błędnego pojęcia, jak powoli przebiegają zmiany obyczaju, żeby dekretować tak szybki spadek spożycia czegoś, co – w przeciwieństwie do jagód acai czy tosta z avocado – towarzyszy wszystkim kulturom europejskim od zawsze. I w każdej z nich bywa reglamentowane przez fundamentalne normy, także religijne. Ale te ograniczenia są z kompletnie innego porządku niż urzędniczy dekret, choćby i podparty autorytetem instytucji odpowiedzialnych za zdrowie publiczne.

Nauka zaś – czyli w tym przypadku szeroko zakrojone studia epidemiologiczne – twierdzi, że jest istotny związek między spożyciem alkoholu a wystąpieniem chorób nowotworowych. I że nie ma czegoś takiego, jak „bezpieczna ilość” – takie twierdzenie jest zawarte m.in. w rekomendacjach Światowej Organizacji Zdrowia. Dlatego zlecony przez Parlament Europejski raport sugerował w pierwotnej wersji, żeby (w celu szybkiej redukcji spożycia) na każdej butelce drukować ostrzeżenie podobne do tych, jakie znamy z paczek papierosów. „Pijąc wino, dostaniesz raka” czy coś w tym stylu.

Nie tylko zmasowany lobbing gorzelników, browarników i winiarzy, ale także resztki kontaktu z rzeczywistością u wielu posłów sprawiły, iż po burzliwych przepychankach końcowa wersja unijnego raportu zaleca jedynie, by na etykietach ostrzegać, iż rakotwórcze może być spożycie nadmierne oraz by wzywać pijących do umiaru. Osta-

teczny kształt rekomendacji dopiero się wykuwa, ale nie spodziewam się znacznej skuteczności. Bowiem umiar, podobnie jak pokrewne pojęcia „rozsądku”, „równowagi” itd., należy do tej kategorii pojęć, które winny być przezroczyste. Głośno się te słowa wypowiada dopiero wtedy, kiedy są martwe. Im więcej apeli o umiar, tym większa pewność, że dana społeczność w danej dziedzinie zjeżdża po równi pochyłej ekscesu.

Urzednicy, a zwłaszcza lekarze na urzędniczych posadach patrzą z góry, widząc zbiorowości i ich dynamikę – zaiste, ponurą: wygląda, jakby każda poprawa losu i warunków musiała nakręcać spiralę bezmyślnego apetytu. I że im większa ta zbiorowość, tym głupsza, tym mocniej trzeba ją ścisnąć zakazami, bo sobie robi krzywdę. Amerykańskie Centrum Zapobiegania Chorob (CDC), instytucja potrzebna i poważna, w okresie pandemii nawet bardziej szanowana niż WHO, w swoich wytycznych zakazuje np. próbowania surowego ciasta, a średnio krwiste hamburgery uznaje za niedosmaczone, niezdatne do spożycia.

Z drugiej zaś strony doświadczenie uczy, że obracamy się wśród ludzi, którzy w wymiarze jednostkowym, w czterech ścianach własnego żywota zachowują umiar i rozsądnie podchodzą do wszystkiego, co jest im dostępne w coraz większych ilościach. Wciąż wiemy, co to odpowiedzialność za siebie czy np. przytomne dawkowanie ryzyka. Kto nie wsadzał nigdy palca w miskę z surowym ciastem, niech ten palec teraz wysoko podniesie. Nie widzę. Ale nikt z nas przecież nie twierdzi, że będzie to jadł codziennie, prawda?

Dlaczego uogólnione, zbiorowe, statystycznie istotne zachowania są różne – i to zawsze na niekorzyść – od jednostkowych? Jaki władca i jaki ustrój potrafiłby z nas stworzyć rozsądną sumę rozsądnych, wolnych jednostek, bez uciekania się do idiotycznych zakazów i fikcyjnych procentów? Muszę jeszcze dużo – ale z umiarem – wina wypić, zanim zdołam się pogodzić z tym, że nie ma na te pytania sensownej odpowiedzi. © P

*Brak umiaru w spalaniu węgla odesłał mroźne zimy do domeny bajek, ale cóż z tego, skoro w naszych szerokościach ciepły luty nadal gnębi skąpym światłem. Dobrym antidotum na szarość niech będzie taka sezonowa zapiekanka karczochowo-kartoflana. Szykujemy 5 karczochów (usuwamy zewnętrzne grube płatki, ścinamy czubki, zdejmujemy wierzchnią skórę łodygi, przepoławiamy wzdłuż, wydłubujemy włoski – wszystko to warto sobie szczegółowo obejrzeć na YouTube), kroimy na ćwiartki, odkładamy do zakwaszonej wody.*

*Pół kilo małych ziemniaków obieramy, kroimy na ćwiartki, wrzucamy do garnka z zimną wodą, doprowadzamy do wrzenia, solimy, dorzucamy karczochy i łyżkę soku z cytryny. Gotujemy razem ok. 5 minut, aż ziemniaki lekko zmiękną. Przekładamy do naoliwionej brytfanki, posypujemy szczerze mieszaniną bułki tartej, posiekanej natki i mięty, polewamy z wierzchu oliwą. Pieczemy ok. pół godziny w 180 stopniach, aż będzie miękkie, pod koniec można przypiec mocniej od góry.*



# PRZED MNA WSZYSTKO

JUSTYNA KOWALCZYK-TEKIELI:

Mnie jest łatwo, bo jestem sławna i ludzie wiedzą, że nie trzymam języka za zębami. Ale głos wielu bliskich mi kobiet nie zawsze jest traktowany na równi z głosem mężczyzn.

ZDJĘCIA KACPER TEKIELI

**JUSTYNA KOWALCZYK-TEKIELI:** Przepraszam, że z synkiem.

**MICHAŁ OKOŃSKI:** Naprawdę, proszę nie przepraszać. Raczej ja powinienem podziękować i Pani, i jemu.

Wszędzie razem jeździmy, ten kombi-nezon wytrzymuje bardzo niskie temperatury. Kiedy jesteśmy na zawodach, temperatura spada do minus 15 stopni, a on sobie spokojnie śpi.

Gdy zaczęliśmy się umawiać na rozmowę, akurat wróciła Pani o trzy-ciej nad ranem ze Słowenii, skąd wiozła nie tylko tego chłopczyka, ale także grupę zawodników. Teraz wyszła Pani ze studia Eurosportu, gdzie komentuje igrzyska. Cały czas w biegu.

Tak wybrałam. Pewnie mogłabym żyć w luksusie, przynajmniej przez jakiś czas, dopóki oszczędności by się nie skończyły, ale nie chcę. To chyba kwestia charakteru, a może po prostu normalnych odruchów, że jeśli kogoś trzeba podrzucić, a ja akurat jadę w tym kierunku, z chęcią to robię.

Luksus zresztą można różnie pojmować. Dla jednych to będzie nicnierobienie, chodzenie po sklepach. A ja siedzę kolejny dzień w Warszawie i niby nic nie muszę, poza – dość przyjemnym dla mnie – komentowaniem igrzysk, ale tęsknię już za górami i ruchem.



**Jako czytelnik Pani felietonów w „Gazecie Wyborczej” mam wrażenie, że do zakończenia kariery przygotowywała się Pani świadomie, i to od dobrego paru lat.**

Tak naprawdę nie ma we mnie żalu. Nie lubię drastycznych zmian, źle się odnajduję w sytuacjach, które wymagają nagłych cięć. Wiedziałam, że jeśli kilkanaście lat życia zajmowały mi wyjazdy i treningi, to nagle zerwanie byłoby szokiem dla organizmu. Musiałam sprawić, żeby proces przejścia był płynny. Nie startowałam już w wyścigach indywidualnych, pomagałam dziewczynom w sztafecie, potem dołączyłam do sztabu szkoleniowego, a na zakończenie olimpijskiego cyklu pojawił się synek.

**Wielu sportowców ucina to dość drastycznie.**

Ja wołałam raczej wyciszenie. Według fizjologii ktoś, kto uprawia sport wytrzymałościowy, powinien się ruszać do końca życia. Ale ja tego nie traktuję na zasadzie „powinien” czy „musi”. Po prostu chcę się ruszać i w zasadzie rzadko mam dni bez wysiłku fizycznego.

**Kiedy Małgorzata Domagalik zapytała Jakuba Błaszczykowskiego, co właściwie takiego jest w piłce, odpowiedział ze śmiechem: „Powietrze”. A co takiego jest w bieganiu na nartach?**

To samo: powietrze. Czyli wolność.

**No ale w reżimie treningowym nie było wolności.**

Godziny treningu to był czas, w którym nikt mi nie mógł przeszkadzać. Moja święta samotność. Ale było coś jeszcze. Coś, co otwierało mnie na świat i ludzi. Nie sądzę, żeby tamta mała i wychudzona dziewczynka z Kasiny Wielkiej, nawet gdyby skończyła wymarzone przez jej mamę prawo, mogła zobaczyć tyle różnych kultur i poznać tylu różnych ludzi. Życie wśród sportowców leczy z nacjonalizmu, oducza wrzucania wszystkich Rosjan czy Niemców do jednego worka, uczy tolerancji. W sumie mogę powiedzieć, że to, jakie mam poglądy polityczne, zawdzięczałam temu, że uprawiałam sport. I że pewne rzeczy widziałam na własne oczy, a nie byłam skazana na to, że muszę komuś zawierzyć.

**Kilkanaście lat ostrego reżimu. Próbuje to sobie wyobrazić i nie bardzo mogę.**

Od 21. do 35. roku życia pracowałam na najwyższych obrotach. Ponad 300 dni w roku poza domem, trzy razy dziennie zajęcia, bieganie jeszcze przed śniadaniem, potem po śniadaniu właściwe treningi na nartach i po południu podjazdy na rowerze.

**Czytałam o tych podjazdach: polegały na robieniu rundy dookoła Tatr. Albo o porannym bieganiu z przywiązaną oponą. Ja to naprawdę lubiłam.**

**A do tego jeszcze te wszystkie opisy bólu. Kontuzjowanych kolan, w których coraz mniej chrząstki. Przepuklin na kręgosłupie. Odmrożonych stóp. Zakwaszonych mięśni.**

W czasie wyścigu boli, to normalna fizjologiczna sprawa, związana właśnie z zakwaszaniem. Ale im lepiej wytrenujesz organizm, tym później zaczniesz boleć. A im bardziej ból potrafisz przezwyciężyć, tym wyższą będziesz mieć lokatę. Do bólu trzeba się przyzwyczaić, a najlepiej podzielić go na dwa – taki, który przestrzega przed kontuzją, i taki, z którym trzeba żyć.

**Pani się cały czas uśmiecha.**

Minęły cztery lata, więc mogę mówić w kategorii wspomnień. Taką fajną rzeczą, kiedy zaczęłam trenować dla siebie, a nie dla wyniku, było to, że przestały mnie permanentnie boleć piszczęły. Wcześniej powięzie i mięśnie były tak przeciążone, że bolały właściwie bez przerwy i nawet do zwykłych spacerów musiałam zakładać obuwie z ortopedycznymi wkładkami.

**Sport to zdrowie, byle nie zawodowy?**

Od zawsze to mówię. Zawodowy sport to ciągle balansowanie na granicy i częste jej świadome przekraczanie – bo żeby być lepszym od innych, musisz zrobić więcej niż oni. Czasami udaje się zrobić to tak, że cena nie jest zbyt wysoka. Pobiegiesz 10 kilometrów o 10 sekund szybciej niż wcześniej, a tylko trochę w trakcie →

**JUSTYNA KOWALCZYK-TEKIELI** jest narciarską biegaczką i trenerką, dyrektorką sportową Polskiego Związku Biathlonu. Pięciokrotna medalistka olimpijska, dwukrotna mistrzyni świata, czterokrotna zwyciężczyni Pucharu Świata. Obroniła doktorat na krakowskiej AWF. Na zdjęciu: w szóstym miesiącu ciąży, Alpy, Szwajcaria, czerwiec 2021 r.

→ przygotowań do tego zrypałeś kolano i wiesz, że za 5 lat będziesz je musiał zreperować. Nie jest źle.

**I znów mówi Pani lekkim tonem.**

Wiedziałam, na co się piszę. Doktor Robert Śmigieński, z którym tyle lat współpracowałam, od razu, jak zobaczył moje treningi, powiedział: „Justyna, ty naprawdę musisz biegać szybko, żebyś miała później pieniądze na leczenie”. Z drugiej strony: moja mama-nauczycielka ma chore struny głosowe i popsuty wzrok, to z kolei jej choroby zawodowe.

Ale sport amatorski polecam z całego serca. Daleko nam, niestety, do Skandynawii, gdzie fińscy naukowcy mówią, że regularna aktywność wydłuża życie o kilka lat i gdzie ludzie uprawiają sport masowo. Idzie za tym dobre samopoczucie, poprawia się przemiana materii, ma się lepszą figurę, nie ma się natomiast miażdżycy... Wie pan, że nasze dzieci tyją najszybciej w Europie?

**Moje nie tyją, ale nie bardzo chcą się ruszać. Mogę im powiedzieć, że Justyna Kowalczyk apeluje, by poszły ze mną w góry?**  
A ile mają lat?

**Te starsze 13 i 15.**

No to już wchodzi w wiek buntu. Ale jeśli chodziły z panem w dzieciństwie, wróć do tego. Ja na złość mamie nie chciałam czytać książek, a jak tylko wyjechałam z domu, zaczęłam czytać jak szalona.

**Była Pani najmłodszą córką. Wyobrażam sobie, że sport stał się dla Pani ucieczką w niszę, w której można robić coś swojego i nie porównywać się ze starszym rodzeństwem.**

Mama i tata wychowali nas tak, że wszyscy jesteśmy ambitni i nie potrafimy odpuszczać. Faktycznie, musiałam znaleźć swoje poletko. Rywalizowałam głównie ze starszą o 4 lata Iloną, bo dwoje najstarszych usamodzielniało się znacznie wcześniej. Ilona była megamózgiem, już w podstawówce dostawała stypendium ministerialne jako jedna z zaledwie kilkorga dzieci w Polsce. Mówię panu, jak ona się uczyła...

**Pani też była olimpijką z polskiego.**

Mama mówiła, że jestem tak zdolna jak Ilona, ale leń.

**Życie wśród sportowców leczy z nacjonalizmu, oducza wrzucania wszystkich Rosjan czy Niemców do jednego worka, uczy tolerancji.**

**I dlatego wybrała Pani po tej olimpiadzie liceum sportowe, jasne.**

No nie byłam leniem, oczywiście. Chociaż w porównaniu z Iloną... Ilona też biegła na nartach. Pamiętam, jak zobaczyła mnie po raz pierwszy na deskach i powiedziała, że ona jednak nie chce.

**Z drugiej strony rywalizowanie to dla sportowca chleb powszedni.**

**A i w życiu czasem pomaga.**

Byle nie przesadzić. Ilona teraz doktorat zrobiła, parę lat po mnie.

Ciekawy to był czas. Dzieciństwo mieliśmy jak 80 proc. Polaków. Rodzicom się nie przelewało. Maszyn rolniczych nie było, w polu trzeba było robić ręcznie. Był kult pracy. Uczono nas, że każde ręce powinny coś robić. A że małe rączki do kosy się nie nadawały, to mogły chociaż wziąć małe grabki i żdźbła zagarniać. Żeby się nauczyć szacunku do zboża, z którego jest chleb.

**To brzmi jak przemowa rodzica do dziecka.**

Nie cierpiałam tego. Zwłaszcza żniw, bo wszystko kłuło i byliśmy cali podrapani. Tylko raz w życiu z powodu wysiłku fizycznego połała mi się krew z nosa – właśnie na żniwach. Miałam 17 lat i byłam sama z tatą, bo starsze rodzeństwo wyjechało do Norwegii na truskawki, a mama była chora. Wydawało mi się, że nie mogę robić za królową, skoro zaczęłam już uprawiać sport i przerzucałam tony na siłowni.

**Dobrze rozumiem, że treningi po pracy w polu wydawały się łatwiejsze?**

W jakimś sensie tak. Po treningu wracało się do pokoju hotelowego, wszystko było posprzątane, jedzenie czekało. Oczywiście trener Aleksander Wierietielny uczył nas także dbania o porządek i szacunku dla tych, którzy wykonują swoją pracę, żeby nam się łatwo biegło – i za-

wsze podkreślałam, że moje sukcesy to także sukcesy trenera, serwismenów, fizjoterapeutów. Ale co to jest porządnie wykonana robota, widziałam już w domu, jak tata wstawał o czwartej, rozpałał w piecu i jechał do schroniska turystycznego, w którym pracował, a potem wracał po siedemnastej i siedł jeszcze na rolę, mama zaś sprawdzała po nocach zeszyty. Oni się zajeżdżali po prostu.

Tak szczerze mówiąc: jak miałam 15 lat, nie rozumiałam sensu pracy w polu, skoro rodzice zarabiali, a chleb mogliśmy kupić w sklepie. Ale może dzięki temu przykładowi szybko załapałam, że jak solidnie popracuję na treningu, to szybciej pobiegnę w wyścigu.

**Parę razy słyszałam, jak Pani mówiła o sobie, że była pyskata.**

Byłam. Pewnie dalej jestem.

**To takie negatywnie nacechowane słowo. Wolalbym powiedzieć, że Pani – podobnie zresztą jak wiele polskich kobiet – jest asertywna. Mówi Pani, co czuje. Nie chce, by ktoś Pani życie urządzał.**

Myśli pan o tym, że się odezwałam po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie zakazu aborcji? Uważałam, że tutaj żadna kobieta nie może milczeć, a nasza porażka polega na tym, że nie dla wszystkich jest oczywiste, iż to właśnie głos kobiet powinien być najważniejszy. Ostatnie przypadki śmierci jeszcze mnie w tym utwierdziły. Wiem, że kompromis nigdy wszystkich nie zadowoli, ale moim zdaniem tamto prawo było jednak akceptowane przez większość, chroniło zdrowie kobiet i nie zmuszało do rodzenia martwych płodów. Nie trzeba było go ruszać, a najbardziej dramatyczne wybory trzeba było zostawić sumieniu – i decyzji kobiet.

Ale protesty wokół tej zmiany pokazały, że rośnie pokolenie wychowane już inaczej. Mnie mama i tata pozwalali mieć własne zdanie. Wiadomo, że jak starsi rozmawiali poważnie między sobą, to się nie odzywałam, ale niczego przede mną nie tajono. Tata np. wielokrotnie zabierał mnie na służbowe spotkania. Dużo przebywałam z dorosłymi. A że mama wymarzyła sobie dla mnie prawniczą karierę, to wręcz zachęcała, żeby broniła swoich poglądów.

**Była polonistką w Pani szkole.**

Miałam najgorzej z całej klasy, ale potrafiłam rozwalić jej lekcję jednym pytaniem. Cieszę się, że tak zostałam wychowana.

Wie pan, mnie jest łatwo, bo jestem sławna i ludzie znają mnie także z tego, że nie trzymam języka za zębami. Ale bliższe mi kobiety są świetnie wykształcone, a jednak ich głos w pracy nie zawsze jest traktowany na równi z głosem mężczyzn.

Pamiętam też, czego doświadczyłam w ciąży. To było absolutne przegięcie. Słuchając tych wszystkich uwag, jak się powinnam prowadzić – że nie mogę się ruszać, uprawiać sportu itd. – czułam się nie jak przyszła matka, ale jak inkubator. Jakby moja ciąża była własnością całego narodu.

### **To się słyszy nie tylko z ust jednej z najstojniejszych Polek.**

Ja mam lepiej tylko o tyle, że mogę odpowiedzieć za pośrednictwem mediów. Zresztą dostałam też wiele wiadomości w stylu: „Dobrze, że o tym mówisz, Justyna, bo moja mama, mąż, teściowa, nie pozwalają mi nawet wyjść na spacer”. Nie wiedziałam, że tak jest. Ale nawet teraz, z moim skromnym, ale jednak doświadczeniem ciąży i macierzyństwa nie przyszłoby mi do głowy, żeby kogokolwiek pouczyć.

### **To, że wróciła Pani do treningów osiem dni po urodzeniu, stanowi jednak mocne świadectwo. Wyobrażam sobie kobiety, dla których taka wiadomość może być rodzajem presji.**

Ale przecież każda ma tu inaczej i narzucanie czegośkolwiek byłoby kompletnie nieodpowiedzialne. Zwłaszcza w takim wrażliwym temacie, jak ciąża i poród, cała ta hormonalna zawierucha w organizmie kobiety jest przeżywana indywidualnie.

Robiłam niedawno trening siłowy i mąż wykonał mi zdjęcia, na których widać, że mam kratkę na brzuchu. Najpierw chciałam je wrzucić na media społecznościowe, ale przyszła chwila refleksji i zrezygnowałam, właśnie po to, żeby się dziewczyny ze mną nie porównywały. A kiedy trenowałam w czasie ciąży, pilnowałam, by podbiegać na górę nie przy tętnie 180, ale – powiedzmy – 130 (pochwale się: moja granica błędu w odczytywaniu pulsu to jedno uderzenie serca na minutę). Spuściłam z tonu: bardziej



*Z synkiem Hugonem. Turbacz, Gorce, styczeń 2022 r.*

chodziło mi o dobre samopoczucie, o endorfiny, no i o to, żeby moje ciało pozbawione aktywności nie przestało wydalać toksyn w czasie wysiłku – żebym się nie zaczęła truć od środka.

### **Hugo właśnie zasnął...**

Dużo się zmieniło od czasu, kiedy zaczynałam karierę. O wielu rzeczach, o których rozmawiamy bez oporów, wtedy się nie mówiło.

### **Dziś przedstawicielka kolejnego sportowego pokolenia, tenisistka Iga Świątek, otwarcie mówi np. o zespole napięcia przedmiesiączkowego, który był powodem jej słabszego występu podczas jednego z turniejów.**

Nagle się zrobiło wielkie halo, że kobiety miesiączkują! Ciekawe, że tyle z tych tematów, które uważa się za tabu, jest związane z kobietami. Trochę słabo... Za to super, że teraz się o tym mówi, bo tyle normalnych dziewczyn może poczuć, że wszystko z nimi w porządku. Że nie są same.

### **Słyszała Pani o burzy wokół ciepłopoztywnej reklamy staników? Jeszcze nie.**

Jeden z koncernów produkujących stroje sportowe wykorzystał w niej kilkadziesiąt fotografii nagich kobiecych piersi. Powiedziałbym: zwyczajnie pięknych, bez żadnego fotoszopa. Jak zobaczyłem

### **tę kampanię, przypomniał mi się jeden Pani felieton, o dziewczynce, którą spotkała Pani na nartorolkowej trasie w Zakopanem.**

Tak naprawdę to było o mnie. Podjechałam na nartorolkach pod Ząb, było gorąco, więc byłam w sportowej bieliźnie, i jakiś idący chodnikiem pan z puszką piwa powiedział coś o moich piersiach – albo o ich braku. Odciełam się, że na pewno ma większe ode mnie...

W kwestii wrażliwości na takie tematy wiele się możemy nauczyć od Skandynawów. I nie chodzi tylko o to, że wszyscy mają wyglądać fantastycznie, bo co to znaczy fantastycznie? Kanony się zmieniają. No i szkoda, że część kobiet sama nakręca na siebie bicz – pal licha, jeśli tylko filtrami w telefonach, a nie medycyną estetyczną, katorzniczym umartwianiem się i niszczeniem zdrowia. Od kiedy zaczęłam pracować z nastolatkami, poczułam, jaki to problem.

### **„Superbohaterka mnie już przerosła absolutnie” – powiedziała Pani kiedyś o początku swojej depresji. Ten wzorzec superbohaterki nie dotyczy tylko zawodowej biegaczki, która pędziła po olimpijskie złoto z pękniętą kością śródstopia.**

Wiele polskich kobiet ma w sobie coś takiego, że chce zrobić wszystko. Chce urodzić piątkę dzieci, mieć dom, sprzątać w nim i gotować, zrobić przy tym doktorat i jeszcze zarabiać 20 tysięcy. Znam takie kobiety. Widzę, jak nie potrafią sobie odpuszczać. W moim przypadku ⇨

→ też było chyba tak, że przyzwyczaiłam świat do tego, iż zawsze wszystko potrafię. I do tego, że ktokolwiek mnie o coś poprosi, to zrobię. I że nigdy nie choruję, a jeśli nawet coś mnie dopadnie, natychmiast to okiełznam, i jeszcze doktorat zrobię... W pewnym momencie to się rzeczywiście zapętlilo. Opowiedziałam wtedy w rozmowie z Pawłem Wilkowiczem, w jak wielkich tarapatach byłam w życiu osobistym, kiedy uznawano mnie za superbohaterkę o żelaznych mięśniach i głowie. Która wszystko wygrywa.

#### **Powiedziała Pani Pawłowi, że chodziło o uczucia.**

Pamiętam takie spotkanie poolimpijskie. Przychodzi do mnie pani makijażystka. Maluje mnie. Wychodzi. Wszystko jest gotowe. A ja nie jestem w stanie wstać i pójść do ludzi. Widziałam, że zawodzę. Nie chciałam, żeby ktoś pomyślał, że to dlatego, iż mi gwiazdorstwo uderza do głowy. Ten wywiad to była próba ratowania życia. Udana, na szczęście.

#### **Sport pomógł w wyjściu z depresji?**

Tak. Kiedy zламаło mnie zupełnie, powiedziałam, że nie chcę już jeździć na żadne obozy. Starszy brat wtedy powiedział, że mam pojechać na obóz do Ramsau choćby nie wiem co i że trener spróbuje sprawić, żebym przynajmniej raz dziennie próbowała gdzieś wyjść. Zaciągnęli mnie na ten obóz i tam faktycznie zaczęłam się zbierać po dwóch i pół miesiąca mocnego marazmu. Zaczęłam jeść, zaczęłam widzieć swoje rywalki, zaczęłam powoli podbiegać na nartach i czuć potrzebę samodoskonalenia. Albo po prostu powrotu do standardów, które wcześniej wyznaczałam.

To się tak łatwo teraz mówi, tak skrótowno, ale wtedy...

#### **Nie chcę, żeby było tak, że ja łatwo pytam.**

No i byłam cały czas w terapii. A potem zobaczyłam, że wiele osób się boryka z podobnymi problemami. Ujrzałam, że te osoby też się otwierają. Być może także dlatego teraz w związkach sportowych jest więcej psychologów i terapeutów. U nas w Polskim Związku Biathlonu każdy zawodnik może skorzystać ze wsparcia. Każdy, kto czuje taką potrzebę, otrzyma pomoc.

Zawierzenie komuś, zwłaszcza dla takiej zosi samosi jak ja i po takich przejściach jak moje, to było duże przełamanie.

**Pamiętam Pani felieton „Terapia wysokogórska”. On jest o tym, że po wielu miesiącach leczenia potrafi już Pani jeść tak, by nie wymiotować po minucie, i rozluźniać się na tyle, by łąpać pojedyncze godziny snu, ale nie potrafi Pani zaufać drugiemu człowiekowi. Aż idzie Pani wspinać się w wysokie góry z przewodnikiem. I po latach ktoś, kto idzie z Panią w góry, staje się Pani mężem.**

Tak, chciałam się uczyć prawdziwej wspinaczki u instruktora i alpinisty. Poznałam Kacpra, a on wyciągnął to zaufanie do kogoś innego na bardzo wysoki poziom. Dodam, że zabierał mnie w miejsca, w których naprawdę trudno się nie bać.

**Tam jest takie zdanie o związaniu się z kimś liną. Niby metafora.**

Dwa lata temu mieliśmy wypadek. Trochę słabo go zaasekurowałam, zaczął spadać i musiałam złapać właśnie za linę. Udało się, bo miałam przepaloną skórę na dłoniach przez długi czas. Powiedziałam wtedy: „Mężu drogi (a wtedy narzeczony), absolutnie nie będę cię już asekurować, nie ma o czym mówić, ja nie chcę cię stracić”. On namawia mnie, żebym jednak dalej to robiła. A ja w jego ręce oddałam życie tyle razy... To też niby metafora, ale nie tylko. Zawierzenie komuś, zwłaszcza dla takiej zosi samosi jak ja i po takich przejściach jak moje, to było duże przełamanie.

Na szczęście Kacper pojawił się w moim życiu wtedy, kiedy tamte problemy miałam w dużym stopniu za sobą. Nie musiał widzieć zgłiszcz, tylko dziewczynę, która się odbudowuje.

**Jeszcze jedno pytanie, którego nie zadaje mi się łatwo: o lęk, że depresja może wrócić.**

Jest coś takiego. Jak przeżywałam zmiany hormonalne po porodzie, to

przez dzień czy dwa miałam wrażenie, jakby wracał tamten stan – i bardzo się przestraszyłam. Ale byłam przygotowana, czytałam, że takie coś może się pojawić, no i cała moja rodzina jest wyczulona na moje smutki. Wolą mnie wkurzoną, a jak widzą, że czymś się gryzę w milczeniu, natychmiast sprawdzają, czy wszystko w porządku.

Zawsze się dużo w życiu śmiałam. Teraz pół żartem, pół serio mówię, że jak co dwie godziny wstaję karmić małego, to w końcu wiem, po co mi było tych parę lat bezsenności. Ale kiedy poważnieję, to mówię, że nie tęsknię za tym stanem. I cieszę się, że zasypiam nie tylko na chwilę podczas masażu między treningami.

#### **A ma Pani jeszcze tę ikonkę znad Bajkału?**

Pokazałabym panu, ale zostawiłam torebkę z portfelem w samochodzie. Podarowała mi ją pewna pani. Powiedziała, że pomogła jej odnaleźć sens życia po tragicznej śmierci dwóch córek i męża, i że chce, bym ja również odnalazła uśmiech.

Wie pan, teraz przy okazji igrzysk oglądałam powtórki z moich biegów. Patrzyłam na tamtą siebie i myślałam, ile mi moja choroba odebrała radości. Ile straciłam satysfakcji z tych wszystkich medali. Teraz już cieszę się z nich bardzo, ale wtedy to był co najwyżej moment ulgi, że może przynajmniej na nartach jestem jednak coś warta... Ale co tu dużo mówić: zaraz potem wszystko wracało. Gdybym mogła cofnąć czas, zrobiłabym wszystko, absolutnie wszystko, żeby ten punkt początkowy, który chyba dostrzegłam w trakcie terapii, ominąć jak najszybciej.

#### **A myśmy w tym czasie widzieli „Chopinkę nart”, jak to wykrzyczał do mikrofonu komentujący Pani sukcesy Tomasz Zimoch.**

Zawsze to powtarzam: żeby nie oceniać sportowców za łatwo. Nic tak naprawdę nie wiemy o tym, co stoi za ich sukcesami. Albo za brakiem sukcesów.

#### **Ustaliliśmy już, że w Pani przypadku sport był raczej pomocą. Ale czy presja z nim związana, rywalizacja, oczekiwaniem tłumów nie bywają źródłem kryzysów psychicznych?**

Wielu sportowców o tym mówi – i stosuje takie psychiczne BHP. Nie jest dobrze

np., by wrażliwy psychicznie zawodnik wchodził do internetu i czytał komentarze na temat swoich występów. Ja nigdy tego nie robiłam, a moja rodzina miała zakaz rozmawiania o tym, kiedy dzwoniła do mnie w trakcie zawodów.

Między kibicami a sportowcami zachodzi pewne nieporozumienie. To tylko tak wygląda na Instagramie, że najpierw trochę pobiegasz, a potem jedziesz na igrzyska. To są lata ciężkiej pracy, rozpisanej na miesiące, tygodnie, dni i godziny.

**Żal, jeśli czasem lata takiej pracy uniemożliwi kontuzja na ostatniej prostej. Albo np. pozytywny test na koronawirusa.**

No ale są sposoby minimalizowania ryzyka. Widziałam rosyjskiego biegacza, który teraz w Pekinie zdobył złoto i srebro. Trenował we Włoszech i podeszli do niego dziennikarze. Podsunęli mikrofon, chcieli przeprowadzić wywiad. Oddalił ich jednym gestem. Przedstawiano go potem jak chamskiego Rosjanina, a on po prostu nie chciał się zarazić.

O, dzień dobry, obudziłem się...

**Cześć, chłopie.**

Tak, ten śmieszny pan tu dalej jest, a mama dalej gada...

No więc ci najlepsi zawodnicy potrafią się ubrać tak szczelnie, jak lekarze w szpitalu. I w sumie się nie dziwię.

**„Jeśli ktoś z drużyny złapie katar, to natychmiast jest wywożony do innego hotelu, byle nie zarazić reszty. Są tacy, którzy mają własnego kucharza nie tylko po to, by zbilansować odpowiednią dietę, ale też by ograniczyć kontakt obcych bakterii z zawodnikami. Podawanie sobie zimą gotęj dłoni na powitanie jest ciężkim grzechem w towarzystwie narciarskim. O buziaku lepiej nie wspominać. Po lotniskach często chodzimy w maseczkach” – to fragmenty Pani felietonu, napisanego parę lat przed pandemią.**

Wolałam wtedy mieć pękniętą kość stopy, niż być przeziębiona.

Powiem teraz coś jak działacz, choć trener Wierietielny wytłumaczył mi to tak dobitnie, że zdawałam sobie z tego sprawę już w trakcie kariery: nasi sportowcy nie zawsze rozumieją, jak wielkie pieniądze na nich idą. Doba hotelowa to między 50 a 100 euro, które trzeba pomnożyć



*Z mężem Kacprem. Zadni Mnich w Tatrach Wysokich, październik 2020 r.*

przez 200 dni w roku. My nikomu łaski nie robimy. Na nas łoży państwo. Jasne: nie każdy będzie wygrywać, bo warunki mamy gorsze niż gdzie indziej, bo tradycje są krótsze, bo czasem pracujemy na drużynę, a nie na siebie. Ale to nie zwalnia nas z obowiązku bycia profesjonalistą.

Istnieje więc także ta druga strona: nie każdy sportowiec jest w stu procentach oddany – i stąd może te niedobre stereotypy. Tylko że z doświadczenia mogę powiedzieć, że najbardziej obrywa się najsolidniej pracującym.

**Pamiętam, jak zemdląta Pani podczas olimpiady w Turynie.**

Straciłam przytomność, lekka różnica. Czułam się wtedy trochę jak w matni. Polska nie miała w tym czasie sukcesów w sportach zimowych, ja coś tam wygrałam, więc nagle wszyscy się na mnie rzucili. Wokół media, fotoreporterzy, prośby o rozmowy, nieważne, czy po morderczym wysiłku byłam w stanie cokolwiek powiedzieć, nieważne, czy się akurat przebieierałam w kabinie serwisu. Przed tamtymi igrzyskami stałam raz w życiu na podium Pucharu Świata, co naprawdę nie czyniło ze mnie faworytki. Ale balon był tak napompowany, że nie umiałam mu sprostać. Za bardzo chciałam.

**Parę dni później zdobyła Pani medal w kolejnym biegu – mimo iż działacze w obawie przed kompromitacją chcieli Panią wycofać.**

Był tam taki doświadczony trener, który podszedł do trenera Wierietielnego i powiedział: „Słuchaj, jeśli ona potrafi dać z siebie wszystko do tego stopnia, że traci przytomność, to ty będziesz miał z niej jeszcze dużo pociechy”. Jak to usłyszałam, od razu byłam zdrowa.

**Nie bała się Pani, że to się może powtórzyć?**

Był taki moment, gdy się ocknęłam w namiocie szpitalnym. Ale przecież zostałam przebadana na wszystkie strony. Nie czułam żadnej presji trenera, o naciśkach na wycofanie mnie też nie wiedziałam. Już wieczorem pytałam: „Trenerze, w sprincie biegniemy?”, a on odpowiadał: „Justyna, do jutra chociaż wytrzymaj. Pójdiesz pochodzić na nartach, zobaczymy, jak się czujesz”.

**Pamiętam takie zdanie trenera Wierietielnego, że Pani nie lubi płaskich tras. Że woli Pani, jak trzeba dużo zjeżdżać i podbiegać. Też pomyślałam, że to brzmi jak metafora.**

Tak, jak mi za łatwo idzie, to sama zaczynam sobie kłopotów szukać, fakt.

**No i znów śmieje się Pani.**

No bo niby cenię komfort, ale jak mam możliwość wtrącenia się gdzieś, żeby coś poprawić, to się wtrącam. Oceanicznego spokoju nie lubię.

© Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

STANISŁAW

# Mancewicz:

## Spod grzyba



ZANIM ZAKWITNIE STO GRZYBÓW ATOMOWYCH, musimy zadać sobie sto pytań. Są one nieco od Sasa do Lasa, ale doprawdy, dziś jest dobra okazja, by pomniemać raczej abstrakcyjnie, bo niewojennie. Czas nie sprzyja przemyśleniom oderwanym,

a nastroj – dobrze skonstruowanym, ale spróbujmy.

Zastanówmy się zatem nad krążącymi opowieściami o tym, kim chciałby być prezydent Andrzej Duda po zakończeniu kadencji. Oczywiście, o ile nie uzna, że – pal sześć konstytucja – nie ma on wcale dość, chciałby jeszcze popracować na niwie, dla Polski i dla szczęścia niektórych współobywateli. Założmy jednak, że by nie chciał. Że ten człowiek ma przesyt, że – wyobraźmy to sobie – oto wyprowadza się on z pałacu i staje przed wyborem nowego zajęcia. Ktoś teraz spyta: co cię to, człowieku ciekawski, obchodzi? Spokojnie tłumaczmy, że byłaby to reakcja niesłusznie gwałtowna. Pytanie o przyszłość prezydenta nie wszystkich Polaków nie wzięło się przecież znikąd, chociaż na takie wygląda. Jest ono stawiane przez myślicieli, analityków i badaczy tej zdumiewającej w każdym sensie kadencji i figury w historii polityki, ale też przez dziennikarzy wszelkich mediów, też tych totalnie wyklętych i skrajnie niezłomnych.

Powiada się zatem tu i ówdzie, że zawetowanie przez p. A. Dudę ustawy zwanej „lex TVN” było początkiem realizowania zamysłu na życie po prezydenturze. Stało się to nie z miłości do wolności słowa, do demokracji czy zasad wolnego rynku, a z niepokoju o własną przyszłość właśnie. Bo konsekwencją puszczenia tej ustawy w ruch mogłyby być prześladowania p. A. Dudy na amerykańskim rynku pracy i usług. Gdyśmy tylko o tym przeczytali tu i ówdzie, po raz

pierwszy, drugi i dziesiąty, zmarszczyliśmy nasze myślące czołko. Zmarszczyliśmy, bo doprawdy może warto byłoby się zastanowić, cóż to p. Duda mógłby w Ameryce robić i jakimi usługami – do diaska – tam zarabiać, jakich i komu rozrywek intelektualnych mógłby on dostarczyć – zważmy – nie za friko. Ktoś powie, że mógłby on cokolwiek, ale – przede wszystkim – wzorem licznych byłych prezydentów świata tego mógłby dawać odczyty.

Okej – powiadamy, ale czy ktoś, ktokolwiek, mógłby nam powiedzieć: o czym? Idzie nam o tematykę. Historia? Prawo konstytucyjne? Medycyna? Prawo karne? Referaty o sądownictwie? O wolności słowa? O hamowaniu pługiem? O jeżdżeniu wyciągiem orczykowym? Do jak licznej publiczności – pytamy – byłyby te mowy wygłaszane, i w jakim języku? Po ile bilety? – pytamy. No i gdzie? W dużych salach czy w małych? W miastach wschodniego wybrzeża czy raczej zachodniego? W pasie – za przeproszeniem – rdzy? Na Alasce? W Nowym Orleanie? W Arizonie? W polskiej Częstochowie czy – do stu tysięcy beczek zjeżdżających ananasów – na Hawajach? Do Polaków czy do nie-Polaków? Są to – popatrzmy – pytania bardzo zasadne, bo takie stawiamy sobie często, gdy myślimy o zmianie pracy bądź zawodu. Gdy myślimy o zmianie życia. Kto nas zechce? Kto nas nie chce? – tak pytamy i im precyzyjniej sobie odpowiemy, tym mniej doświadczamy goryczy, tym mniej jesteśmy nieszczęśliwi i bardziej szczęśliwi. Taka jest prawda.

No więc rzecz trzeba, że w przypadku przyszłości p. Dudy na żadne pytanie postawione wyżej nie umiemy odpowiedzieć, poza nic nieznaczącym kiwnięciem głową na zgodę – że ów będzie wygłaszać w Ameryce odczyty. Ktoś znów warknie, że to nie nasza sprawa. Ano, odpowiemy, że owszem, bo ewentualne amerykańskie tournée p. A. Dudy z cyklem wykładów może zasadniczo pogłębić bądź gruntownie przebudować starodawny a legendarny zestaw stereotypów na temat Polski i Polaków. Każdy z nas – jak tu ponuro siedzimy – przyzna, że podróż A. Dudy z wykładami może mieć konsekwencje nie tylko dla jego portfela i samopoczucia, nie tylko dla widzenia przez byle cudzoziemca ojczyzny naszej, ale przede wszystkim dla każdego ogromnie szarego Polaka. Bardzo szarego, ale przecież czującego i wciąż, co rusz, cierpiącego. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ





## Napisz własną historię kuchenną

Do każdej prenumeraty autorski, wyjątkowy notes kulinarny „Smaki” w prezencie. 12 sezonów, przepisy, rozmowy, eseje, autorskie ilustracje – i **Twoja opowieść.**

### ZASADY ZAKUPU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na [TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate](http://TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate)
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny  
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków  
Nr konta Bank Pekao SA  
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela  
Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00  
od poniedziałku do piątku  
pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail:  
[prenumerata@TygodnikPowszechny.pl](mailto:prenumerata@TygodnikPowszechny.pl)

W sprawie prenumeraty elektronicznej  
informacji oraz wsparcia technicznego udziela  
Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00  
pod nr. tel. **668 475 263** lub adresem e-mail:  
[kontakt@TygodnikPowszechny.pl](mailto:kontakt@TygodnikPowszechny.pl)

Prenumeratę elektroniczną można zamówić  
przez internet na [TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep](http://TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep)

| PRENUMERATA                                    | EKONOMICZNA   | PRIORYTET     |
|------------------------------------------------|---------------|---------------|
| Roczna (52 numery)                             | 480 zł        | 590 zł        |
| Półroczna (26 numerów)                         | 270 zł        | 330 zł        |
| <b>Kwartalna (13 numerów)</b>                  | <b>155 zł</b> | <b>190 zł</b> |
| Pokolenia*                                     | 415 zł        |               |
| Karta Dużej Rodziny**                          | 415 zł        |               |
| Roczna + 4 wydania specjalne                   | 565 zł        | 680 zł        |
| Pokolenia* + 4 wydania specjalne               | 500 zł        |               |
| Karta Dużej Rodziny**<br>+ 4 wydania specjalne | 500 zł        |               |
| 4 wydania specjalne na 2022 r.                 | 85 zł         |               |

\* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

\*\* z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze  
na warunkach opisanych w regulaminie

**TYGODNIK  
POWSZECHNY**

PARTNER MARKETINGOWY

**SALES**manago  
marketing automation



Regulamin zakupu prenumeraty – na [powszech.net/regulamin](http://powszech.net/regulamin)



# Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

## Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.



Gwarancja SLA



Obiekt klasy Tier 3



Transmisja danych  
do krajowych operatorów



Samodzielny dostęp  
do szaf w trybie 24/7



Redundantne połączenie  
z siecią Internet



Monitoring 24/7  
oraz opieka specjalistów

## Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.



Systemy  
przeciwpożarowe



Systemy  
chłodzenia



Niezależne  
zasilanie



[s-net.pl/data-center](https://s-net.pl/data-center)



Skontaktuj się z nami

**+48 12 395 71 00**